- Przemysł nie lubi chudych i grubych — str. 6
- Grupy partnerskie w fabryce — str. 3
- Opole '86 od kuchennych schodów — str. 13
- Erotyki Jana Andrzeja Morsztyna — str. 14

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 33 (1481) ROK XXIX 16 SIERPNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

MISS POLONIA '86

Kaszanka z miodem

ROMAN KUBIAK

Trzy plagi nawiedziły latoś nasze Wybrzeże: gęsta, śmierdząca breja zwana niegdyś morską wodą, festiwal piosenki w Sopocie oraz inwazja dmuchanych krokodyli, którym na imię Stefania. Morze składa się głównie z ropy, fenolu i kału, festiwal tradycyjnie z czego się da, zaś krokodyle wyłącznie z solidnej gumy, żeby szlag ich nie trafił przy pierwszym zetknięciu z Bałtykiem.

I jakby nie dość było, nieszczęść, na biedny Sopot spadł zaszczyt wyprodukowania czwartego odcinka serialu pt. „Miss Polonia".

Były kurort w pierwszych dniach sierpnia wygląda niczym stadion Azteca przed finałem Mundialu, albo monopolowy po trzynastej. Nabitym deptakiem trzeba łazić gęsiego, żeby nie podeptać bliźnich, a przyjemność spożycia lodów kosztuje pięć dych i godzinę warowania w ogonku. Na dziesięciu losowo zagadniętych wczasowiczów ani jeden nie potrafił sensownie odpowiedzieć na pytanie, po jakiego grzyba tłukł się przez pół Polski kolejami państwowymi z kufrem o rozmiarach trzydrzwiowej szafy z lustrem, by za miesięczną pensję wynająć obskurną klitkę, stać po michę zupy w długodystansowej kolejce i toczyć krwawe boje o pół metra kwadratowego plażowego piachu. Dopiero pewien zakopiański góral, robiący sezonowo za morskiego wilka objaśnił naukowo, że nie chodzi tu o wypoczynek, lecz o jedyną w roku okazję pokazania się w tym, co nabyło się za ciężkie krajowe oraz zagraniczne środki płatnicze. Istotnie sopockie molo jest najdłuższym w kraju wybiegiem dla tekstylnych (512 m), gdzie w trzydziestostopniowe upały obowiązują modnie skrojone garnitury i nylonowe kiecki. Jutro będzie gonitwa o koronę miss, więc czas postawić na dobrego konia:

Małgośka, 24/163/89/62/91.

Sopockiego wczasowicza dzień powszedni: śniadanie, plaża, obiad, plaża, kolacja, deptak. A wieczorem wyłazi nuda. Wyłazi i łypie smutnymi ślepiami. Jak się ma trzy razy dziennie pełną michę i słodki fajrant do pierwszego, wtedy kocha cię nuda. Nuda ciągnie do knajpy, na późny kinowy seans, albo funduje portret własny zrobiony pędzlem kloszardującego artysty. Albo lituje się nad losem złachmaniałych ulicznych grajków. Albo niesie pod nocny sklep z wódą czynny do dwudziestej czwartej i dłużej, gdy potrzeba zajdzie. Albo...

Jak się ma trzy razy dziennie michę kaszanki i słodki fajrant do pierwszego, to bardzo trzeba igrzysk. Igrzyska są na molo, gdzie paru facetów skacze o tyczce. Jeden skacze pięć dwadzieścia, a drugi cztery dziewięćdziesiąt. Igrzyska są w Operze Leśnej, gdzie dwadzieścia babeczek mierzy wdzięki:

Ania, 24/177/91/72/96.

Dopust do igrzysk na molo kosztuje stówę, a wstęp do opery tysiąc pięćset. Półtora tysiąca nie jest jednak sumą wygórowaną nazbyt, jeśli zważyć, że wybory Miss Polonia są największym wydarzeniem kulturalnym na Wybrzeżu. Zaś kultura wymaga poświęceń rozmaitych, żeby do cna nie schamieć w plażowym grajdołku. Ma ona wdzięk oraz rozmiary imponujące:

Kasia, 22/176/82/63/91.

Na hotelowych parkingach grasują małolaty. Są uzbrojeni w wiadra z wodą, szampon i ścierki. Dopadają auta słusznych marek, by pucować ich czyste nawet szyby. A potem jednoznacznie wyciągają przed siebie chude łapy.

— Jeszcze cztery stówy do kasy i zobaczę najładniejsze dupy — wylicza mały czyścioch i smaruje paluchem na blachę wyrytą lekcją anatomii:

Edyta, 19/170/82/63/95.

Ważne są ładne opakowania. Dobrze opakowany mężczyzna składa się aktualnie z obszernej marynary do kolan, takichż spodni, zielonych butów, czerwonego krawata i fioletowego pasa szerokości pół metra. Tylko tak osprzętowany pan ma niejakie szanse zdobycia noclegu w rozgorączkowanym przedwyborczymi emocjami Sopocie. Natomiast niżej podpisany oraz towarzyszący mu fotoreporter, opakowani w dżinsy i bawełniane koszulki, rzecz zrozumiała nie dostąpili zaszczytu przekroczenia hotelowych progów, w czym wydatnie pomogły im silne ręce portierów i uprzejme wskazówki, by szukać miejsca u harcerzy.

Z okien recepcji żegnały nas kolorowe fotki winowajczyń:

Ula, 20/167/84/60/88.

Noc spędzona na sopockiej plaży zaowocowała listem dziękczynnym do Bałtyckiej Agencji Artystycznej — współorganizatora igrzysk, który za słoną akredytację (5,5 tys. zł przeceniona później na 3 tys.) zapewnił nam aż bilet wstępu do opery, katalog i reklamówkę z nadrukiem „Mars" oraz wpuścił w maliny a ściślej w brudny piach. List ten podpisaliśmy zbiorowo piórami własnymi i zaprzyjaźnionych żurnalistów, którzy również nie mieli pojęcia, że pchają się na tak cholernie kulturotwórczy spęd, więc nie przyodzieli ślubnych uniformów, przez co na zbitą twarz wylecieli z wytwornych hoteli.

Butelkę z rzeczonym pismem wrzuciliśmy do Bałtyku nucąc przebój artysty Laskowskiego Janusza:

Beata, 20/176/88/66/97.

O świcie plażowe kosze czasowo zamienione w prycze, odsłoniły swe bogate wnętrza, gdzie na gustownej dermie utrwaliła się radosna twórczość niewątpliwych fanów konkursu Miss Polonia. Damski temat musiał głęboko poruszyć psychikę autorów, bowiem ściany koszy pokryły obszerne wypracowania o tym, co z grubsza zrobią oni z panienkami finalistkami, jeśli nadarzy się takowa okazja.

Okazji szukano pod pensjonatem, w którym zakwaterowano panienki strzeżone dniem i nocą przez dyplomowanych goryli. Za każdym krzakiem dybało najmniej trzech fanów uzbrojonych w lornety i nie tylko.

Tytuł „Mistera Uporu" zdecydowanie należał się łysiejącemu jegomościowi w błękitnej bluzie z haftem:

Violetta, 22/169/88/63/90.

Ciężkie próby trwają nieustannie w Operze Leśnej. Dziewczyny chyba po raz sto pięćdziesiąty drugi powtarzają taneczno-chodzonego. Sześć kroków do przodu, obrót, uśmiech, dwa kroki do tyłu, uśmiech.

— Do diabła, uśmiechać się!

Jedna panna ma obandażowaną nogę w kostce. Ale wieczorem musi być zdolna do walki o Daihatsu Charade Diesel.

Ptactwo płoszy się nieco słysząc głos dobrze znany z „Dziennika Telewizyjnego". To redaktor Janusz Swierczyński, który dziś wyjątkowo nie zachęca włókniarek do pracowitej soboty, lecz ich następczynie do bardziej intratnego pokazywania swych wdzięków.

Najbliżej estrady, czyli najbliżej miodu są saperzy. Mylą się tylko raz, gdy trzeba odpalić triumfalne petardy.

Miejscowi bookmacherzy przyjmują zakłady:

Marysia, 22/174/91/63/90.

I stała się jasność. Z dalekiej Islandii przyjechało do Sopotu najpiękniejsze stworzenie świata — Hoffi. Hoffi wcale nie nazywa się Hoffi, lecz jakoś tak, że nie można wymówić. Dziewczę próbuje przeliterować swoje rodowe nazwisko, ale w połowie tasiemca daje za wygraną widząc ogłupiałe miny zgromadzonych.

Ktoś wpada na genialny pomysł, żeby urządzić konferencję prasową z Miss World. Pomysł jest w zasadzie słuszny, tylko o co pytać miłe stworzenie, które służy raczej do podziwiania.

Po kwadransie, w krzyżowym ogniu podstępnych pytań Hoffi zeznaje wreszcie, iż: rzeczywiście wybrano ją Miss Swiata, lubi dobrze zjeść, nie pije, nie lubi rocka, nie pali, ma narzeczonego, który jest studentem prawa.

— Adres tego pana?! — domagają się słuchacze.

I dalej: Hoffi jest naturalną blondynką, ma równie urodziwą siostrę z trojgiem dzieci. O adres nikt nie pyta.

Przechodzimy do konkretów.

— Ile pani zarobiła na tej koronie?

— Niewiele, kilka tysięcy funtów.

— Co zamierza pani zrobić z tą forsą?

— Pewnie wpłaci do spółdzielni mieszkaniowej — uprzedza ktoś z tyłu.

Koniec konferencji prasowej.

Udowodniwszy sobie niezbicie, że Miss Świata jest całkiem normalną kobietą z krwi i kości, wywiadowcy wracają do naszych, podobno wcale nie gorszych istot:

Joasia, 20/175/85/64/95.

Szef Bałtyckiej Agencji Artystycznej powiada, że impreza jest raczej deficytowa.

Panny twierdzą, że za występy nie dostają złamanego grosza. Kilka ważnych osobistości bije się w piersi głosząc:

— Jak Boga kocham nie wziąłem nawet złotówki!

Zachodzi obawa, że ostatnią deską ratunku będzie lista transferowa. Na szczęście jest na tę listę co wystawić:

Anna, 19/170/94/64/88.

Ogłoszono trzynastoosobowy skład jury. Na czele Wysokiego Sądu Krajowego do Spraw Urody i Gracji Kobiecej staje wiceprezydent Sopotu.

— Jakie kwalifikacje ma pan prezydent? — pytają wścibscy.

— Jest mężczyzną!

W tej sytuacji inni też mężczyźni czują się uprawomocnieni do wydawania werdyktów własnych:

12

Fotoreportaż Grzegorza Gałasińskiego

Strona 12

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Strvjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2 dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch"; 3 prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2441. B-14.

Przegląd prasy

Tego lata modnym słowem jest *„atestacja"*. Przypominam, że słowo to oznacza poświadczenie czegoś, o czymś, jest zaświadczeniem ukończenia nauki czy wyniku przeprowadzonej kontroli. Nie wiem, czy jest to słowo najszczęśliwiej dobrane, czy nie można byłoby znaleźć innego równie trafnego określenia, bez uciekania się nieustannego do „cudzoziemszczyzny". Ale stało się. Słowo weszło do języka, pełno go w radiu, telewizji, gazetach, w oficjalnych przemówieniach. Niedawno przekonywano mnie i jeszcze parę osób, że *„atestacja"* to sprawa przyszłości, że trzeba się do tego przygotować, że nawet nie wszystkie przedsiębiorstwa już dojrzały i są przygotowane do tego, aby przejść *„atestację"*. W telewizji znów zapewniano, że wzory postępowania jeszcze nie dotarły do fabryk, żeby się więc nie śpieszyć... Ale życie ma swoje wymagania i jeśli porządkowanie stanowisk pracy wynika z reformy gospodarczej, a fabryce — jak na przykład połączonym zakładom meblowym w Zamościu — śpieszy się, bo grozi jej bankructwo, to i na instrukcję nikt nie czeka, tylko bierze się do roboty.

Dla fabryk meblowych z Zamościa nagle „zapchał się rynek" i okazało się, że mają pełne magazyny mebli, których ponoć ludzie poszukują, po które po nocach stoją w kolejkach. Wobec tego dyrektor Romuald Gardziela powiedział wszelkim czynnikom współzarządzającym:

— *Albo zbankrutujemy, albo zaczniemy szanować ekonomię. Ale uprzedzam: będzie bolało.*

W ZAMOŚCIU ZGODZILI SIĘ NA BOLESNĄ OPERACJĘ

i w Zamojskich Fabrykach Mebli przystąpiono nie tyle do porządkowania zatrudnienia, co stanowisk pracy.

„Podsumowanie wszystkich punktów oceny dozoru w danym zakładzie — opisał to w „TRYBUNIE LUDU" (nr 184 z 9—10 sierpnia 1986 r.) Marek Szymański w artykule pt. „Uprzedzam: będzie bolało..." — *wykazało, że np. w samym Zamościu otrzymał on średnią 0,76 punktów. Oznaczało to, iż ta kategoria pracowników wykorzystana jest w zaledwie 76 proc. Wskaźnik 0,76 pomnożono następnie przez obowiązujących 30 etatów dozoru w tym zakładzie i otrzymano wynik 23. Tylu ludzi jest rzeczywiście potrzebnych, z 7 można zrezygnować".*

W wyniku rachunku przeprowadzonego przy pomocy komputera, z którym trudno dyskutować, okazało się, że w fabrykach mebli są zbędne 123 stanowiska pracy, w produkcji i 54 w administracji. Razem: 177 na 1263 pracowników. Jest to 14 proc. załogi. Ponieważ jednak w fabrykach pracują ludzie, których nie można jednym pociągnięciem długopisu wyrzucić na ulicę, więc zrezygnowano w końcu z 152 stanowisk, co dało oszczędności w funduszu płac *„10 mln zł miesięcznie, co z kolei pozwoliło obniżyć o 10 proc. cenę mebli tapicerskich i o 2 proc. — skrzyniowych"*. No i — wbrew początkowym obawom — *„ludzie „kupili" tę „sprawę"* i oczekują na wiele dalszych niepopularnych decyzji, których sens zaczynają rozumieć, gdyż, to w sumie przynosi im korzyści. Teraz Zamojskie Fabryki Mebli nie narzekają na „zatkany rynek", a przeciwnie nadążyć nie mogą z produkcją.

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY" w nr 32 (z 10 sierpnia 1986 r.) przypomina tragiczny w skutkach

POGROM KIELECKI Z 5 LIPCA 1946 ROKU

Autorzy artykułu: Jerzy Morawski i Piotr Pytlakowski. Tytuł: *„Mroczne stany"*. Przypominają oni, że 5 lipca 1946 roku PAP nadał komunikat opublikowany przez całą prasę, że niejaki Antoni Pasowski trzymał przez 2 dni w piwnicy 8-letniego Henryka Błaszczyka i wypuścił go nakazując mu jednocześnie, żeby opowiadał, że w piwnicy trzymali go Żydzi z zamiarem zabicia. Dziś wiadomo, że Henryk Błaszczyk *„postanowił odwiedzić kolegów na wsi. Pojechał tam przygodną furmanką, bez wiedzy rodziców"*. Powrócił do domu 3 lipca 1946 roku i ojciec poszedł z nim na milicję, aby odwołać zgłoszenie zaginięcia. Kazano im przyjść następnego dnia, a kiedy przyszli, *„zostali zatrzymani"*. Zatrzymano również matkę Henryka Błaszczyka. Nie przesłuchiwano ich. *„Wypuszczono go zimą. Maszerował w marynarce, letnim ubranku, było mu zimno, padał śnieg"*. W piątek, 5 lipca 1946 roku aresztowano również Antoniego Pasowskiego, a następnie jego syna Mirka i żonę.

— *„Nic o tym chłopcu nie wiedziałem, nic o nim nie mówiłem, nigdzie go nie przetrzymywałem"* — mówi dziś 86-letni emeryt, *„lekko zgarbiony, ale krzepki jak na swoje lata"* Antoni Pasowski.

„Najpierw zwolnili żonę i syna — relacjonują jego opowieść autorzy — *a jego wtedy, gdy zaczęła się zima. Na ulicy podbiegł do niego jakiś chłopiec i wręczył mu kopertę. Było w niej 1000 złotych. Do dzisiaj nie wie od kogo i za co".*

Ale 5 lipca 1946 roku rano komendant posterunku Sendek poszedł z trzema milicjantami sprawdzić, czy z tym przetrzymywanym chłopcem była prawda. Chętnie też informował ludzi na ulicy, *„że idą sprawdzać, czy Żydzi przetrzymują polskie dzieci"*. Wiadomość niemal lotem błyskawicy rozchodzi się po Kielcach. Wiedzą już w Hucie „Ludwików". Tłum wyłamuje bramę i z łomami w rękach, deskami i innym żelastwem idzie ławą na ulicę Planty 7, gdzie mieszkają Żydzi. Opis tego, co się wówczas działo jest wstrząsający. Przecież nie tak dawno skończyła się „epoka kominów", czas pogardy dla ludzkiego życia. Czyżby zostawiła aż tak makabryczne ślady w ludzkiej podświadomości? Posypały się zaraz protesty co światlejszych Polaków. Zbrodnię napiętnowano. Ale wstydzimy się jej i dziś.

W Kielcach na ulicy Planty 7 zginęło wówczas 42 Żydów, okrutnie zamordowanych przez niemal swoich sąsiadów. Byli wśród ofiar oficerowie LWP, partyzanci, Żydzi, którzy przeżyli zagładę swego narodu dzięki pomocy Polaków. I teraz polegli pod łomami i sztachetami morderców. Kim byli ci mordercy? Mieli od 20 do 45 lat. Byli wśród nich: *„jedna kobieta bez zawodu, szewc, fryzjer, woźny, muzyk z knajpy, stolarz, piekarz, dwóch milicjantów..."*. 9 lipca 1946 roku odbył się proces 12 oskarżonych. *„Dziewięć osób skazano na karę śmierci, trzy na wieloletnie więzienie. Zapowiedziano dalsze procesy. Zdawano sobie sprawę, że skazano tylko prymitywnych wykonawców — należało ukarać tych, którzy zbrodnię sprowokowali. Niestety, o innych osobach ukaranych za wypadki kieleckie brak wiadomości".*

Jerzy Morawski i Piotr Pytlakowski przypominają, że *„komunikaty PAP sugerowały, że wydarzenia te były inspirowane przez organizacje podziemne — wśród zgromadzonych uwijali się ludzie w mundurach andersowskich, podjudzali tłum, wznosili okrzyki: Bić Żydów! Niech żyje rząd emigracyjny! Niech żyje Anders!"*. A warto pamiętać, że 4 dni przed pogromem odbyło się referendum w sprawie trzech pytań. Nie wszystkim zależało na tym, aby padło: 3 razy tak.

Wszakże dla kronikarskiej ścisłości Jerzy Morawski i Piotr Pytlakowski piszą, że w zamieszaniu, pełnym oburzenia *„uszedł uwagi dalszy los osób odpowiedzialnych za ład i porządek w Kielcach. Gdzieniegdzie tylko pojawia się informacja, że zatrzymano do dyspozycji prokuratora szefa UB w Kielcach, majora Władysława Sobczyńskiego-Spychaja i szefów kieleckiej milicji Kuźnickiego i Gwiazdowicza. We wrześniu odchodzi I sekretarz KW PPR Kalinowski"*. Sprawa kielecka jest nie tylko kłopotliwa, wstydliwa, jest oburzająca i zmusza do protestu. Następuje więc jej wyciszenie. Ale pamięć o pomordowanych 5 lipca 1946 roku w Kielcach Żydach pozostaje. Pamięć paląca wstydem.

Dobrze, żeby o tym wiedzieli też młodzi, gdyż ich zabawy coraz bardziej zaczynają niepokoić. Oto na przykład z Jarocina nadszedł dość zastanawiający sygnał. Rozeszła się mianowicie wieść, że

W JAROCINIE POJAWILI SIĘ SATANIŚCI

Mieli oni podczas koncertu spalić krzyż, a na szyjach nosili odwrócone krzyże. W każdej plotce bywa zawsze jakowaś prawda. A poza tym ciągle trzeba pamiętać, że na ogół różne nieszczęścia naszej cywilizacji zaczynały się od wybijania szyb rzeczywistym czy urojonym wrogom, potem następuje palenie książek tychże wrogów, krzyży lub innych symboli religijnych, a później palą się domy, kościoły i szpitale, a kończy się to paleniem ludzi. I warto, żeby o tym młodzi ludzie wiedzieli i pamiętali!

O spotkaniu miłośników rocka w Jarocinie w 1986 roku pisze w „SZTANDARZE MŁODYCH" (z 8—10 sierpnia 1986 roku) Andrzej Pasternak w artykule pt. *„Mamy siłę"*. Autor interesuje się przede wszystkim muzyczną stroną jarocińskiej imprezy, ale i o obyczajowej wspomina. Informuje — cytując *„znawcę gatunku"* Romana Radoszewskiego — o pojawieniu się grup zauroczonych *„piekielnymi mocami, tajemnymi misteriami, demonami i duchami"*. Wspomina też o „Test Fobil Creon", która to kapela *„przedobrzyła i poszła o jeden krok za daleko. Złamaniem krzyża popełniła sceniczne samobójstwo, ale był to świadomy wybór muzyków"*. Rozumiem młodych, gniewnych, choć nie wszystko, co robią akceptuję. Myślę, że w swoim działaniu powinni liczyć się z realiami i nastrojami. Nie wiem, co ważniejsze: wygłup za wszelką cenę, czy możliwość spotykania się co roku w Jarocinie?

„W tym roku — pisze Andrzej Pasternak — *na heavy-metal posypały się nieoczekiwanie gromy również z kościelnych ambon w Jarocinie. Przypisano grupom spod znaku satanicznych trzech szóstek odpowiedzialność za zdewastowanie grobowca na miejscowym cmentarzu. Podobno miała się tam odbyć tzw. czarna msza. Nie złapano nikogo za rękę i trudno wyrokować w tej sytuacji o zgubnym wpływie na młode umysły diabolicznego metalu. Może chodziło o coś zupełnie innego?"*.

Ale nie lekceważyłbym mimo wszystko przypuszczenia anonimowego punka, którego Andrzej Pasternak cytuje:

— *„Komuś bardzo zależy, abyśmy się za rok nie spotkali i nie posłuchali w tym mieście swojej muzyki"*.

W „TYGODNIKU KULTURALNYM" (nr 32 z 10 sierpnia 1986 r.) Barbara Grzegorczyk z Głogówka w artykule *„Turniej z landrynką"* przypomina telewizyjny turniej miast: Puck — Głogówek, który zakończył się remisem. Ale

W GŁOGÓWKU UWAŻAJĄ, ŻE PRZEGRALI Z PUCKIEM

I mają tam przede wszystkim pretensje do jury, które — zdaniem mieszkańców Głogówka — było mało kompetentne, stronnicze i przez to oczywiście — niesprawiedliwe. Telewizja, po ostatnich kłopotach z innym turniejem miast, postanowiła przesłodzić, aby nie dopuścić do nowego konfliktu i robi wszystko, aby telewizyjne turnieje miast kończyły się remisem. Jest to wyjście pozornie kompromisowe, gdyż w turnieju — jak sama nazwa wskazuje — musi być wygrany Inaczej cała impreza nie ma sensu.

Barbara Grzegorczyk napisała m.in.: *„Słuchałam z uwagą wypowiedzi pani Ireny Dziedzic i dziwiłam się, skąd nagle u niej takie zamiłowanie do folkloru"*. Ja też się dziwiłem. Na ogół większość Polaków była na Helu, a jak była, to musiała zetknąć się kaszubskim folklorem. Chyba, że ktoś na ten folklor jest nieczuły i nagle w telewizorze odkrywa zachwycającą inscenizację kaszubskich nutek. A przecież powinien to znać każdy kulturalny Polak. Poza tym warto wiedzieć, jaka jest odległość między Sierakowicami a Puckiem na Kaszubach. W Pucku bowiem występował zespół z... Sierakowic. Jak się tego nie wie, to raczej się... milczy.

W Głogówku mają żal do jury, że pomniejszając ich dorobek kulturalny jury nie potrafiło posługiwać się rzeczowymi i konkretnymi argumentami. I chyba nie bez racji mają ten żal. W koncepcji turniejów miast jest chyba jakiś błąd.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Lepiej „być" czy „znaczyć?"

Nie ukrywam, że zainspirowały mnie rozważania Andrzeja Karolczaka w poprzednim numerze, pt. „Być czy mieć", dotykające bardzo istotnej różnicy czy raczej przeciwieństwa ludzkich postaw. Zresztą w tym samym numerze przyprawił mnie o irytację artykulik innego autora, a mianowicie Andrzeja Karola który błędnie przypisuje Gwiazdę Polarną gwiazdozbiorowi Wielkiej Niedźwiedzicy, zwanej też Wielkim Wozem, którą to konstelację przemieszcza arbitralnie z nieba zachodniego na północne. Tymczasem na północy znajduje się Mała Niedźwiedzica, czyli Mały Wóz, który ma na samym czubku dyszla właśnie Gwiazdę Polarną, wskazującą prawie (!) dokładnie północ.

Ale wróćmy do problemu „być czy mieć", który naświetlony został przez Karolczaka z różnych stron. Moim zdaniem, mają co najmniej równie tyle samo racji ci, co poświęcają uwagę przeciwstawieniu „być" czy „znaczyć", bardzo istotnemu w aspekcie humanistycznym, a w szczególności moralnym. W naszych czasach zresztą jakby zanika świadomość konieczności wyboru pomiędzy „być" i „znaczyć", zwłaszcza w zawodach tzw. publicznych, gdzie się ten wybór najczęściej narzuca.

Czym się jednak różnią owe „być" i „znaczyć", a zwłaszcza, z jakich przesłanek wychodzi postulat, żeby więcej być niż znaczyć? Otóż chyba nie bez racji uważa się, że być „kimś" w sensie głębszym, czyli reprezentować sobą wyższe wartości wewnętrzne, wzbogacające osobowość jest więcej warte moralnie niż znaczenie zdobyte wśród ludzi przez stanowisko czy majątek. Ważniejsze jest bowiem (ciągle w aspekcie moralnym), żeby nawet nie być przez świat i ludzi docenianym mimo swoich walorów i zasług, niż wedrzeć się wyżej, na bardziej eksponowane stanowisko, niż upoważniałyby do tego rzeczywiste kwalifikacje fachowe lub uzdolnienia czy cechy charakteru.

Oczywiście dla tzw. świata najważniejsza jest kariera jaką ktoś zrobił, choćby na konkursie piękności czy np. przez wżenienie się w majątek i układy; jemu to właśnie ludzie czapkują i obsypują go pochlebstwami, licząc na jego wpływy i stosunki, a skłonni są lekceważyć tych, co pokazali mniejszą siłę przebicia. A po najdłuższym życiu nawet nekrolog dla karierowicza od grona przyjaciół bywa bardziej okazały i żegna się go z większą „pompą" niż człeka cichego i pokornego serca

No, ale nie chodzi tu przecież, jak w ogóle w tego rodzaju rozważaniach, o proste przeciwstawienie sobie pod względem moralnym każdego, kto się w życiu wybił z każdym, komu się nie powiodło. Oczywiste jest, że można zyskać sobie uznanie czy rozgłos w społeczeństwie dzięki zaletom i zasługom albo też zmarnować sobie życie lenistwem i brakiem wytrwałości. Byłoby z pewnością niedobrze, gdybyśmy dali się zwieść tym, co swoje niepowodzenia czy nawet wykolejenie tak chętnie nieraz przypisują sprzysiężeniu złych mocy. W gruncie rzeczy można im też zarzucić niedopełnienie podstawowego obowiązku wobec samego siebie, w rozwijaniu wszystkich swoich uzdolnień i umiejętności, każdy bowiem nie spożytkowany talent oznacza istotną stratę społeczną. Ale do tego, by zrozumieć owe obowiązki wobec siebie samego, trzeba zazwyczaj zjeść przedtem beczkę soli.

Tak mi się zresztą wydaje, że w naszym społeczeństwie, które historycznie biorąc, niewiele stwarzało jednostkom, w ostatnich stuleciach, możliwości wybicia się, a skłaniało wielu ludzi obdarzonych przez naturę do poświęcenia życia działalności oświatowej czy charytatywnej wśród upośledzonych społecznie, jak rozmaite powieściowe Siłaczki i rozmaici Judymowie oraz niepowieściowi, jak Janusz Korczak czy brat Albert, zalety ducha i umysłu zaczęły kojarzyć się z żywotem skromnym i cichym, nieopływającym w zaszczyty i dostatki. Wśród postępowej inteligencji dawniejszej ugruntowało się przeświadczenie (a zarazem pewien wzorzec wychowawczy), że tylko ubóstwo jest uczciwe.

Ale mamy dziś inne czasy i warunki, potrzebna jest społeczeństwu powszechna aktywność pracy i przedsiębiorczość działania, które w powszechnym odczuciu powinny spotykać się z należytym wynagrodzeniem i być główną podstawą awansu, czyli uzyskania publicznego znaczenia. Choć oczywiście w żadnych warunkach i żadnym czasie nie powinno być obojętne czy każdy, kto zdobył znaczenie i wpływy ma na to pokrycie w swoich kwalifikacjach zawodowych i moralnych.

Mierzenie wartości jednostki wyłącznie w kategoriach sukcesu będzie chyba uzasadnione w społeczeństwie funkcjonującym idealnie sprawiedliwie, a do tego chyba jeszcze bardzo daleko.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

Czytelnicy znajdą wiele interesujących artykułów, reportaży oraz felietonów, a między innymi:

— artykuł **Bronisława Muszyńskiego** o radach pracowniczych, które powinny być radami robotniczymi,

— relację **Jurija Szczerbaka** — ukraińskiego pisarza — lekarza, który był w Czernobylu,

— drugą część relacji **Marka Koprowskiego** z Opola, gdzie wyszło na jaw, że polska piosenka gnije od środka,

— artykuł **Tadeusza Bogaleckiego**, w którym autor opowiada o sierpniowym wymarszu oddziałów kadrowych Legionów

— reportaż **Pawła Tomaszewskiego** z podbełchatowskiej wsi, która znika z powierzchni ziemi

— reportaż **Witolda Wernera** o połowie ryb na kutrze rybackim z Władysławowa,

— opowieść **Ewy Pankiewicz** o podróży artystycznej Teatru Wielkiego w Łodzi do Passau w RFN,

— i jak zawsze poezja, proza, krytyka, listy, felietony.

STANISŁAW RUDOLF

W grupie można lepiej pracować

Co zrobić, żeby robotnicy dobrze czuli się w zakładzie i równocześnie pracowali wydajnie? Coraz więcej zwolenników zdobywa pogląd, że osiągnięcie tych celów umożliwiają grupowo-autonomiczne formy organizacji pracy.

Różnych używa się terminów dla określenia owych form. Na Zachodzie, gdzie rozwiązania takie funkcjonują od ponad 20 lat nazywane są najczęściej grupami czy **zespołami autonomicznymi** czy półautonomicznymi (ze względu na posiadany zakres autonomii). W Związku Radzieckim a także w innych krajach socjalistycznych system ten nosi nazwę **systemu brygadowego.** W Polsce natomiast spotkać można takie m.in. nazwy jak: **grupy ajencyjne, pracownicze czy partnerskie.** Od pewnego czasu daje się zauważyć rosnąca popularność „grup partnerskich" i tego właśnie terminu używać będziemy w dalszych rozważaniach. Termin ten sugeruje bowiem, że wyposażone w nowe uprawnienia grupy **stają się partnerem dla kierownictwa przedsiębiorstwa.**

1. ISTOTA GRUP PARTNERSKICH

Przyjrzymy się bliżej, na czym polega istota proponowanych rozwiązań. Grupami partnerskimi nazywać będziemy zespoły pracowników utworzone dla wykonania określonych całościowych zadań w procesie produkcji (produktów finalnych, zespołów czy podzespołów dla dalszej produkcji). Jeśli poprzednio każdy z pracowników wykonywał ściśle określoną czynność i czynności te odpowiednio powiązane składały się na proces produkcji, to obecnie zadania takie **powierzane są grupie pracowników** jako całości i do całej grupy należy decyzja, w jaki sposób zadania te będą realizowane oraz jaki będzie udział poszczególnych pracowników w procesie produkcji. Wytworzone produkty grupa oznacza własnym znakiem identyfikacyjnym. Umożliwia to kierowanie do grupy produktów wyrobów wadliwych do ich naprawy (bez dodatkowego wynagrodzenia).

W tak utworzonej, wyposażonej w pewien zakres autonomii grupie pracowników pojawiają się więzi, które **wykluczała tradycyjna organizacja pracy,** gdzie poszczególne zadania miały charakter odcinkowy. Powstają w ten sposób warunki do integracji grupy, zaś elementem wymuszającym taką integrację jest wspólny dla wszystkich pracowników cel grupy.

Należy jednocześnie pamiętać, że grupy partnerskie to forma organizacji pracy wysoce zindywidualizowana. W zasadzie **nie istnieją dwie identyczne grupy partnerskie,** zawsze wskazać można na mniejsze bądź większe między nimi różnice. Najczęściej decyduje o tym odmienna technologia, ale różnice występują również między grupami utworzonymi w tym samym przedsiębiorstwie. Widać to chociażby w osiąganych przez grupy wynikach. Grupa bowiem, to zespół konkretnych ludzi i ich cechy osobowe decydują ostatecznie o indywidualności grupy.

Istniejące doświadczenia (szczególnie zachodnie) wskazują na szerokie możliwości tworzenia grup partnerskich, chociaż stopień związanych z tym trudności może być różny. Generalnie zależy on m.in. od istniejącego w danym przedsiębiorstwie systemu techniczno-organizacyjnego, od zakresu opanowanych przez poszczególnych pracowników czynności (grupa nie powstanie, jeśli każdy z pracowników opanował tylko jedną czynność i tym większe istnieją szanse jej utworzenia im zakres opanowanych czynności jest większy), od istniejącego w przedsiębiorstwie klimatu itp.

Stosunkowo łatwo, bo bez dodatkowych nakładów inwestycyjnych grupy takie można tworzyć wszędzie tam gdzie mamy do czynienia z produkcją jednostkową, z montażem dużych obiektów (np. cystern), z wykonywaniem remontów, obsługa zamkniętych cyklów technologicznych itp. Drobne adaptacje stanowisk pracy do nowego systemu grupa może przeprowadzić we własnym zakresie. Bardziej złożona sytuacja występuje wtedy jeśli organizacja pracy oparta jest na długiej linii montażowej. Potrzeba zmian jest tam na ogół większa niż w innych systemach, tyle tylko że zmiany wymagają często znacznych nakładów. Wskazywać tu można przynajmniej na dwa rozwiązania. Pierwsze — to podział długiej taśmy na jej krótsze odcinki (8—12 stanowisk pracy), w taki sposób, aby grupy wykonywały całościowe zadania. Drugie — to utworzenie gniazd produkcyjnych, gdzie poszczególne grupy pracowników same decydują o sposobie wykonania zadań, podziale pracy itp. Do tak utworzonych grup mogą być włączani konserwatorzy maszyn i urządzeń, i inny personel pomocniczy.

2. ROZMIARY GRUP PARTNERSKICH

W literaturze spotkać można różne na ten temat poglądy. Różni autorzy w różny sposób określają optymalne rozmiary takich grup. Inne rozmiary proponują tu socjologowie, inne psycholodzy, jeszcze inaczej patrzą na to przedstawiciele innych dyscyplin naukowych. Dominuje jednak pogląd, że najkorzystniejsza sytuacja występuje wtedy, jeśli mieszczą się one w przedziale **od 6 do 12 osób.** Twierdzi się jednocześnie, że grupy mniejsze są za mało operatywne, większe zaś napotykają na trudności w koordynacji ich pracy.

Analiza istniejących grup partnerskich wskazuje wyraźnie na znaczne odstępstwa od tak nakreślonego optimum. Wiele wskazuje na to, że o ich rozmiarach nie decydują kryteria socjologiczne czy psychologiczne (chociaż nie można od nich całkowicie abstrahować), ale względy technologiczne czy konkretne warunki, w których grupa funkcjonuje. Przemawiają za tym bogate już doświadczenia zagraniczne, a częściowo również polskie. W zakładach samochodowych „Saab-Scania" funkcjonują z powodzeniem zarówno grupy 3-osobowe jak i 5—12 osobowe. Grupy 3—4 osobowe spotkać można w szwedzkich zakładach „Atlas Copco". W zakładach „Volvo" spotykamy grupy od 5 do 12 osób. Zróżnicowane pod tym względem grupy spotykamy w Zakładach Świerczewskiego w Warszawie, liczą bowiem od 9 do 35 osób. W **„Hydrobudowie"** katowickiej grupy takie liczą najczęściej od 15 do 25 osób. Z powodzeniem funkcjonuje również 5-osobowa grupa linotypistów w **łódzkich Prasowych Zakładach Graficznych.**

Przytoczone przykłady przemawiają za elastycznym traktowaniem rozmiarów grup, wskazują jednocześnie na pierwszoplanową w tym roli konkretnych warunków w jakich mają one funkcjonować. O rozmiarach grupy współdecydują również sami pracownicy, którzy mogą uznać, że określone w umowie zadania są możliwe do realizacji przez mniejszą liczbę osób. Dlatego też decyzje dotyczące rozmiarów grupy nie mogą być traktowane jako ostateczne. Należy stworzyć możliwość ich weryfikacji w trakcie funkcjonowania tego systemu.

3. ZAKRES AUTONOMII

Autonomia grupy — to możliwość realizacji celów grupy we własnym zakresie. Zakres autonomii jest przedmiotem ożywionych dyskusji zarówno w krajach kapitalistycznych jak i socjalistycznych, stanowi bowiem istotę tej formy organizacji pracy. Formalnym wyrazem przekazywanej grupie autonomii jest umowa, jaką grupa zawiera z kierownictwem przedsiębiorstwa. W umowie tej określone są m.in. zadania dla grupy, termin ich wykonania, wskaźnik jakości, oszczędności surowców itp. Z umowy wynika również zakres uzyskanej przez grupę autonomii. Omówimy go w oparciu o przysługujące grupie uprawnienia do podejmowania decyzji, z których najważniejsze to: **możliwość decydowania o składzie osobowym grupy, wybór lidera, planowanie i podział zadań w grupie, tempo pracy i czas pracy itp....**

Ze względu na wspólne wykonywanie zadań oraz wspólne branie na siebie odpowiedzialności, a także ze względu na zbiorowy system wynagrodzeń, wchodzący w jej skład pracownicy muszą mieć do siebie **pełne zaufanie.** Stąd podstawowym warunkiem jej autonomii jest możliwość wpływania na zmiany w jej składzie. Grupa sama musi decydować, kogo do niej przyjąć, względnie też kogo z niej usunąć. Mając takie uprawnienia szybko oczyści swoje szeregi z osób uchylających się od pracy, łamiących dyscyplinę pracy itp. Skład osobowy grupy nabiera szczególnego znaczenia w sytuacji, kiedy grupa wykonuje prace niebezpieczne (np. montaż dużych zbiorników), kiedy od pracy poszczególnych pracowników zależy bezpieczeństwo całej grupy.

Do ważnych uprawnień grupy należy wybór jej **lidera.** Grupa wybiera spośród siebie nie kierownika w tradycyjnym sensie, ale lidera, a więc osobę, która nie kieruje (bo uczestniczą w tym wszyscy jej członkowie), ale **przewodzi grupie,** która jest jej rzecznikiem. Lider uczestniczy zwykle w realizacji zadań grupy na tych samych zasadach co inni pracownicy, zaś reprezentowanie grupy w kontaktach z kierownictwem przedsiębiorstwa należy do jego dodatkowych obowiązków.

Funkcja lidera nie polega więc na przydzielaniu zadań, egzekwowaniu dyscypliny pracy czy rozdzielaniu premii oraz nagród. We wszystkich tych sprawach lider musi uzyskać akceptację grupy czy też wybranej przez nią rady (co zdarza się w większych grupach). Taką nową rolę pełnią czasem dotychczasowi mistrzowie (brygadziści), jeśli grupa im powierzy obowiązki lidera. W krajach zachodnich grupy wybierają często lidera **na pewien** czas (np. na kilka miesięcy), powierzając następnie te obowiązki innemu członkowi grupy. Postępowanie takie ma zapobiegać przyswajaniu sobie przez lidera cech tradycyjnego kierownika.

Tworzenie grup partnerskich wymaga zmian w systemie planowania w przedsiębiorstwie. Musi ono obejmować poszczególne grupy pracownicze, określać ich zadania oraz tworzyć warunki do ich realizacji. Musi zapewniać zgodność tych zadań z zadaniami innych zespołów oraz całego przedsiębiorstwa. Objęcie planowaniem poszczególnych grup partnerskich wskazuje jednocześnie, że taka zmiana organizacji pracy nie może się ograniczyć do szczebla wykonawstwa, że obejmować powinna również szczeble wyższe.

Realizacja określonych w umowie zadań stanowi cel dla całej grupy. Cel ten jest dla niej sprawą nadrzędną, jest tym co integruje grupę i mobilizuje ją do maksymalnego wysiłku. Wspólna realizacja powierzonych jej zadań stanowi źródło licznych inicjatyw z zakresu racjonalizacji produkcji, oszczędności surowców, wykorzystania rezerw itp. Trudno o takie rezultaty, jeśli każdy z pracowników posiada cele indywidualne.

W oparciu o umowę członkowie grupy wspólnie decydują o sposobie realizacji powierzonych jej zadań, wspólnie decydują również o podziale pracy wewnątrz grupy. Do nich należy bowiem decyzja o wyborze wykonywanych czynności w danym czasie, chociaż zależy to również od posiadanych przez pracowników kwalifikacji. Duże możliwości w tym zakresie przynosi sytuacja, w której pracownicy opanowali wszystkie lub prawie wszystkie operacje wykonywane przez grupę. Nowy system mobilizuje pracowników do podnoszenia posiadanych kwalifikacji, zdarza się często, że grupy z własnej inicjatywy podejmują szkolenia swoich członków.

Grupa partnerska może decydować również o tempie wykonywanej pracy oraz o godzinach rozpoczynania i kończenia pracy, o przerwach w pracy itp. Trudno tu oczywiście mówić o pełnej swobodzie w tym zakresie, bowiem wytworzone przez grupę produkty są najczęściej przedmiotem dalszej produkcji. W sytuacji istnienia takiej zależności niezbędną elastyczność przynoszą grupom istniejące między nimi zapasy buforowe. Tam jednak, gdzie nie występują takie zależności (np. przy produkcji jednostkowej) grupy mogą dysponować znaczną swobodą w tym zakresie. Mogą np. stosować elastyczny czas pracy, a więc system często spotykany w przedsiębiorstwach zachodnich. W Zakładach im. Karola Świerczewskiego, gdzie umowa nie przewiduje godzin nadliczbowych pracownicy pracują krócej, jeśli nie mają frontu pracy i zostają dłużej, jeśli istnieje taka potrzeba.

Są to najważniejsze (nie licząc płac) decyzje podejmowane przez grupę, codzienne decyzje dotyczące ich miejsca pracy. Wiele wskazuje na to, że uprawnienia do podejmowania takich decyzji **powinny być przekazywane grupie stopniowo, w miarę uzyskiwania przez nią niezbędnych doświadczeń.** Należy bowiem pamiętać, że wraz z uprawnieniami idzie również odpowiedzialność, której grupa bez odpowiedniego przygotowania może nie udźwignąć.

4. WARUNKI FUNKCJONOWANIA GRUP

Realizacja powierzonych grupie zadań wymaga zagwarantowania przez przedsiębiorstwo niezbędnych do tego warunków. **Gwarancje** takie zawiera podpisana z kierownictwem umowa. Grupa musi dysponować potrzebnymi do produkcji narzędziami i urządzeniami oraz surowcami i musi je otrzymywać w odpowiednim czasie. Ułatwia pracę grupy, a zarazem zwiększa jej autonomię sytuacja, w której posiada ona do swej wyłącznej dyspozycji wszelkie niezbędne maszyny i urządzenia. Grupa napotyka trudności, jeśli z tych samych urządzeń korzystają różne grupy, jeśli narzędzi brakuje, czy jeśli dostawy surowców są nieregularne. Wspomniana umowa reguluje sytuacje, w których kierownictwo nie może się w pełni z takich obowiązków wywiązać.

Trudno sobie jednocześnie wyobrazić funkcjonowanie grup partnerskich bez stałego dopływu informacji dotyczących zarówno rezultatów pracy grupy, jak i działalności całego przedsiębiorstwa. Pracownicy szczególnie sobie **cenią informację** dotyczącą rezultatów ich pracy, a więc rozmiarów produkcji, stopnia wykonania zadań, jakości wytworzonych produktów itp. Ułatwiają one podejmowanie decyzji o tempie wykonywanej pracy, czasie pracy, podziale zadań itp. Na jakość podejmowanych przez grupę decyzji wpływa również znajomość ogólnej sytuacji ekonomicznej przedsiębiorstwa, portfela zamówień, planowanych zmian organizacji pracy itp.... Należy tu podkreślić wagę systematycznego dopływu takich informacji. Regularny ich dopływ mobilizuje grupę do pracy, angażuje do natychmiastowego rozwiązywania zaistniałych trudności itp. Ograniczony bądź nieregularny dopływ informacji utrudnia pracę grupy, wytwarza atmosferę niepewności i wyczekiwania.

Ważną rolę w działalności grupy odgrywa stosowany przez nią **system wynagrodzeń.** Spotkać tu można bardzo różne rozwiązania, wspólne natomiast jest dla nich to, że wszyscy członkowie wypracowują wspólny dla grupy fundusz płac, a następnie dokonują jego podziału (części lub całości) według ustalonych przez siebie kryteriów. Płaca może się tu dzielić na **część stałą** (zróżnicowaną ze względu na posiadane kwalifikacje, staż pracy itp.) oraz **zmienną** (premię), o podziale której decydują członkowie grupy. Spotkać można również grupy, w których wszyscy pracownicy otrzymują jednakowe płace. Zdarza się to częściej w grupach funkcjonujących w dłuższym czasie o wyrównanym poziomie kwalifikacji jej członków.

Interesujące pod tym względem rozwiązanie zastosowano w katowickiej **„Hydrobudowie"**, gdzie grupy pracownicze podejmują się wykonania konkretnych obiektów, otrzymując w zamian zryczałtowane wynagrodzenie. Podstawą do jego wyliczenia jest pracochłonność robót (w roboczogodzinach) oraz średnia ważona stawki zasadniczej zespołu realizującego zadania. Do tak naliczonego funduszu płac dodaje się 40 proc. premii oraz sumę ewentualnych dodatków funkcyjnych. Pracownicy otrzymują w trakcie realizacji zadania wynagrodzenie zaliczkowe (płaca podstawowa plus premia regulaminowa) zaś rozliczenie końcowe następuje po zakończeniu zadania i odbiorze jakościowym. Podziału uzyskanych nadwyżek (na ogół znacznych, wynikających ze skrócenia czasu budowy) dokonuje sama grupa przekazując do kasy gotową listę płac. Odmienny system wynagrodzeń przyjęto w Zakładach im. Karola Świerczewskiego, gdzie fundusz płac stanowi 8 proc. od ceny sprzedaży produktów wykonywanych przez grupę.

W systemie tym o wysokości płac (a przynajmniej o znacznej ich części) nie decyduje więc efekt indywidualny ale grupowy.

Fakt ten przynosi zasadniczą zmianę w podejściu do pracy. Normalną w grupie praktyką staje się **maksymalne wykorzystanie czasu pracy,** wzajemna pomoc przy wykonywaniu poszczególnych operacji, ujawnianie tajemnic zawodowych młodszym pracownikom itp. Pracownicy starają się wzajemnie ułatwiać sobie pracę, a nie utrudniać, jak to często miało miejsce dotychczas. Różnica w podejściu do pracy, jak twierdzą liderzy, polega na tym, że jeśli poprzednio **praca szukała pracownika, to obecnie pracownik szuka pracy.**

Korzystne warunki do działalności grupy występują wtedy, jeśli jej miejsce pracy zostało **wyraźnie oddzielone** od innych grup czy indywidualnych pracowników. Nie musi to być odrębne pomieszczenie, wystarczy wyodrębniona przestrzeń w dużej hali produkcyjnej. Takie warunki pracy przyśpieszają integrację grupy i zwiększają jej stabilność. Pracownicy zwracają wtedy większą uwagę na porządek i czystość w miejscu pracy i czują się za to odpowiedzialni. Integracji sprzyjają również rozwiązania, w których pracownicy mają ze sobą kontakt wzrokowy, do czego prowadzi np. ustawienie montażu w kształcie litery „U", likwidacja przegród między pracownikami itp. Sprzyja temu również oddzielne dla grupy zaplecze socjalne.

5. REZULTATY SYSTEMU GRUPOWEGO

Nakreślone wyżej ogólne zasady funkcjonowania grupowo-autonomicznych form organizacji pracy nie dają pełnego ich obrazu bez prezentacji efektów, jakie system ten przynosi.

Można generalnie stwierdzić, że w olbrzymiej większości przypadków system ten prowadzi do poprawy efektywności ekonomicznej przedsiębiorstwa. Można jednocześnie zauważyć, że przynosi on znacznie lepsze wyniki w Polsce niż w krajach zachodnich, prawdopodobnie ze względu na istniejące dotychczas różnice w poziomie organizacji pracy. Poprawa efektywności ekonomicznej występuje również przy zmianie linii technologicznej na system grupowy chociaż sprawa ta budzi wiele wątpliwości.

Niektórzy zwracają uwagę na **wyższe koszty** stanowisk pracy grupy, wyższy koszt stanowisk kontrolnych, większą powierzchnię produkcyjną itp. Intensywność pracy w grupach może być rzeczywiście nieco niższa, ale takie jej rezultaty jak wyeliminowanie nieplanowanych przestojów (grupa może rozpoczynać pracę nawet przy niepełnej obsadzie) zmniejszenie liczby pracowników kontroli i nadzoru, spadek kosztów napraw gwarancyjnych czy wzrost racjonalizacji produkcji, przynosi w ogólnym bilansie korzystny rezultat dla przedsiębiorstwa.

Mówiąc najbardziej ogólnie system ten prowadzi do **wzrostu wydajności pracy.** Przeprowadzone w latach 70 szerokie na ten temat badania na Zachodzie wykazały, że wzrost wydajności pracy osiągnięto w 93 proc badanych grup. Korzystne pod tym względem rezultaty przynosi również system brygadowy w ZSRR, gdzie w niektórych przemysłach wydajność pracy wzrosła 10—15 proc. Jeszcze korzystniejsze rezultaty zanotowano w Polsce. W Zakładach im. Karola Świerczewskiego w okresie 5 miesięcy funkcjonowania grup partnerskich na jednym z wydziałów wydajność pracy wzrosła średnio o 20 proc., chociaż w dwóch z nich wzrost ten wynosił aż 50 proc. Wysoki wzrost wydajności osiągnięto również w „Hydrobudowie" katowickiej, gdzie w systemie grupowym jest on średnio o około 50 proc. wyższy niż w systemie tradycyjnym. Oznacza to rewelacyjnie krótkie terminy wykonania np. rurociąg Góra Halembska — Czarny Las zaplanowany na 45 miesięcy wykonano w 14 miesięcy.

System ten prowadzi również do **spadku absencji i fluktuacji** załogi. Spadek taki wystąpił w 73 proc. badanych grup na Zachodzie. O 21 proc. zmniejszyła się absencja w Zakładach im. Karola Świerczewskiego. Z 70 proc. do 20 proc. zmniejszyła się fluktuacja w zakładach „Saab-Scania" przy niektórych liniach montażowych. Jednocześnie poprawiły się wskaźniki jakości produkcji (w zakładach „Bosch-Siemence" koszty napraw gwarancyjnych spadły o około 50 proc.) i poprawę taką zanotowano w 85 proc. badanych grup na Zachodzie. Zaobserwowano również wzrost zaangażowania pracowników w wykonywaną pracę, co ujawniło się we wzroście racjonalizacji.

Praca w systemie grupowym jest bardziej interesująca, zapewnia pracownikom niezbędne urozmaicenie, stwarza możliwość pełniejszego wykorzystania posiadanych kwalifikacji, a także zachęca do ich podwyższania. Nowy system pracy przynosi wzrost zadowolenia i satysfakcji pracowników. Pracownik czuje się potrzebny i doceniany w zakładzie, dostrzega poprawę swojej w nim pozycji. W rezultacie system ten prowadzi do wzrostu poczucia własnej godności u pracowników.

Wspomnijmy jeszcze o **wadach tego systemu,** bo system ten nie jest również ich pozbawiony. Możliwość decydowania o składzie grupy prowadzi do eliminowania z niej nie tylko złych pracowników, ale także tych, którzy nie z własnej winy nie dorównują innym (pracownicy w podeszłym wieku, o słabszym zdrowiu itp.). Grupy niechętnie przyjmują do swego grona również działaczy społecznych obciążonych dodatkowymi obowiązkami w zakładzie. W krajach zachodnich (Francja) pracownicy uznają za wadę tego systemu fakt, że prowadzi on do redukcji zatrudnienia, a więc i wzrostu bezrobocia. Zdarza się również, że pracodawcy wykorzystują ten system do podsycania niezdrowej rywalizacji między grupami.

Należy dodać, że wprowadzenie systemu grupowego wymaga często znacznych nakładów (zakup dodatkowych urządzeń, aparatury, przebudowa transportu wewnętrznego, poprawa zaplecza socjalnego itp.). Nie wszystkie przedsiębiorstwa mogą sobie na to pozwolić. Dotyczy to najczęściej przedsiębiorstw słabszych, chociaż takie właśnie przedsiębiorstwa wymagają najbardziej zmian. Należy jednocześnie pamiętać, że każda zmiana stanowi dla przedsiębiorstwa ryzyko.

Grupowo-autonomiczne formy organizacji pracy stanowią rozwiązanie niezwykle atrakcyjne, stąd zyskały w wielu krajach znaczną popularność. Wiele wskazuje na to, że mogą być one użyteczne również w warunkach polskich. Faktem jest, że formy te nie mogły się rozwijać w warunkach wysokiej centralizacji systemu zarządzania i dlatego podejmowane próby kończyły się najczęściej niepowodzeniem. Nie ulega natomiast wątpliwości, że realizowana obecnie reforma gospodarcza tworzy korzystniejsze do tego warunki.

Czasy nadziei i rozczarowań (13)

Wojewoda lubelski popełnił ewidentne błędy

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

Proponujemy przenieść się teraz do Lublina.

Konflikt, jaki powstał w oświacie lubelskiej wziął swój początek od osoby dyrektorki Państwowego Zakładu Wychowawczego w Lublinie, S. Witkowskiej. Sekcja Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność", Zarządu Regionu z przyczyn bliżej mi nie znanych podjęła energiczną akcję zmierzającą do zwolnienia Witkowskiej z zajmowanego stanowiska. Rada Pedagogiczna szkoły, najbardziej autorytatywny organ w tej sprawie, w tajnym głosowaniu opowiedziała się przeciw temu wnioskowi. No i zaczęło się. 2 września wspomniana sekcja zgłosiła wotum nieufności dla kuratora i kilku jego współpracowników. Następnego dnia do ministra Bolesława Farona został wysłany teleks podpisany przez wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu wzywający go do przyjazdu do Lublina dla omówienia stanu oświaty w województwie lubelskim. Jako miejsce spotkania zaproponowano jeden z lubelskich zakładów pracy. Chodziło o to, aby rozmowa na ten temat odbywała się pod naciskiem tłumu. Nie był to pomysł oryginalny. Aktywiści „Solidarności" w rozmowach z przedstawicielami władzy zawsze starali się włączyć do nich publiczność, którą bez większego trudu można było epatować wzniosłymi frazesami. W takiej scenerii przedstawiciele władzy z miejsca lądowali na przegranej pozycji, bowiem nie rozporządzali tłumem klakierów. Faron do Lublina nie pojechał.

W drugiej połowie września mury miasta pokryły plakaty „Solidarności" informujące o zgłoszeniu wotum nieufności wobec kuratora. Z drobnej w istocie rzeczy sprawy postanowiono uczynić wielką. Kuratorem był w tym czasie ob. Korolczuk, który w obliczu zmasowanej kampanii zrezygnował z pełnionej funkcji. Ówczesny wojewoda lubelski, E. Garbiec, przyjął rezygnację i mianował kuratorem Kazimierza Jagowdzika, bezpartyjnego, nauczyciela fizyki w Liceum Ogólnokształcącym nr 9 w Lublinie. Jagowdzik był znanym działaczem związkowym, który od 5 stycznia 1981 roku pełnił funkcję społecznego prezesa Zarządu Oddziału ZNP w Lublinie. Sekcja Oświaty i Wychowania „Solidarności" poczuła się urażona powołaniem nowego kuratora bez jej zgody. Postanowiono więc kontynuować akcję plakatową, a szkolnym ogniwom „Solidarności" polecono wysłanie do wojewody protestów przeciwko sposobowi powołania kuratora. Otrzymał ponad sto rezolucji, z czego około 30 proc. stanowiły rezolucje ZNP, popierające kandydaturę Jagowdzika. Do akcji protestacyjnej wciągnięto komisje zakładowe „Solidarności" zakładów pracy województwa lubelskiego co oznaczało, że organizacja protestów działała bardzo sprawnie. Protestowały także komórki „Solidarności" w Służbie Zdrowia, a nawet „Solidarność Rolników Indywidualnych". Uruchomiono także ogniwa „Solidarności" w innych województwach. Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność" pracowników Oświaty i Wychowania województwa legnickiego w proteście skierowanym do Farona oznajmiła, że popiera działania kolegów z Lublina, i wyraziła przekonanie, że „tylko konkurs otwarty stwarza obiektywne warunki do wyłonienia kandydata na stanowisko kuratora...". Nie ulega wątpliwości, że zanosiło się na kolejną próbę sił.

14 października w Lubelskich Zakładach Naprawy Samochodów odbył się wiec zorganizowany przez „Solidarność" pod hasłem „Solidarnie ratujemy oświatę", na którym sformułowano 21 postulatów dotyczących „odrodzenia oświaty w woj. lubelskim". Postulaty przekazano wojewodzie, który zaproponował spotkanie w siedzibie Zarządu Regionu. Przedstawiciele „Solidarności" odmówili udziału w nim, ponieważ w składzie delegacji władz wojewódzkich obecny był nowo mianowany kurator. 16 listopada odbyło się spotkanie wicewojewody z przedstawicielami sekcji Oświaty i Wychowania Regionu, podczas którego władze wojewódzkie usłyszały, że odwołanie lub zawieszenie kuratora jest warunkiem rozpoczęcia rozmów. W tej sytuacji do rozmów nie doszło, a sekcja Oświaty i Wychowania ogłosiła gotowość strajkową w 19 szkołach ponadpodstawowych województwa lubelskiego, zaś w dwa dni później we wszystkich szkołach ponadpodstawowych. 19 listopada w kilkunastu szkołach ponadpodstawowych przystąpiono do tzw. strajku czynnego. Jego istota polegała na tym, że zajęcia w szkole odbywały się normalnie, z tym, że obok przedmiotów podstawowych wprowadzono zajęcia specjalne z dziedziny historii, etyki, języka polskiego, kultury i filozofii. Te specjalne zajęcia obejmowały, jak informowali członkowie Sekcji Oświaty i Wychowania Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego tematy, na które dotychczas nie było miejsca w programach i podręcznikach szkolnych, jak np. chrzest Polski i jego znaczenie, literatura emigracyjna, refleksje samowychowawcze wobec współczesnej sytuacji w kraju... Do wygłaszania pogadanek zgłosili się naukowcy z lubelskich uczelni, szczególnie liczne grono z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Nie przytaczam nazwisk, bowiem nie jest to dziś już istotne.

Strajk czynny w szkołach ponadpodstawowych województwa lubelskiego został odwołany 3 grudnia w wyniku zawarcia „wstępnego porozumienia pomiędzy wojewodą lubelskim i regionalnym komitetem strajkowym szkół w obecności członków Prezydium Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność" z siedzibą w Lublinie". Taka była nazwa porozumienia, do którego jeszcze powrócimy. Strajk został odwołany, ale utrzymano pogotowie strajkowe do czasu zawarcia ostatecznego porozumienia. Więc nadal sztandary, opaski biało-czerwone, dyżury itp. Podniecenie miało trwać dalej.

Strajk szkolny w Lublinie zwrócił na siebie uwagę całej Polski. W szerokich kołach opinii publicznej wywołał zdziwienie, a nierzadko i oburzenie. Wielu ludzi nie mogło po prostu pojąć, że do politycznych rozgrywek wciągnięto młodzież, i to w sposób szczególny. Na zimno zaplanowano użycie młodzieży, jako środka nacisku na władze, które zdaniem organizatorów akcji protestacyjnej nie chciały spełnić postulatów „Solidarności". Strajk w lubelskiej oświacie nie przyniósł młodzieży nic dobrego; spowodował podziały wśród młodych ludzi, wzniecił uczucia wrogości, a nawet nienawiść. Nie wszyscy uczniowie byli zwolennikami strajku, ale działał przymus moralny. Nie wszyscy rozumieli też potrzebę strajku o **kuratora, o „odkłamanie" programów, o 5 tysięcy miejsc w przedszkolach itp. Takie były m. in. postulaty organizatorów strajku.** Słusznie Zarząd Okręgu ZNP Oświata w Lublinie apelował: „Nade wszystko pamiętajmy, że podmiotem naszego działania jest dziecko, młodzież. Intelekt, charakter, postawy i poglądy młodego człowieka, przygotowanie do życia i pracy, dla dobra społeczeństwa i własnego rozwoju — oto cel nadrzędny, wspólny wszystkim, którzy rozumieją obowiązek nauczyciela i wychowawcy". Z wielu wypowiedzi publikowanych na łamach prasy na temat strajku jedną z nich już wówczas odłożyłem do swojego archiwum, ponieważ wydała mi się szczególnie trafna. „Rozumiem, powiedziała „Trybunie Ludu" Janina Skrablewska, że w walce politycznej stosuje się różne chwyty, ale ten, o którym docierają wieści z Lublina — o nakłonieniu tam do strajku młodzieży — uważam już nie za chwyt, czy cios, a wprost za zbrodnię. Jako matka dwojga dzieci, 14-letniej córki i 17-letniego syna, oświadczam kategorycznie: wara od nich!". Ba, kiedy rzecz w tym, że ci, którzy wciągnęli młodzież do strajku, byli głusi na tego rodzaju apele. Wyglądało na to, że opanowała ich jakaś trudna do zrozumienia gorączka. W pamięci utkwiła mi rozmowa, jaką odbył dziennikarz „Trybuny Ludu" z przewodniczącym regionalnego komitetu strajkowego szkół. Na pytanie dziennikarza, czy uważa wciągnięcie młodzieży do strajku czynnego za krok rozsądny, w odpowiedzi usłyszał: nie mogę zrozumieć dlaczego pan uważa za wysoce niewłaściwe włączenie młodzieży do akcji protestacyjnej; przecież w ten sposób rozszerzy ona swoje horyzonty myślowe, uczy się samorządności itp...

Jak pamiętamy, organizatorzy akcji protestacyjnej w lubelskiej oświacie zaczęli swą działalność od zgłoszenia wotum nieufności wobec kuratora oraz wyrażenia niezadowolenia, że mianowanie jego następcy nastąpiło bez zgody „Solidarności". Otóż wojewoda nie musiał uzgadniać z „Solidarnością" kandydatury, którą zgłosił ministrowi oświaty i wychowania. W dniu 19 listopada, minister Faron w porozumieniu ze mną wysłał do Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność" teleks o następującej treści: „Informuję, że powołanie kuratora oświaty i wychowania w Lublinie nastąpiło na wniosek wojewody lubelskiego zgodnie z obowiązującymi aktami prawnymi. W związku z tym nie ma żadnych podstaw do zmiany na tym stanowisku". Zgłoszony protest mógł zatem prowadzić do wniosku, że jego autorzy chcieli zmienić istniejącą praktykę, to znaczy spowodować, aby nominacje urzędników państwowych mogły się w przyszłości dokonywać po wcześniejszej akceptacji danego kandydata przez „Solidarność". Być może, że o to też chodziło, być może, objawiona wobec kuratora niechęć, oprotestowanie jego następcy miało także swe źródło w tym, że obaj byli członkami ZNP, który bynajmniej nie był szczątkową organizacją. Ale już wkrótce miało się okazać, że kuratorzy byli jedynie pretekstem, że chodziło o coś zgoła innego. Powody, pisał dziennikarz „Słowa Powszechnego", które skłoniły Sekcję Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność" do podjęcia tak drastycznego kroku, „wykraczają daleko poza fakt tej nominacji". Otóż to. Lubelska awantura, sięgnięcie po strajk jako środek nacisku, wielka akcja plakatowa z hasłami mówiącymi o potrzebie odnowy szkoły, ratowania edukacji narodowej itp., organizowanie poparcia w całym kraju („pójdzie to na całą Polskę", oświadczali członkowie sekcji), domaganie się, aby kurator był wybierany w drodze konkursu, treść lekcji wygłaszanych w czasie trwania strajku czynnego — wszystko to miało na celu zmianę dotychczasowego charakteru szkoły. Mówiąc wyraźnie chodziło o odebranie jej, jeśli nie w całości, to przynajmniej w części socjalistycznego charakteru. „Strajkuje się, pisał publicysta „Sztandaru Młodych" także — i powiedzmy to jasno — o zrzucenie w oświacie i wychowaniu młodzieży „monopolu" marksistowskiego światopoglądu. Dąży się do pluralizmu w wychowaniu szkolnym, do praktycznego wprowadzenia w oświacie wielości światopoglądów i „swobodnego" ich wyboru. Tym celom ma służyć „czystka kadrowa" w oświacie, jakiej „Solidarność" żąda w postulatach przekazanych wojewodzie, tworzenie nowych organizacji i związków młodzieżowych, ponadprogramowe zajęcia, wnioski o usunięcie ze szkół osób „nie akceptowanych społecznie", co w praktyce sprowadza się do eliminowania z placówek oświatowych komunistów, pomniejszania w życiu szkoły roli organizacji partyjnych i ZSL. W ich miejsce sprawami ideowego wychowania zająć się mają związki nauczycielskie, nowo tworzone organizacje młodzieżowe, a za tym wszystkim stoi praktycznie „Solidarność" ze swoim „programem powszechnej demokratyczno-patriotycznej oświaty...".

W świetle bogatej dokumentacji, którą zgromadziliśmy w czasie trwania strajku i po jego zakończeniu, ocena wypowiedziana przez publicystę „Sztandaru Młodych" nie wymaga uzupełnień, Lubelska „Solidarność", a chyba nie tylko ona, nie osiągnęła jednak celów, jakie sobie wytknęła. Prawdę mówiąc podążanie do nich faktycznie przecięło wprowadzenie stanu wojennego. Przed tym jednak doszło do pewnego zdarzenia, któremu warto poświęcić nieco uwagi. Jak już wspomniałem, 3 grudnia nastąpiło odwołanie strajku czynnego dzięki osiągnięciu wstępnego porozumienia pomiędzy wojewodą lubelskim i organizatorami akcji protestacyjnej. Zanim omówimy owe porozumienie, które wywołało sporo zamieszania, kilka słów o zachowaniu się miejscowej władzy. Wbrew temu, co mówili przedstawiciele „Solidarności", władze wojewódzkie prowadziły z **Sekcją Oświaty i Wychowania w miesiącach poprzedzających wybuch konfliktu stale rozmowy.** Takich spotkań odbyło się aż osiemdziesiąt. Kontynuując niejako tę tradycję, wojewoda lubelski przystąpił do działań, zmierzających do wygaszenia konfliktu. W centrali uważnie śledziliśmy przebieg rozmów stron, nie ingerując w nie, ponieważ wysyłani do Lublina z ministerstwa pracownicy merytoryczni, zaczynając od wiceministra, a kończąc na dyrektorze departamentu, wracali do stolicy z zapewnieniem władz wojewódzkich, że są one w stanie własnymi siłami rozwiązać konflikt. Minister proponował włączenie swoich współpracowników do zespołu negocjacyjnego, wojewoda uprzejmie wnioski Farona odrzucał. Skoro tak, to mogliśmy jedynie cieszyć się, że towarzysze w terenie sami są w stanie stawiać czoła nawałnicy. 3 grudnia pękła bomba. Na naszych biurkach znalazła się treść wstępnego porozumienia.

Wojewoda podpisał się pod kilkoma ustaleniami, które wyraźnie wychodziły poza kompetencje Urzędu Wojewódzkiego. Tak np. zezwolił na kontynuowanie i wprowadzanie „zainicjowanych zmian w treściach i metodach nauczania z historii, języka polskiego, elementów filozofii, nauk społeczno-ekonomicznych i etyki, w ogólnych ramach programu z uwzględnieniem obecnych tendencji zmian w oświacie". Przyjął także na siebie zobowiązanie, że powyższe postanowienie „będzie obowiązywało we wszystkich szkołach i placówkach oświatowo-wychowawczych w województwie lubelskim". Wojewoda nie miał żadnych uprawnień do wzięcia na siebie tego rodzaju zobowiązań; ponieważ zgodnie z istniejącymi przepisami, o treściach nauczania stanowi minister oświaty i wychowania. Naruszył także istniejące prawo, gdy stwierdził, iż „wojewoda lubelski uznaje fakt istnienia Niezależnego Ruchu Harcerskiego i Federacji Młodzieży Szkolnej", zobowiązując się jednocześnie do tego, że „władza administracyjna nie będzie czynić przeszkód w działalności tych organizacji i udzieli im niezbędnej pomocy". W chwili, gdy brał na siebie to zobowiązanie, obie organizacje były nielegalne. Władze nie znały ich statutów. Ewentualna rejestracja mogła nastąpić dopiero po uzyskaniu od organizatorów jednego i drugiego ruchu deklaracji ideowych. Zakładanie zaś kół tych organizacji na terenie szkoły mogło nastąpić tylko po wyrażeniu zgody przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania. Aby postawić kropkę nad „i", trzeba powiedzieć, że twórcy tych organizacji, delikatnie się wyrażając, nie byli zwolennikami socjalizmu.

Wojewoda lubelski popełnił ewidentne błędy. Nie potrafię powiedzieć, jakie były ich rzeczywiste przyczyny. Nie wykluczam, że władze województwa lubelskiego tak się przejęły przekazywanym nam zapewnieniem, iż same potrafią rozwiązać konflikt, że chciały to za wszelką cenę udowodnić. Nie jest też wykluczone, że zobowiązania, jakie wziął na siebie wojewoda, wynikały z ogólnego rozgardiaszu, jaki w listopadzie 1981 roku zapanował w kraju. Zdaje się, że już w pierwszej części naszej rozmowy mówiłem, iż pod koniec 1981 roku władze zarówno centralne, jak i wojewódzkie były już mocno zmęczone, psychicznie i fizycznie. W takiej sytuacji ostrość spojrzenia na rzeczywistość u niektórych przedstawicieli władzy uległa stępieniu.

— 30 października odbyło się posiedzenie Sejmu, na którym generał Jaruzelski wystąpił z propozycją utworzenia Rady Porozumienia Narodowego. W następnych dniach i tygodniach, był to jeden z głównych tematów w życiu politycznym kraju. Czy możesz nam powiedzieć o okolicznościach, w których powstała ta propozycja?

Tak, ale uważam, że zanim to uczynię, trzeba przypomnieć trzy wydarzenia, które poprzedziły propozycję, z którą wystąpił szef rządu.

23 października, Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność" podjęła uchwałę w sprawie przeprowadzenia 28 października, ogólnokrajowego, godzinnego strajku protestacyjnego. O co chodziło w tym strajku? Kierownictwo „Solidarności" uznało, że związek musi zaprotestować przeciwko pogłębiającemu się kryzysowi gospodarczemu, którego skutki były szczególnie dotkliwe dla społeczeństwa, zwłaszcza w zaopatrzeniu w żywność. Jest takie porzekadło, że kogo Pan Bóg chce ukarać, temu wpierw rozum odbiera. Wyglądało na to, że tak właśnie stało się z przywódcami „Solidarności". Przecież w warunkach rzeczywiście pogłębiającego się kryzysu, strajk, nawet ograniczony do jednej godziny, nie mógł w żadnym przypadku wpłynąć na poprawę sytuacji gospodarczej. Ale to jeszcze nie wszystko. Rzecz w tym, że strajk ten przez wielu ludzi pracy nie był już akceptowany. Nie rozumiano, co przywódcy „Solidarności" chcą przez taką akcję osiągnąć. W tych dniach widoczne było już zmęczenie milionów ludzi ciągłymi akcjami protestacyjnymi. Niemała liczba pracowników uczestniczyła w strajku w poczuciu bezradności, pod presją psychiczną. Mimo że wielokrotnie wypróbowywana machina protestacyjna „Solidarności" pracowała na pełnych obrotach, strajk był porażką taktyki przyjętej przez przywódców związku. W tysiącach zakładów pracy pokaźne grupy pracowników nie wzięły udziału w strajku, w niektórych ograniczono się do wywieszenia flag, w jeszcze innych przeprowadzono referendum za, czy przeciw strajkowi. Były nawet takie przypadki, że całe załogi protestowały przeciwko zapowiedzianej akcji protestacyjnej. (...)

Niemałą rolę w ograniczeniu skali zapowiedzianego strajku odegrały także przeciwdziałania podjęte przez partię, ogniwa związków branżowych, organizacje społeczne i rząd. (...)

Nie jest wykluczone, że wszystko to, co działo się wokół zapowiedzianego strajku, a także jego przebieg, skłoniły Prezydium KK do opublikowania w dniu 30 października uchwały wzywającej wszystkie ogniwa związku do zaprzestania akcji strajkowych. Można by jedynie wyrazić zadowolenie z takiego kroku, gdyby nie to, że: a) wezwanie pojawiło się stanowczo zbyt późno; przypominam, że to przecież KK zorganizowała wspomniany ogólnokrajowy strajk i b) strajki organizowane niejednokrotnie przez członków KK nadal trwały. No, ale Prezydium KK mogło powiedzieć: widzicie, my też jesteśmy przeciwko strajkom, ale jesteśmy bezsilni, bo to przecież żywioł. Moją opinię na temat żywiołowości już kilkakrotnie wypowiadałem.

Wróćmy jeszcze do posiedzenia KK w dniu 23 października, na którym podjęto decyzję o przeprowadzeniu godzinnego strajku ostrzegawczego. Uczestnicy posiedzenia dyskutowali nad projektem uchwały w sprawie ogłoszenia strajku generalnego, jeśli do końca października rząd nie spełni określonych postulatów „Solidarności". Nie były to żadne nowe stwierdzenia, a więc: że rząd odpowiada za głęboki kryzys, że działania władz są chaotyczne, że rząd odmawia prawa do kontroli społecznej nad gospodarką itp. Zostawmy je zatem w spokoju. Najistotniejsze było to, że uchwała ta została przegłosowana, 54 członków KK głosowało za strajkiem generalnym, 22 osoby przeciw. Po przyjęciu uchwały, Region Łódzki zgłosił do tego fragmentu uchwały votum separatum. Kropiwnicki podszedł do mikrofonu i zaczął wyjaśniać przyczyny, które spowodowały zgłoszenie votum separatum. Sens jego wywodów sprowadzał się do postawienia członkom KK kilku pytań. Czy chodzi Wam o zmianę rządu? Czy chcecie generalnej, rozstrzygającej bitwy? Jeśli tego chcecie, mówił, to podejmujemy taką decyzję, ale wtedy powiedzmy sobie, że w oknach naszych zakładów należy wystawić karabiny maszynowe, a kosy stawiać na sztorc. Takie są, stwierdził w zakończeniu, konsekwencje tej decyzji. Po wystąpieniu Kropiwnickiego ogłoszono dziesięciominutową przerwę, a po niej fragment uchwały dotyczący strajku generalnego wymieniono na inny, o następującej treści: „Jeśli żądania te nie zostaną przez rząd spełnione do końca bieżącego miesiąca, Związek będzie zmuszony do podjęcia strajku czynnego w wybranych dziedzinach gospodarki. Termin i zakres strajku ustali Komisja Krajowa". W przerwie, podczas której ktoś „poszedł po rozum do głowy", istotną rolę w usunięciu wspomnianego fragmentu odegrał Wałęsa. W czasie dyskusji nad nim — jak powiedział — nie dość pilnie ją śledził. Jemu wydawało się, że chodzi jedynie o ewentualną możliwość ogłoszenia strajku generalnego albo czynnego.

Przypominam ten incydent, ponieważ jest on z kilku powodów interesujący. Wyniki głosowania oznaczały, że w KK górę wzięły już elementy awanturnicze, zmierzające do konfrontacji, bez względu na jej skutki. Można było także poczynić smętne uwagi nad brakiem poczucia odpowiedzialności u ludzi, którzy kierowali wielomilionowym Związkiem. Zjawisko, że przywódca Związku może inaczej zrozumieć dyskusję aniżeli 54 członków KK głosujących za przyjęciem postanowienia o ogłoszeniu strajku generalnego, to też fakt żenujący.

Powiedziałem, że trzy wydarzenia poprzedziły sejmowe wystąpienie gen. Jaruzelskiego. Otóż drugim wydarzeniem, bardzo istotnym, było przyjęcie przez Prezydium Rządu w dniu 23 października uchwały o powołaniu terenowych grup operacyjnych, upełnomocnionych przez premiera do działania przede wszystkim w gminach, a także w określonych miastach. Szefami tych grup byli żołnierze zawodowi, ściślej oficerowie, a ich członkami szeregowi i podoficerowie odbywający przedłużoną o dwa miesiące służbę zasadniczą. Głównym obowiązkiem TGO było sygnalizowanie rządowi wszelkich niekorzystnych zjawisk, przeciwdziałanie im i udzielanie niezbędnej pomocy społeczeństwu oraz miejscowym organom władzy w zapewnieniu konstytucyjnego ładu.

Inicjatorem powołania terenowych grup operacyjnych był szef rządu. Była to jedna z tych decyzji, o której można powiedzieć, że trafiła „w dziesiątkę". Pojawienie się wojskowych w tysiącach wsi, miasteczek i miast zostało przez pokaźne odłamy społeczeństwa powitane z wielką ulgą. Nierzadko można było wówczas usłyszeć, że jednak tam, na górze „o nas nie zapomniano". Mówiąc wyraźnie, wojskowi przypomnieli, że władza jeszcze istnieje, w co już późną jesienią 1981 roku wielu ludzi wątpiło. Ojczyzna nasza była w tym czasie poddawana ciężkiej próbie. Obok działalności mającej na celu odnowę życia społecznego, angażującej się w usuwanie zła, mnożyły się nie tylko przejawy anarchizmu, lecz kanciarstwa i klikowości. Pękały więzy przyjaźni i koleżeństwa łączące ludzi przez wiele lat, na miejsce ładu i porządku wkradł się chaos. Dziesiątki tysięcy pracowników różnych punktów usługowych, restauracji, bufetów itp. „olewało" swoje obowiązki.

Terenowe grupy operacyjne bardzo szybko zdobyły sobie wśród obywateli uznanie i szacunek. W kierowniczych zespołach „Solidarności" faktycznie zbagatelizowano polityczne następstwa uruchomienia terenowych grup operacyjnych, chociaż B. Borusewicz w czasie posiedzenia gdańskiego Zarządu Regionu w dniu 30. XI. wyraził pogląd, że największą przeszkodą w realizacji planów wobec wsi są terenowe grupy. Ludzie na wsi, powiedział, wierzą Jaruzelskiemu. Przywódcy „Solidarności" powinni byli wziąć pod uwagę stosunek społeczeństwa do TGO, westchnienie ulgi, z jaką przyjęto pojawienie się żołnierskich grup. Dlaczego zlekceważono ten fakt? Nie pomylę się, jeśli stwierdzę, że w tym czasie na pewno nie wszyscy, ale jednak większość działaczy Związku przejawiała na wskroś lekceważący stosunek do władzy. Był to okres, w którym zarówno wśród doradców, jak i kierowniczego aktywu „Solidarności", raczej na skalę masową, upowszechniał się pogląd, że tę władzę — wymawiano te słowa z widocznym lekceważeniem w głosie — nie stać już na jakiekolwiek energiczne działania. A wygłaszane przez nas ostrzeżenia traktowano jak zwyczajne mielenie jęzorem. Muszą tak mówić, bo co im pozostało?

CDN.

Rzecz o głupich warchołach i fałszywych patriotach

MARIAN PODLASZEWSKI

„Za dużo było u nas odważnych do szaleństwa warchołów i wtedy tym gorzej dla nas, bo lepiej by było, aby właśnie warcholi mieli mniej temperamentu i byli na mniejszą skalę stworzeni, w zamian za ludzi uczciwych, którzy jakoś znów u nas przeważnie jaj nie mieli lub też mieli je zbyt jakoś ukryte. Wielki charakter, wielki rozum i wielka odwaga stwarzają dopiero prawdziwie wielkiego człowieka. Takich było mało albo ginęli u nas w ogólnym bałaganie niewidocznie, jak muchy w lepie".

Kto mógł w ten sposób pisać przed drugą wojną światową? Tylko wielki artysta i patriota — Stanisław Ignacy Witkiewicz. Miłośnicy jego twórczości rozpoznali na pewno cytat wzięty z „Niemytych dusz", który można potraktować jako motto niniejszego artykułu.

Celem moim jest próba udzielenia odpowiedzi na pozornie retoryczne pytanie:

CZY JESTEŚMY NARODEM PATRIOTYCZNYM?

Ponieważ problem ten może wydać się mało atrakcyjny i zbyt poważny na okres wakacji, włączyłem do zasadniczego tekstu fragmenty dość zabawnej i — jak kto chce — aluzyjnej historyjki o warchołach, wydrukowanej ponoć w 1538 roku, a odkrytej przez nieocenionego profesora Lucjana Bergereta. Cytaty z ciekawej, śmiesznej oraz pouczającej książeczki sprzed czterech i pół wieku stanowią tu dygresje lub paralele, których wcale nie trzeba (choć warto) czytać.

Dygresja pierwsza (można opuścić i przejść dalej):

„Onego czasu pokazali się w kraiu mężowię, krzykacze wieldzy, co Warchołami się zwali, albowiem służyli nieiakiemu panu imieniem Warchoł, który lubo z rodu zacnego pochodził, był nieuk y iakby młodzik szpaki miał w głowie. Mieli Warchołowie drugiego ieszcze przywódcę, Trąbą zwanego, bo barzo pięknie gadał y cuda działał. Iakoż musiał niesławnie z Rzeczypospolitey uchodzić, bo prawo y obyczay ostracyzmu obróciły się przeciw niemu. Co prawda pomieniony Trąba był nieprzyjacielem Warchoła. Kiedy ieden ciągnął do góry, drugi ciągnął w dół. Ale Warchołowie nie dbali o to iako ludzie głupi wieldze, którzy nie wiedzieli, gdzie póyść wypada".

Koniec dygresji.

Powiadamy zwykle, że patriotyzm to miłość ojczyzny. Należy zatem sprecyzować najpierw, czym są miłość i ojczyzna. W pierwszej kwestii można zgodzić się z psychologiem Erichem Frommem, że kochać znaczy d a w a ć, a nie brać. Czynna miłość obejmuje troskę i zainteresowanie, poczucie odpowiedzialności, poszanowanie, poznanie. Brak któregokolwiek z wymienionych aspektów stawia pod znakiem zapytania autentyczność całego uczucia.

Z kolei ojczyzną nazywamy kraj, do którego naród jest emocjonalnie przywiązany i pragnie w nim posiadać własne państwo. Już półtora wieku temu Karol Libelt przekonywająco wywodził, że stronę materialną ojczyzny stanowią ziemia, ludność i państwo, natomiast duchową — obyczaje narodowe, język i literatura.

W świetle podanych definicji patriotą jest ten, kto daje z siebie jak najwięcej dla rozkwitu ojczyzny, kto zna i szanuje swój kraj, ciągle się o niego troszczy i czuje zań odpowiedzialny. Przedmiotem owych postaw są: środowisko naturalne, kultura materialna i duchowa, oraz współobywatele i państwo. Patriotyzm wyraża się nie tyle w słowach, gestach i wzruszeniach, co w realnych działaniach. Patriotyzm jest jednością przeżycia i czynu.

Z punktu widzenia przyjętych tu kryteriów, niełatwo stwierdzić, że Polacy są narodem patriotycznym. Albowiem gotowość do największych uniesień, poświęceń i ofiar nie idzie, niestety, a w parze z codzienną dbałością o przyrodę ojczystą, kulturę i państwo. Stan naszego kraju wyraźnie wskazuje na długoletnie zaniedbania. W dziejach Polski imponujące akty ofiarności i bohaterstwa kontrastują z prywatą, lekkomyślną beztroską oraz pewnym ubóstwem materialnym i moralnym. Tak było w odległej przeszłości i tak jest nadal. Na dowód łatwo mnożyć opinie historyków, pisarzy, poetów, działaczy społecznych i politycznych, a także spostrzeżenia cudzoziemców.

Dygresja druga (można opuścić, ale nie warto):

„Sądzili pomienieni Warchołowie, że kto iak wariat ryczy y barzo głupie dyskursa rozwodzi, naylepiey oyczyźnie miłey służy y naywyższą od niey nagrodę, to jest wieniec z dębowych gałązek, związanych wełnianą krayką, otrzyma. Za nic mieli tych, co chodzą za pługiem, koszą y młócą, na pastwiska bydło wyganiaią y szczepią grusze w tym przyiemnym kraju winnic, zbóż, łąk zielonych y sadów; za nic mieli maystrów, którzy ociosuią kamień y buduią po wsiach i miastach domy pokryte czerwoną dachówką albo łupkiem sztucznie rżniętym; za nic mieli tych tkaczów y szklarzów; za nic mieli górników, co we wnętrznościach Cybeli pracuią; za nic mieli uczonych, co w cichych komnatach swoich y bibliotekach cudne sekreta natury zgłębiaią; za nic mieli matki karmiące y poczciwe starki, które przy kominie ciepłym siedząc przędzą kądziel y bayki wnukom rozpowiedaią. Głosili, że tylko z tych Warchołów, którzy ryczą niczym osły na iarmarku, oyczyzna pożytek odnosi. Przyznaymy im iednak, że czyniąc tak myśleli, że sprawiedliwie czynią. Albowiem ubodzy byli duchem, a w głowie nic nie mieli okrom chmur y wiatru, co im gębą wychodził: dęli więc dla publicznego dobra y powszechnego profitu, ile starczyło im tchu".

Koniec dygresji.

Każdy przyzna, że w Polsce nie było i nie ma problemu z manifestowaniem uczuć patriotycznych czy z gotowością do obrony suwerenności kraju. Zawsze mieliśmy legion chętnych do umierania za ojczyznę. Natomiast tradycyjnie brakowało nam ludzi pracowitych, zdyscyplinowanych i obowiązkowych, którzy stale służą krajowi, a nie tylko w nadzwyczajnych okolicznościach.

Jakoś dziwnie się składa, że mamy państwo socjalistyczne, lecz wiele cech i zachowań charakterystycznych dla etosu rycersko-szlacheckiego. Z tym etosem związane są m.in. następujące postawy społeczne: kult walki, skłonność do świętowania, zabaw i życia towarzyskiego, zamiłowanie do permanentnych dyskusji, nieufność wobec władzy państwowej. W kulturze szlacheckiej, która u nas przetrwała znacznie dłużej niż w pozostałych krajach Europy, patriotyzm ograniczał się do sejmikowania i wojowania, wcale zaś nie kojarzył się z pracą.

Ustrój socjalistyczny w Polsce napotkał na charakter społeczny ukształtowany głównie w warunkach demokracji szlacheckiej i pod wpływem tradycji romantyczno-spiskowych. Charakter ów wciąż jeszcze determinuje sposób myślenia, odczuwania i działania naszego narodu. Jest on przekazywany w procesie socjalizacji i wychowania (szczególnie przez rodzinę) najmłodszemu pokoleniu.

Interesującym sprawdzianem stosunku Polaków do ojczyzny były wydarzenia

MIĘDZY SIERPNIEM 1980 ROKU A GRUDNIEM 1981 ROKU

W tamtych burzliwych dniach większość zachowywała się, moim zdaniem, według tracyjnie polskiego archetypu patriotyzmu. Z jednej strony, głośno wołano: *„Żeby Polska była Polską"* — a z drugiej, ze zdumiewającą lekkomyślnością żądano nowych przywilejów i godzono się na długie przestoje zakładów pracy, W patriotycznej oprawie plastycznej i z pieśnią, że jeszcze Polska nie zginęła wymyślano i organizowano kolejne strajki: ostrzegawcze, właściwe, solidarnościowe, wspomagające, okupacyjne, czynne, wahadłowe, rotacyjne, kroczące, nękające, głodowe, generalne, powszechne. A przy tym twardo domagano się zapłaty jak za... urlop wypoczynkowy. Postawy roszczeniowe dominowały wówczas nad przejawami dawania, czyli egoizm nad miłością. Sporo mówiono o godności, lecz bez żenady przyjmowano dary zagraniczne.

Dygresja trzecia (można opuścić):

„Było onego czasu w stolicy y iey okolicach mężów roztropnych y mądrych siła, którzy kochali oyczyznę y Rzeczpospolitą cudnieyszą y czyścieyszą miłością aniżeli Warchołowie. Albowiem chcieli owi roztropni mężowie, aby ich kray był mądry iak oni, aby kwitnął urodą i cnotą, trzymaiąc wdzięcznie w prawicy złotą różdżkę sprawiedliwości, aby panowały w nim pokóy, wolność y wesele. Inakszey oyczyzny pragnęli Warchołowie: niechże ta zacna pani kiy gruby dzierży y poczłwych nim okłada obywateli, niechayże, poświęconym wymachując różańcem, nakazuie im mamrotać zdrowaśki, niechayże będzie zła iako suka a szpetnie podległa szedziwemu hetmanowi Gełgopolowi i Trąbie. Nie skłamię rzekąc, iako chcieli ią zaprzedać klechom, obłudnikom, bigotom, donosicielom, szalbierzom, wszarzom, mężom w kiecki y kaptury stroynym y szkaplerzami obwieszonym, łysym a gołymi piętami świecącym, świętoszkom, łapiduchom, klepimodłom, kwestarzom, dziadom, szachraiom, łowcom testamentów".

Koniec dygresji.

Patriotyzm okresu między Sierpniem a Grudniem przybrał anachroniczne formy religijne. Wskrzeszono przy tym nietolerancyjny model *„Polaka-katolika"* oraz mesjanistyczną koncepcję *„przedmurza chrześcijaństwa"*. Ale żarliwości religijnej towarzyszyły intrygi i rozgrywki osobiste, akty nienawiści, żądanie szubienic. Zapomniano jakoś słowa najważniejszej modlitwy: *„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom"*.

W niemal barokowym uniesieniu organizowano w zakładach pracy nabożeństwa religijne, umieszczano krzyże, obrazy, figury święte. Nie było jednak widać znaczącej poprawy w życiu codziennym. Nie po raz pierwszy okazało się, że katolicyzm polski i patriotyzm są mało efektywne pod względem społeczno-moralnym.

Wydarzenia te ujawniły również, że Polakom bardzo potrzebna jest solidarność, ale „bez cudzysłowu" (Daniel Passent). Potrzebny jest patriotyzm oświecony i powszedni, a nie bezmyślny i odświętny. W końcu XX wieku nie można wierzyć, że jesteśmy narodem wybranym, któremu Matka Boska dana jest ku obronie.

Myślę, że powinniśmy

DOKONAĆ ZMIAN W NASZYM WYCHOWANIU PATRIOTYCZNYM

Jest ono za mocno oparte na wzorach romantycznych i pobudzaniu emocji. Praktyka ta została sprawdzona i przyniosła dobre efekty, lecz w zupełnie innych czasach: w okresie zaborów, powstań, wojen, okupacji. Miała też sens w latach rewolucji socjalistycznej. Obecnie zaś bardziej potrzebujemy ideałów pozytywistycznych, wzorów trzeźwego myślenia i pracy.

Przed niebezpieczeństwem wynikającym z nadmiernych emocji przestrzegał już przeszło sto lat temu Bolesław Prus. W 1881 roku pisał, że rozum polityczny powinien panować nad uczuciem. Należy — jego zdaniem — spokojnie i rozsądnie wysłuchiwać jak najwięcej różnych poglądów oraz tolerancyjnie traktować zdania nieprzyjemne dla naszego gustu.

Takiej właśnie tolerancji, rozumności i spokoju zwykle brakowało w naszym życiu politycznym. Historia i teraźniejszość Polski uczą, że emocje często uniemożliwiały nam wzajemne zrozumienie, trzeźwą ocenę sytuacji i powodowały, że nawet po szkodzie nie zawsze stawaliśmy się mądrzy.

Bolesław Prus uważał za złe i chorobliwe to, że patriotyzm Polaków *„objawia się w formach łzawosentymentalnych i rozpaczliwie beznadziejnych..."*. W 1912 roku podkreślał, że naród nie jest przecież *„histeryczną babą"*, która w sytuacji nieszczęścia dostaje ataku nerwowego. Społeczeństwa wyżej rozwinięte starają się nie ulegać ślepym uczuciom, a w przypadku klęski nie popełniają czynów, które mogłyby ją spotęgować lub wywołać nową klęskę. Narody mądre i dojrzałe potrafią odrobić straty poniesione w jednej dziedzinie na innym polu.

Wychowanie emocjonalno-romantyczne ma dużo uroku i zalet, łatwo je też realizować, lecz w Polsce nieuchronnie implikuje naiwną religijność i konserwatyzm polityczny. Romantyzm pociąga wprawdzie młodzież maksymalizmem etycznym, kultem młodości i bohaterstwa, ale jest to przecież ideologia irracjonalna, w której stawia się na serce, czucie, zapał, entuzjazm, a lekceważy rozsądek, pragmatyzm i ład życia codziennego.

Romantycy marzyli o postępie dokonującym się tylko w sposób gwałtowny — poprzez rewolucje, katastrofy, cierpienia — a nie drogą systematycznej pracy. Można powiedzieć nawet, że dokładnie zaplanowany, dobrze zorganizowany i rutynowy trud w ogóle ich nie interesował. Mierzyli *„siłę na zamiary"*, byli *„rozumni szałem"*, prezentowali postawy — wszystko albo nic, zaraz albo nigdy. Byli rewolucjonistami, ale zazwyczaj reakcyjnymi. Być może dlatego polski Sierpień ewoluował w kierunku konserwatyzmu.

Dygresja ostatnia (można opuścić, ale szkoda):

„A że prawdą iest, iako po wsze czasy głupcy od mędrców liczniejsi, chodzą przy muzyce cymbałów brzmiących a pustych, ludzie ciemni y na umysle upośledzeni (naydziesz takich wielu wśród bogatych i biednych) przystali do oney zacney kompaniey y warcholili z Warchołami po społu. Y poszedł z tego po mieście zgiełk takowy szkaradny, że mądra Minerva dziewica, w świątyni swoiey siedząca, strzymać tego walenia w kotły y harmaty nie mogąc, zatkała sobie uszy woskiem, którym obdarzyły ją umiłowane iey pszczółki z Hymetu. Iakoż dała tym poznać wiernym swoim, mężom uczonym, filozofom y znamienitym iurystom, iżby daremnie wdawali się w mądrą a subtelną dysputę z warcholącymi y trąbiącymi Warchołami. Y nikt w całym kraju, nie tylko maluczcy, ale y wielcy, nie domyślał się, że oni głupcy byli o krok od obalenia Rzeczypospolitej y powieszenia zacnego iey herbu do góry nogami, a byłoby to barzo smutnym przypadkiem. Nadszedł iednak dzień, kiedy Warchołowie pękli, bo za wiele powietrza nabrali w siebie...".

Koniec dygresji.

Jeśli chcemy mieć efektywny patriotyzm socjalistyczny, powinniśmy mniej mówić o powstaniach i rzadziej organizować tzw. uroczystości patriotyczne,

WIĘCEJ ZAŚ UWAGI POŚWIĘCAĆ NAUCE, PRACY I MORALNOŚCI

Skoro przyjmujemy, że byt określa świadomość, to trzeba tworzyć takie struktury ekonomiczne i polityczne, w których rzeczywiście powstanie socjalistyczny sposób życia i ukształtuje się nowy charakter społeczny narodu. My natomiast za dużo mówimy, za długie wygłaszamy referaty, za często obradujemy, a za mało efektywnie działamy.

Miał rację Cyprian Kamil Norwid, że Polacy mają niedojrzałe i fałszywe pojęcie ojczyzny, która jest dla nich czymś tylko inspirującym, a nie obowiązującym. Większość naszych rodaków nadal zresztą nie rozumie prawdy elementarnej, że *„Ojczyzna jest to w i e l k i — z b i o r o w y — o b o w i ą z e k"*. Miał rację Norwid, że Polacy wolą nadzieję od prawdy, że szybciej działają niż myślą, że nie chcą znać własnych wad. To niewątpliwie musi się zmienić, jeśli pragniemy dotrzymać kroku współczesnemu postępowi.

Musimy wspólnie — niezależnie od różnic światopoglądowych i politycznych — przeciwdziałać dekapitalizacji majątku narodowego i dewastacji środowiska naturalnego. Musimy zmniejszać lukę technologiczną dzielącą nas od krajów wysoko rozwiniętych. Musimy zwalczać przejawy demoralizacji społecznej. Bierność w obecnej sytuacji może oznaczać brak patriotyzmu.

POST SCRIPTUM

Ci spośród moich Czytelników, którzy nie omijali dygresji i uważnie zapoznali się z historyjką *„O Warchołach, którzy się w Rzeczypospolitey rozplenili"*, nie muszą kombinować i szukać jakichś kluczy czy kodów. Trudno wszak przypuszczać, żeby dziełko bliżej nie znanego paryżanina, Mikołaja Langeliera, pochodzące w dodatku aż z 1538 roku, mogło się tajemniczo wiązać z wydarzeniami rozgrywającymi się w ostatniej ćwierci XX stulecia między Bugiem a Odrą i od Bałtyku do Karpat. Musielibyśmy bowiem przyjąć najpierw, co wydaje się mało prawdopodobne, że historia się powtarza.

Na temat historii, jak wiemy, bardzo mądrze i pięknie pisał ponad 2 tysiące lat temu Marcus Tullius Cicero. *„Historia* — jego zdaniem — *to świadek czasów, światło prawdy, żywa pamięć, nauczycielka życia, zwiastunka przyszłości"*. Nie wszyscy jednak godzą się z dwuznaczną formułą *„magistra vitae"*; a niektórzy przypisują jej autorstwo nie Cyceronowi, lecz Liviuszowi. Jakby nie było, faktem jest, że ludzie są zarazem wytworem i twórcami historii. A skoro ją tworzą, to powinni się uczyć, analizować błędy i doskonalić własne działania.

Szczególnie my, Polacy, nie możemy zapominać o błędach przeszłości, bo stanowczo za dużo ich popełnialiśmy. Już przecież w XVI wieku nasz poeta pisał:

„Cieszy mię ten rym: »Polak mądr po szkodzie«,
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi".

Każdy chyba pamięta ze szkoły ten czterowiersz. Często go cytujemy przy okazji różnych nieszczęść, ale uczniami jesteśmy niepoprawnymi.

Znamy dobrze Jana Kochanowskiego. Rzadko natomiast sięgamy do poezji Stanisława Trembeckiego. Warto wobec tego przypomnieć następujący fragment skierowany do współziomków:

„Mądry Polak po szkodzie? Już były te szkody.
Dziś na nas obrócony wzrok mają narody;
Lub nas rządnych, przezornych, czynnych świat pochwali,
Lub nad chcącymi ginąć nikt się nie użali".

Na koniec wyjaśnienia wymaga rzadko dziś używane słowo *„warchoł"*, które pojawiło się w tytule i dygresjach. Oznacza ono człowieka zakłócającego spokój, siejącego zamęt i niezgodę, wichrzyciela. Marcin Bielski np. pisał: *„Odstąpili od cnotliwego pana, a przystali do warchoła, co nie mógł nigdy być z pokojem"*. Słowa tego nie wolno jednak nadużywać. Nie każdy *„niespokojny duch"* jest od razu warchołem. Obecnie ludzie niespokojni, krytyczni, pragnący zmian i postępu są w Polsce ze wszech miar pożądani. Za pewnym pisarzem można nawet powtórzyć, że spokój to *„podłość duchowa"*.

Moda

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

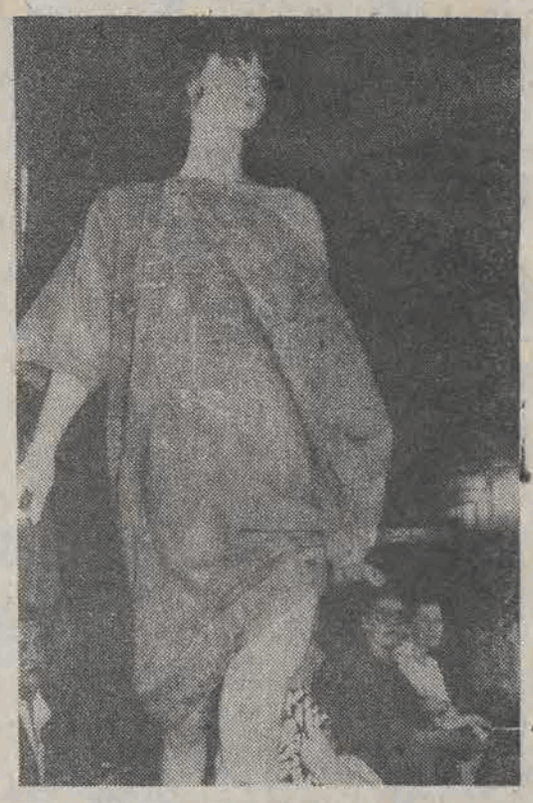

TERESA JERZYKOWSKA

Za mało dla szczupłych i grubych

Zwiedzanie pawilonu odzieżowego na Krajowych Targach Poznańskich rozpoczynam zawsze od obejrzenia stoisk dwu firm, specjalizujących się w odzieży damskiej: szczecińskiej „Dany" i brzezińskiej „Daminy". Oba zakłady bowiem od wielu już lat potrafią nie tylko przygotować interesujące ekspozycje, ale także — co wcale nie jest regułą — dostarczać potem na rynek wzory dokładnie takie, jak zaprezentowane na targowych manekinach: ładne, dobre, odpowiadające aktualnym kierunkom mody — choć nie awangardowo udziwnione, i — co najważniejsze — w ilościach takich, że można je niekiedy po prostu kupić, a nie „upolować" w sklepach. Zarówno „Dana" jak i „Damina" niewątpliwie mieszczą się w ścisłej czołówce zakładów tej branży pod względem wzornictwa, a w czasie porównywania targowych stoisk na zmianę podoba mi się bardziej to jedna — to druga kolekcja.

DO BRZEZIŃSKIEJ „DAMINY"

nie wybrałam się jednak z własnej inicjatywy — jako że na ogół unikam odwiedzania dobrze szyjących zakładów odzieżowych, aby nie popadać w kompleksy. Był to pomysł mojego szefa. Wydawał się dziwny, bowiem szef — nie kobieta i nie Szkot — spódniczek nie nosi, dopiero później okazało się, że za tym poleceniem stoi zwykłe... kumoterstwo. Gdyby nie redaktor naczelny „Odgłosów" „Daminy" by po prostu nie było. On to bowiem kilkanaście lat temu, jako członek jury, rozstrzygającego konkurs na nazwę dla zakładu był jednym ze współdecydujących o tym, że Brzezińskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego (poprzednio jeden z zakładów, wchodzących w skład łódzkiego kombinatu) stały się „Daminą" — pod którą to nazwą zyskały zasłużoną popularność zarówno wśród handlowców, jak i przede wszystkim wśród kobiet

Produkcja bowiem zarówno pod względem wzornictwa, jak i rozmiarów przeznaczona jest dla kobiet w różnym wieku i o różnej tuszy. O to, aby każda mogła znaleźć jakiś model dla siebie troszczą się trzy projektantki: Danuta Michalska i Maria Śnieżko-Krystek, związane od wielu lat z „Daminą" oraz Jolanta Wawrzonek, która trafiła tu niedawno, świeżo po ukończeniu uczelni.

Z pierwszą z nich na zakończenie wizyty w zakładzie rozmawiałam na tak miły każdej kobiecie — bez względu na to, czy na co dzień stroi się starannie, czy też całe życie spędza w starych spodniach — temat: o modzie. Niezupełnie o modzie „tak w ogóle" lecz o tym, w jakim stopniu do naszego modnego i atrakcyjnego wyglądu przyczyni się w najbliższym czasie „Damina".

— W porównaniu z tym, co dzieje się w tej dziedzinie we Francji czy we Włoszech jesteśmy o rok-dwa do tyłu — mówi Danuta Michalska. — *Opóźnienie to wynika moim zdaniem z winy handlu. My bowiem (nie tylko tu, w Brzezinach, także w innych zakładach) posiadamy aktualne informacje o trendach mody i staramy się uwzględniać je w swoich projektach. Również zakład ma możliwości szybkiego wprowadzenia ich do produkcji. Cóż z tego, skoro właśnie tych najmodniejszych wzorów handel nie zamawia. Może wynika to ze strachu przed nowościami, może z braku informacji o tym, co modne, a może po prostu zaopatrzeniowcy przedsiębiorstw handlowych wolą kierować się własnym nie zawsze najlepszym gustem, zamiast zaufać nam — czyli fachowcom?*

Teraz w projektowaniu mamy już... przyszłą zimę. Kolory będą obowiązywać spokojniejsze, zgaszone, bardziej szare Ale jeszcze na przyszłe lato — powstanie w „Daminie" bardzo kolorowa kolekcja, z ładnych tkanin, przy czym różnice między ubiorami dla dziewcząt i kobiet dojrzałych będą nadal niewielkie. Moda sprzyja szerokim formom, pozwalającym ukryć rozmaite defekty figury. Z przyjemnością zauważam, że coraz więcej pań niezbyt szczupłych akceptuje taką linię, choć nadal — nie wiadomo dlaczego — sporo uważa, że szczuplej wyglądać będą w rzeczach opiętych. W kolekcji zresztą pojawiają się i takie: podkreślające figurę, „sexy"...

Z dalszych informacji projektantki wynika, że jeszcze przez jakiś czas mogą bez trudu ubierać się modnie zarówno te kobiety, które lubią prezentować nogi, jak i te, które wolą suknie dłuższe, nadal bowiem nie ma jednej obowiązującej długości — dół spódnicy wędruje od mini aż do kostek, powszechnie natomiast obowiązują szerokie, wypchane coraz większymi poduszkami góry.

— W coraz mniejszym stopniu nasza produkcja różni się od wzorcowych modeli — mówi D. Michalska — *Tkaniny i dodatki, jakie przychodzą do zakładu są przeważnie takie, jak zamówione (choć zdarzają się zmiany asortymentu — ale coraz rzadziej), poprawia się ich wzornictwo. Nam dzięki temu pracuje się lepiej — mając większy wybór możemy projektować stroje ciekawsze, bardziej urozmaicone. Byłoby dobrze, aby trafiały na rynek nie w takich długich seriach — ale sprawiałoby to zbyt wiele kłopotów w produkcji. Przeważnie produkcja nie chce szyć serii krótszych niż 1000 sztuk...*

To, co dla plastyczek — które z racji zawodu chcą ubierać nie tylko modnie, ale i różnorodnie — jest serią długą, dla szwaczek i tych, którzy odpowiadają za przygotowanie produkcji oznacza serię bardzo krótką.

— Pracy mamy masę — mówią kobiety z laboratorium. Opracowuje się

WCIĄŻ NOWE MODELE

niektóre dość pracochłonne, skomplikowane. Z każdego wzoru — a jest ich kilkaset rocznie — szyje się nie więcej niż 1500 sztuk. Częste zmiany — to więcej pracy dla nas. Przeważnie każdy zespół szyje co innego, na pierwszej zmianie i na drugiej. Dlatego też i my musimy pracować na dwie zmiany, aby w razie jakichś kłopotów, niejasności od razu służyć pomocą produkcji. Tu muszą być ludzie o bardzo wysokich kwalifikacjach. Każdy nasz błąd może przecież zostać powielony w setkach wyrobów i przynieść kolosalne straty. Dość powiedzieć, że zanim nowa pracownica laboratorium zdobędzie wymagane umiejętności i może samodzielnie opracowywać wozry mija rok. O wiele szybciej zostaje się pełnowartościową szwaczką w akordzie. Tymczasem nie odbija się to na zarobkach. Mamy stawkę godzinową i zarabiamy znacznie mniej niż szwaczki czy krojczynie...

— To, co najbardziej mi się u ludzi nie podoba, to ciągłe narzekanie na zbyt niskie zarobki — mówi Benedykta Pońska, mistrz szwalni. — *Na naszym wydziale zarobki są najwyższe. Pracują tu przeważnie kobiety w średnim wieku, z długim stażem. Wszystkie mają wysokie kwalifikacje — dlatego też szyjemy na eksport. Wiadomo, zagraniczny odbiorca ma wysokie wymagania jakościowe, na ogół także żąda krótkich terminów. Nie ma u nas kłopotów z wydajnością, można także dobrze zorganizować pracę, każdy bowiem potrafi wykonać wszystkie operacje i w razie potrzeby zastąpić nieobecną koleżankę, szybko opanować nowy wzór. Dlatego też i zarabia się tu więcej niż na drugiej szwalni, szyjącej na kraj. Średnia akordowa bez premii wynosi u nas około 19 tys. zł, a wiele szwaczek zarabia znacznie więcej. To chyba nie jest tak źle, żeby ciągle narzekać?*

I to mi się właśnie u naszych kobiet nie podoba (nie u wszystkich, bo przecież są różne), że zadowolenie widzą tylko w pieniądzach, a nie w samej pracy. A przecież pracuje się u nas dobrze: w miarę spokojnie, bez nerwowego zamieszania, w nieźlych warunkach.

Także i sprawy socjalne w naszym zakładzie rozwiązywane są coraz lepiej. Wczasy są dla wszystkich chętnych, w tym roku nawet, jeszcze zostały wolne miejsca, jest dobra opieka lekarska, zwłaszcza odkąd oprócz lekarza-internisty mamy także własnego ginekologa i stomatologa, a i zakładowy kiosk zaopatrzony jest nie najgorzej — można dostać to, co w sklepach w mieście, a czasem nawet i więcej atrakcyjnych towarów, np. ostatnio pokazał się koncentrat pomidorowy...

W SZWALNI PANUJE JESIEŃ

Szyje się wełniane sukienki na rynek krajowy i grubsze garsonki, przeznaczone dla zagranicznego odbiorcy. O tym, że mamy lato świadczą jednak otwarte szeroko okna. Niektórych brakuje — w zakładzie trwa bowiem wymiana starych, zniszczonych już drewnianych okien na nowoczesne, aluminiowe. Tym sposobem zlikwidowane zostaną dokuczające niekiedy jesienią i zimą przeciągi, poprawią się warunki pracy, które zresztą i tak nie są złe.

Nie dokucza tu, tak powszechna w wielu łódzkich zakładach konfekcyjnych, ciasnota. Hala szwalni jest przestronna, wokół każdego stanowiska można wygodnie rozłożyć przygotowane do szycia i gotowe już wyroby. Wrażenie luzu potęguje fakt, że przy wielu maszynach brak ludzi.

— Trudno to nawet nazwać problemem do rozwiązania — mówi dyrektor Tomasz Jachowicz. — *Po prostu taka jest sytuacja kadrowa i trzeba się do niej przystosować, bo przecież nie zmieni się w najbliższych latach. Jeszcze wyraźniej widać to w naszym zakładzie w Skierniewicach. Wybudowany w latach siedemdziesiątych, w czasach radosnej twórczości inwestycyjnej, nowocześnie wyposażony, powinien zatrudniać 1000 osób —a pracuje tam 530. Ogółem w przedsiębiorstwie brakuje 1000 osób do pełnego zatrudnienia, głównie w podstawowych wydziałach produkcyjnych. Powoduje to niekorzystną strukturę zatrudnienia — bo przecież czy pracuje sto szwaczek, czy 10 tak samo musi być portier, sprzątaczka, ileś tam osób w administracji — gorsze wykorzystanie maszyn, w efekcie produkcję mniejszą, niż mogłaby być przy takim wyposażeniu...*

Brak robotników w przemyśle lekkim jest sprawą znaną niemal we wszystkich zakładach w kraju, w przypadku „Daminy" jest to jednak niedobór szczególnie rażący, zwłaszcza, gdy porówna się go z innymi liczbami: ogółem 1200 zatrudnionych w trzech zakładach (dwa brzezińskie i jeden skierniewicki), a z drugiej strony w samych tylko Brzezinach 800 rencistów i emerytów — byłych pracowników „Daminy" i 400 kobiet na urlopach macierzyńskich i wychowawczych.

Podejmowane są rozmaite działania dla poprawy tej sytuacji jak stypendia fundowane dla uczniów szkół odzieżowych, podpisywanie umów przedwstępnych, poszukiwanie ludzi w gminach — jednak bez większych skutków.

Obecnie sięgnęliśmy po argument ostateczny — płace. Wzrosły znacznie (np. średni zarobek w szwalni wynosi obecnie 21 tys. zł) i na terenie Brzezin są mocno konkurencyjne w porównaniu do innych przedsiębiorstw. Jest jednak jeszcze za wcześnie, aby można było mówić o efektach...

Bodźce płacowe, skuteczne w dużych ośrodkach miejskich, są jednak inaczej odbierane w małych miejscowościach. Nie wszystkim pracownikom „Daminy" zależy bowiem na osiąganiu wysokich dochodów. Jest grupa takich, dla których praca w zakładzie nie jest podstawowym źródłem utrzymania a jedynie możliwością oderwania się od innych, cięższych zajęć w rodzinnym gospodarstwie i w pewnym stopniu sprawą prestiżową. Dla przykładu: jeden z zespołów pracował — a zatem i zarabiał — wyjątkowo źle. Perswazje, ukazywanie możliwości zwiększenia zarobków nie pomagały. Skuteczna okazała się dopiero... groźba zwolnienia.

PERSPEKTYWA POWROTU DO ZAJĘĆ DOMOWYCH

wraz z niekorzystną opinią osób nie nadających się do pracy w zakładzie okazały się na tyle skuteczne, że wydajność owego zespołu wzrosła nagle aż o 70 proc.

Sprawy kadrowe nie są oczywiście jedynymi, jakimi na co dzień żyje zakład. O tym, czy produkcja toczyć się będzie rytmicznie decyduje przede wszystkim zaopatrzenie.

— Dbamy o to we własnym zakresie — mówi dyrektor. — *Jest niewątpliwie lepiej niż było 2—3 lata temu. W ilości tkanin mamy pełne pokrycie, gorzej — jeśli chodzi o jakość i asortyment. Bardzo źle ciągle jest z bawełną — to nie są zakupy, a zdobywanie. Choć w tkaninach bawełnianych obowiązuje pośrednictwo — doprawdy nie wiadomo, po co — mamy to, co nasi zaopatrzeniowcy potrafią znaleźć, załatwić, wyprosić. Z wełną jest o wiele lepiej — gruba jest w dużym wyborze, nawet producenci metrażu sami już zaczynają szukać odbiorców — cienkich, sukienkowych wełen jeszcze trochę brakuje, także ich jakość pozostawia nieco do życzenia, ale wiele jest symptomów wskazujących, że i w tym asortymencie wkrótce będzie zupełnie dobrze.*

Mało optymistycznie natomiast wygląda sprawa cen: na sukienkę zużywa się średnio 2,70 m. Jeśli cena 1 m atrakcyjnej tkaniny wełnianej dochodzi już do 3 tys. zł, to ile powinna kosztować sukienka? Nie chcemy i — jako zakład produkujący dla przeciętnego odbiorcy — nie możemy pozwolić sobie na drenaż kieszeni klientek, ale przecież trzeba także wypracować zysk...

Co będzie dalej — zobaczymy, na razie jednak bluzki, sukienki i spódnice z „Daminy" nie odstraszają cenami i kupowane są chętnie. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby w sklepach spotykało się je w większym wyborze. Tymczasem przeważnie bywa tak, że w jednej placówce wiszą dwa-trzy fasony w większej ilości (co raczej zniechęca do kupna, nasuwa bowiem przypuszczenie, że co druga spotkana na ulicy pani będzie mieć taką samą suknię) w drugiej także dwa lecz inne. Sytuacja taka jest wynikiem... reformy.

Z jednej strony bowiem zakład nie może zapełnić magazynu dużą ilością rozmaitych modeli i dopiero potem zaprosić handlowców, aby mieli w czym wybierać, bo takie nagromadzenie towarów spowodowałoby „położenie" wielu wskaźników ekonomicznych, a w konsekwencji dotkliwe sankcje, z drugiej — przedsiębiorstwa handlowe, skrzętnie licząc koszty transportu, nie mogą wysyłać zaopatrzeniowców co kilkanaście dni, aby przywieźli niewielką ilość innego wzoru.

Sprzedaje się więc — i kupuje — jak leci, to co akurat zostało wyprodukowane. Korzystne to dla zakładu produkcyjnego, wygodne dla handlowego przedsiębiorstwa, tylko klienci na tym tracą, ale... zanim nastanie rynek konsumenta musimy jeszcze trochę poczekać.

„Damina" produkuje rocznie około 800 tys. sztuk ubiorów damskich (w tym około 200 tys. na eksport) w blisko 400 wzorach. Możliwości wyboru — pod warunkiem zgromadzenia ich w jednym miejscu — byłyby ogromne.

— Mamy podpisanych kilka umów patronackich — mówi T. Jachowicz. — *Nie jestem jednak zwolennikiem sklepów patronackich jeśli nie ma możliwości naprawdę dobrego ich zaopatrzenia, a praktycznie nie ma jeśli znajdują się poza miejscowością, w której jest zakład. Zamierzamy więc otworzyć taki sklep w Brzezinach. Odpadają kłopoty z transportem, bo od biedy towar będzie tam można po prostu zanieść. Będą tam trafiać — w niewielkich ilościach — wszystkie nasze wzory, natychmiast po wyprodukowaniu, pełny przegląd produkcji i możliwości. Sklep przygotujemy już wkrótce...*

Z Łodzi do Brzezin jedzie się autobusem zaledwie około 30 minut. I myślę, że niejedna łodzianka zdecyduje się na taką podróż co najmniej dwa razy w roku.

Czy polscy spadochroniarze mogli wylądować w Warszawie?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

25 lipca 1944 roku dowódca Armii Krajowej gen. Tadeusz Komorowski „Bór" wysłał do Londynu depeszę następującej treści:

„Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę. Przybycie do tej walki brygady spadochronowej będzie miało olbrzymie znaczenie polityczne i taktyczne. Przygotujcie możliwość bombardowania na nasze żądanie lotnisk pod Warszawą. Moment rozpoczęcia walki zamelduję".

Myśl utworzenia wojsk desantowych zrodziła się dość wcześnie, ale na początku 1941 roku płk. dyplomowany Stanisław Sosabowski postanowił przekształcić dowodzoną przez siebie 4 Brygadę Kadrową Strzelców w brygadę spadochronową. Rozkazem gen. Władysława Sikorskiego ustanowiony został Znak Spadochronowy, który zaprojektował Marian Walentynowicz. Istniał Znak Spadochronowy zwykły i bojowy. Zwykły otrzymywali wszyscy wyszkoleni spadochroniarze, a bojowy tylko ci, którzy brali udział w akcjach bojowych. Bojowy Znak Spadochronowy nadawał Wódz Naczelny. Znak ten wyobrażał atakującego orła, który w wersji bojowej miał złoty dziób i pazury.

Po bitwie pod Arnhem, 20 listopada 1944 roku bojowy Znak Spadochronowy został zmieniony. Orzeł teraz trzymał w szponach pozłacany wieniec laurowy. Wydano 6 536 Znaków Spadochronowych, w tym również 238 Francuzom, 172 Norwegom, 46 Brytyjczykom, 4 Belgom, 4 Holendrom, 2 Amerykanom i 2 Czechom. Pierwszy raz nadano Znaki Spadochronowe podczas ćwiczeń 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej 23 września 1941 roku.

BYŁY TO NARODZINY WOJSK SPADOCHRONOWYCH

szkolonych z przeznaczeniem do walk w kraju. Zakładano, że w czasie wycofywania się wojsk niemieckich z Polski wybuchnie powszechne powstanie i wtedy dla wzmocnienia siły tego powstania użyta będzie brygada spadochronowa. Ale w czasie przygotowań do inwazji kontynentu europejskiego 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa przeszła pod dowództwo wojsk inwazyjnych.

Kazimierz Kordas w książce *„Człowiek spod Arnhem"* tak opisuje nastroje panujące wówczas wśród polskich spadochroniarzy.

„Dla spadochroniarzy rozpoczął się okres wyczekiwania. Chodziły pogłoski, że Brygada wyląduje we Włoszech. Potem zaczęto mówić o rychłej inwazji we Francji. Nie wiadomo kto szerzył wiadomości o zrzucie do Polski dla zasilenia partyzantki. Wszystkie, nawet fantastyczne wieści, znajdowały chwilowych wyznawców".

6 czerwca 1944 roku wojska alianckie wylądowały na plażach Normandii, a polscy spadochroniarze nadal czekali.

„Polska Brygada Spadochronowa — pisze dalej Kazimierz Kordas — *żyła w ciągłym pogotowiu bojowym. Nadchodziły wieści o morderczych walkach przy forsowaniu Wału Atlantyckiego, pod Cherbourgiem, Caen i Falaise. O losach inwazji, drugiego frontu, rozstrzygali w ręcznym boju commandosi i spadochroniarze, na zdobyte przez nich przyczółki wyjeżdżają z barek na ląd czołgi. Ruszyła do boju polska 1 Dywizja Pancerna pod dowództwem generała Maczka. Gąsienice polskich czołgów orały pola Normandii."*

A oni czekali.

„Z początkiem sierpnia gruchnęła wieść. W Warszawie powstanie!

— Oto na co czekaliśmy. Zawsze byliśmy przeznaczeni do kraju.

— Pamiętacie, jeszcze generał Sikorski zapewniał...

— My jedni możemy się tam dostać. (...)

— Jutro lecimy do Włoch, stamtąd do Warszawy!

Minęło niejedno jutro. Czekali. Jeszcze nie tracili nadziei.

— Wstrzymuje nas pogoda.

— Brak samolotów.

— Warszawa potrzebuje broni i amunicji, nie ludzi.

— Anglicy nie chcą się zgodzić.

— Gdyby żył Sikorski...

Wreszcie dotarła do nich treść apelu dowództwa powstania, podana przez gazety i BBC. „Warszawa wzywa na pomoc polskich spadochroniarzy" — głosiło radio. ...Potem dźwięki „Warszawianki".

Chodzili jak błędni, tamte słowa i dźwięki brzęczały w uszach. Daleka Polska przyszła blisko — na odległość nocnego lotu. Każdy z nich przywarł wspomnieniami do jakiegoś skrawka ziemi, który przez lata nie widziany stał się świętym. W każdym odżyła tęsknota, rodziły się marzenia.

— Kto mówił, że Warszawa nas nie chce? Kto jeszcze wątpi?

Teraz już byli pewni, że polecą do Polski. W tysiąc chłopa rozwiną skrzydła nad stolicą: spadną ciosem na wroga... Przeżyją swój dzień triumfu, sławy — nieważne, co będzie potem. (...)

— Jeszcze się biją...

— Podobno walki we Francji angażują wszystkie samoloty.

— Polski dywizjon, który lata z amunicją do Warszawy, jest prawie wybity. (...)

W taki dzień padło słowo „Arnhem". Nad stołem plastycznym skrawka Holandii pochyliły się ich twarze. Patrzyli na ten ląd jak na dno grobu, gdzie zasypano ich marzenia i nadzieję o zrzucie do Polski".

DO POLSKI W TYM CZASIE

prowadziło 6 tras z dwu lotnisk. Z lotniska w Norwich dwie trasy: nr 1 nad Danią i Morzem Bałtyckim, Chojnicami i Toruniem z zasięgiem po Lublin i Brześć nad Bugiem; nr 2 przez Göteborg i Karlskrone w Szwecji, nad Morzem Bałtyckim nad Chojnicami i Toruniem z takim samym zasięgiem. Z lotniska w Brindisi (miejscowość położona w obcasie włoskiego buta) trzy trasy: nr 3 nad Dubrownikiem, Balatonem, Tatrami, Krakowem z zasięgiem po Warszawę i Brześć nad Bugiem; nr 4 nad Kotorem nad Adriatykiem, z ominięciem Budapesztu, nad Tatrami i Krakowem z podobnym zasięgiem i trasa nr 5 nad Durazzo nad Adriatykiem, Budzias, nad Karpatami w kierunku na Lwów z podobnym zasięgiem.

Odległość z Norwich do Warszawy trasą nr 1 wynosiła 1570 km i lot trwał w jedną stronę 6,5 godziny. Odległość z lotniska Brindisi do Warszawy wynosiła 1350 km, do Lwowa — 1100 km do Krakowa — 1000 km. Lot trwał w jedną stronę około 5 godzin. Od połowy 1944 roku obrona przeciwlotnicza w Budapeszcie, Wiedniu, Krakowie, Tarnowie została silnie wzmocniona i w okresie powstania w Warszawie samoloty tymi trasami przelatujące miały około 30 procent strat.

Trasami tymi przerzucano do Polski pomoc materialną dla ruchu oporu, kurierów, zrzucano cichociemnych. Trasami tymi mieliby lecieć też polscy spadochroniarze, gdyby taka decyzja zapadła w Wielkiej Brytanii. Ale dowództwo alianckie miało zupełnie inne sprawy na uwadze związane z polskimi spadochroniarzami.

SYTUACJA POLITYCZNA

była w tym czasie wielce skomplikowana. Rząd Polski w Londynie, na czele którego stał Stanisław Mikołajczyk, nie miał stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim. Armia Czerwona weszła już na ziemie polskie. Powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który nie miał w nazwie słowa: rząd, ale miał strukturę rządu i był władzą wykonawczą Krajowej Rady Narodowej. Wraz z Armią Czerwoną na ziemie Polskie wkroczyły oddziały Armii Polskiej, które w połączeniu z Armią Ludową stały się Wojskiem Polskim. Na ziemiach wyzwolonych powstała nowa administracja — rady narodowe — która związana była z Krajową Radą Narodową i PKWN. Tworzono oddziały Milicji Obywatelskiej, przystąpiono do przeprowadzania reformy rolnej, jak zapowiadał to Manifest PKWN.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego zgodnie z zapowiedzią w Manifeście Lipcowym stanął na stanowisku uregulowania granicy polsko-radzieckiej *„w drodze wzajemnego porozumienia"*. W Manifeście stwierdzano:

„Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa, a nie przegrodą między nami a naszymi sąsiadami i powinna być uregulowana zgodnie z zasadą: ziemie polskie — Polsce, ziemie ukraińskie, białoruskie i litewskie — Radzieckiej Ukrainie, Białorusi i Litwie".

Natomiast rząd londyński nadal stał na stanowisku uznawania wschodniej granicy z 1939 roku. Wprawdzie Stanisław Mikołajczyk — naciskany przez Winstona Churchila i polityków amerykańskich, którym zależało na uregulowaniu stosunków politycznych między Polską a ZSRR jeszcze przed wyzwoleniem całej Polski przez Armię Radziecką — udał się na początku sierpnia 1944 roku do Moskwy na rozmowy z Józefem Stalinem w sprawie przyszłych stosunków między Polską a ZSRR, które to stosunki w dużej mierze zależały nie tylko od utworzenia rządu polskiego z polityków krajowych i londyńskich, ale i od rozwiązania spraw granicy wschodniej Polski w duchu zasady samostanowienia narodów. Jednak Stanisław Mikołajczyk nie miał nic nowego do powiedzenia w tej sprawie. Tak więc oddziały Armii Krajowej, pozostające pod dowództwem Wodza Naczelnego, którym był wówczas gen. Kazimierz Sosnkowski oraz pod dowództwem gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora" w kraju, były dla wkraczającej Armii Radzieckiej oddziałami nielegalnymi. Jeśli na propozycję wstąpienia do Wojska Polskiego odpowiadali odmownie, to nie mogli nadal zbrojnie funkcjonować na radzieckim zapleczu frontu. Stan ten doprowadził do wielu dramatów ludzi, którzy ofiarnie walczyli z okupantem nie patrząc na żadne polityczne racje.

Tymczasem jedyną racjonalną możliwością sukcesu powstańczego była współpraca z nadchodzącą Armią Czerwoną. Tymczasem polityczną podstawą decyzji o wywołaniu powstania w Warszawie była chęć powitania wyzwolicieli w imieniu rządu londyńskiego. Tak więc

KONCEPCJĘ POWSTANIA W WARSZAWIE OPARTO

na pomocy aliantów zachodnich, nie biorąc pod uwagę faktu, że dziać się to będzie w rejonie działania Armii Czerwonej.

Nawet w planie powstania w Warszawie, jakie opracowano w latach 1942—1943, a które w 1944 roku było już przestarzałe, i które było częścią planu powstania powszechnego, jeden z celów tak został określony:

„Samodzielnemu rejonowi Okęcie poruczono zdobycie lotniska i zakładów lotniczych, zorganizowanie ich obrony i przygotowanie lotniska do lądowania samolotów alianckich."

W dniu rozpoczęcia powstania około godziny 21.30 z Komendy Głównej AK wysłano depeszę do Londynu:

„Podjęliśmy walkę o Warszawę dnia 1. VIII o godzinie 17.00. Dajcie pilnie amunicję i broń przeciwpancerną na światła „Kostek", a też na place wprost na miasto: Filtry, Kercelego, Ogród Saski, aleję Wojska Polskiego, Fuławską, Belwederską".

Zaraz potem nadano drugą depeszę:

„Wobec rozpoczęcia walki o opanowanie Warszawy prosimy o spowodowanie pomocy Sowietów przez natychmiastowe uderzenie z zewnątrz".

Po raz pierwszy nad Warszawą pojawiły się samoloty alianckie 4 sierpnia 1944 roku. Było ich 14, dokonały dwóch zrzutów. Oba dostały się w ręce powstańców. Następnie 8 sierpnia pojawiły się nad Warszawą 3 samoloty i dokonały udanych zrzutów.

27 lipca 1944 roku ambasador Polski w Londynie Edward Raczyński złożył wizytę ministrowi spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Edenowi i przedstawił mu polskie żądania pomocy zawarte w depeszy z Warszawy z 25 lipca 1944 roku, gdzie była miedzy innymi mowa o polskiej Brygadzie Spadochronowej oraz o bombardowaniu celów wskazanych przez Warszawę.

Polska koncepcja była jednak o wiele szersza. Rozważano możliwość skierowania do Polski czterech polskich dywizjonów lotniczych i jednego dywizjonu myśliwców, które wystartowałyby z Brindisi do Polski, na wiadomość, że Armia Krajowa zdobyła dla nich lotniska.

Minister Anthony Eden wysłuchał polskich próśb i — jak to dyplomata — obiecał rozpatrzeć polskie postulaty, ale jednocześnie nie robił wielkich nadziei. Warszawa leży bowiem poza zasięgiem brytyjskiego lotnictwa bombowego. Bombardowanie celów w Warszawie mogliby wykonać Amerykanie. Mają oni po temu techniczne możliwości, ale musieliby lądować na lotniskach radzieckich, co już czyniono, ale co wymaga zgody dowództwa radzieckiego.

28 lipca nadeszła z brytyjskiego MSZ odpowiedź na piśmie.

„Obawiam się — pisał jeden z wiceministrów spraw zagranicznych — *że zupełnie niezależnie od trudności skoordynowania takiej akcji z rządem sowieckim, którego wojska prowadzą działania przeciwko Niemcom na terytorium Polski, same tylko względy operacyjne muszą nas powstrzymać od zaspokojenia trzech żądań, jakie Panowie wysunęli w związku z niesieniem pomocy powstaniu warszawskiemu. Nie byłoby rzeczą możliwą przerzucenie brygady spadochronowej nad terytorium niemieckim aż do Warszawy, bez zaryzykowania nadmiernych strat. Wysłanie eskadry myśliwców na lotniska w Polsce stanowiłoby również długi i skomplikowany proces, który musiałby być w każdym razie uzgodniony z rządem sowieckim. Nie mogłoby to być na pewno wykonane w czasie, pozwalającym na zaważenie na losach toczącej się obecnie bitwy. Jeśli chodzi o zbombardowanie lotnisk warszawskich, to Warszawa znajduje się poza normalnym zasięgiem operacyjnym bombowców RAF i bombardowanie lotnisk mogłoby być w każdym razie dokonane w sposób znacznie bardziej właściwy przez bombowce działające z baz kontrolowanych przez Sowiety. Jeśli natomiast czynniki polskie miały na myśli bombardowanie wahadłowe, o którym ostatnio dość głośno w prasie, to jest ono przeprowadzane przez lotnictwo amerykańskie, a nie przez RAF. Obawiam się więc, że Rząd Jego Królewskiej Mości nie jest w stanie nic zrobić w tej sprawie".*

W połowie sierpnia 1944 roku Felicjan Majorkiewicz — cichociemny zrzucony do Polski i pracujący jako wyższy oficer w Komendzie Głównej Armii Krajowej, w swoim pamiętniku, który ukazał się w 1983 roku pod tytułem: *„Lata chmurne, lata dumne"* — zanotował:

„We wczorajszej depeszy — chyba z 13 sierpnia 1944 roku — przyp. L.W. — *z Naczelnego Dowództwa w Wielkiej Brytanii, informującej o odwołaniu lotu 27 maszyn ze zrzutami dla Warszawy z powodu złych warunków atmosferycznych, istotne i chyba najważniejsze było zdanie: „...Amerykanie przyjmują, że Warszawa należy do terenu działań taktyczno-operacyjnych Rosji, bez zgody której nic nie mogą zrobić". Czy my nie powinniśmy wyciągnąć z tego odpowiednich wniosków?".*

Pytanie jak najbardziej zasadne. Ale dość późno padło. O wiele za późno.

Nieco wcześniej tenże Felicjan Majorkiewicz zanotował:

„Rozmawiałem z pułkownikiem „Filipem" na temat przysłania brygady spadochronowej z Wielkiej Brytanii. Wierzył, że brygada wpłynie zdecydowanie na wynik walki i zapewni nam sukces. Jednocześnie nie zgadzał się z moimi argumentami uzasadniającymi niemożliwość przeprowadzenia tego przedsięwzięcia ze względów technicznych".

Tu niezbędne wyjaśnienie, że „Filip" — to pułkownik dyplomowany Józef Szostak, szef oddziału operacyjnego Komendy Głównej AK.

POMOC Z ZACHODU BYŁA NIEDOSTATECZNA

stwierdza to wyraźnie depesza wysłana do Londynu z Warszawy 6 sierpnia 1944 roku. Oto jej treść:

„Rozpoczynamy 6 dzień bitwy w Warszawie. Niemcy wyprowadzają do walki środki techniczne, których my nie posiadamy: broń pancerną, artylerię, lotnictwo, miotacze ognia. Na tym polega ich przewaga, my górujemy duchowo. Atak bolszewicki przycichł przed trzema dniami na peryferiach wschodnich Warszawy i nie oddziaływuje na położenie bojowe w mieście.

Stwierdzam, że Warszawa w swej walce obecnej nie dostaje pomocy od sprzymierzonych, tak jak nie dostawała jej Polska w 1939 ri. Bilans dotychczasowego przymierza naszego z Brytanią dał jedynie im naszą pomoc w roku 1940 przy odpieraniu ataku niemieckiego na Wyspy, w walkach w Norwegii, w Afryce, we Włoszech i na froncie zachodnim.

Żądamy, byście w sposób wyraźny stwierdzili ten fakt wobec Brytyjczyków w oficjalnym wystąpieniu i pozostawili jako dokument. Nie prosimy o pomoc — lecz żądamy natychmiastowego udzielenia nam jej. Żądamy też zaprzestania publikowania przez radio naszych braków, jest to bowiem działanie, na naszą szkodę".

8 sierpnia 1944 roku wicepremier Jan Kwapiński i ambasador Edward Raczyński udali się do ministra Anthony Edena, aby ponownie przedstawić polskie żądania. Dowiedzieli się, że marszałek Henry Maitland Wilson — głównodowodzący wojskami sprzymierzonych we Włoszech i dowódca lotnictwa we Włoszech marszałek John C. Slessor wycofali swój sprzeciw wobec lotów z zaopatrzeniem do Warszawy na skutek ochotniczego zgłoszenia się do tych lotów polskich pilotów.

Minister Anthony Eden odczytał depeszę od marszałka Johna C. Slessora.

„Operację zrzutów na Warszawę — pisał J. C. Slessor — *uważam za tak niebezpieczną i nie rokującą powodzenia, że odmówiłem zgody na podjęcie jej przez podległe siły lotnicze. Zdania swego nie zmieniam. Wobec jednak zgłoszonej ze strony dywizjonów polskich woli podjęcia tej ryzykownej operacji nie widzę możności odmówienia podległemu mi dzielnemu dowódcy polskiemu mego zezwolenia. Dałem mu je wobec tego, choć powinienem był właściwie podtrzymać swój sprzeciw. Wobec tego dywizjon polski podejmuje operację. Nie jest ona możliwa dzisiaj wieczorem, jeśli jednak pogoda dopisze, będzie ona dokonana jutro, 8 sierpnia. Lotnikom polskim udzielamy wszelkiej pomocy w tym przedsięwzięciu".*

Istotnie 8 sierpnia 1944 roku były nad Warszawą trzy samoloty alianckie. 12 sierpnia było 11 samolotów, dokonano 7 zrzutów, ale tylko 5 trafiło do powstańców. Następnego dnia było nad Warszawą 30 samolotów, dokonano 9 zrzutów, ale tylko 5 odebrali powstańcy.

Największą operację zrzutów dokonali Amerykanie 18 września 1944 roku. Nad Warszawą przeleciało 110 samolotów. Zrzucono 107 różnego rodzaju pojemników, ale tylko... 15 trafiło do powstańców. Amerykanie z 8 Armii Lotniczej USA lądowali na radzieckim lotnisku, ale widząc duże straty i brak możliwości precyzyjnego trafienia do rejonów zajmowanych przez powstańców, więcej takiej wyprawy nie podjęli.

Od 13 września 1944 roku broń, żywność i środki opatrunkowe zrzucali walczącej Warszawie lotnicy radzieccy.

W sumie w akcji zrzutów z zachodu dla walczącej Warszawy udział wzięło 228 samolotów, dokonano 150 zrzutów, z tego 45 trafiło do powstańców. Na Puszczę Kampinoską i Las Kabacki dokonano 44 zrzutów przez 66 samolotów, ale AK odebrała tylko 28 zrzutów.

Do akcji zrzutowej wystartowało z lotnisk we Włoszech i Wielkiej Brytanii 296 samolotów, 34 z nich — to jest 12 procent — nie powróciło do bazy.

Wznowienie zrzutów 8 sierpnia 1944 roku pozwoliło dowódcy Armii Krajowej — gen. Tadeuszowi Komorowskiemu „Borowi" na wydanie optymistycznego apelu do żołnierzy AK walczących na barykadach Warszawy.

„Wytrwajcie w Waszym wysiłku!

Od dnia 8 bm wznowione zostały zrzuty amunicji przez naszych lotników. Możemy mieć nadzieję, że braki będą uzupełnione.

Wierzę, że obecne krytyczne chwile będą zgodnie z tradycją Żołnierza Polskiego przezwyciężone".

Żołnierz Polski — często bardzo młody wiekiem i doświadczeniem — walczył bohatersko na barykadach Warszawy do 2 października 1944 roku. Swoją postawą i poświęceniem budził podziw świata.

BYŁO TYLKO PIĘKNYM MARZENIEM

lądowanie polskich spadochroniarzy w walczącej Warszawie. 17 września 1944 roku rozpoczęła się operacja „Market-Garden", w której udział wzięła 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa włączona do 1 Armii Powietrzno-Desantowej. W walkach pod Arnhem zginęło lub zaginęło 378 polskich spadochroniarzy. Walki o uchwycenie mostów na rzekach Holandii, a między innymi na Renie miały być zsynchronizowane z działaniami 2 Armii Brytyjskiej. Nadejście z odsieczą wojsk angielskich i amerykańskich okazało się bardziej trudne i skomplikowane niż to się pierwotnie wydawało. Również obrona niemiecka była silniejsza niż ją wcześniej oceniano. W sumie operacja „Market-Garden" nie udała się. Pokazuje ona jednak, jakim skomplikowanym zadaniem jest desant wojsk spadochronowych nawet w warunkach, gdy ląduje cała armia powietrzono-desantowa i to w odległości od lotnisk znacznie bliższej niż była wówczas Warszawa.

Polscy spadochroniarze, choć marzyli o walce o wolność Polski w kraju, walczyli o tę wolność na holenderskich polach pod Arnhem. Ich marzenie o pomocy dla walczącej Warszawy było pięknym wyrazem patriotyzmu ale było nierealne. Tak, jak nierealne były założenia, że powstanie będzie mogło opierać się o pomoc z baz oddalonych około 1 500 km od walczącej Warszawy.

Aleksandra Pesta

Oda do dziurawego buta

matka chciała spalić
z ognistej przepaści pieca
zdołałem cię ocalić
zaspany
na pamięć znasz kulawą drogę
do roboty
przez osiem czarnych godzin
pocieszsz się za parę złotych
zęby gwoździ ci pordzewiały
sznurowadła masz siwe
z zamkniętym okiem trafisz
do budki z piwem
nie nadajesz się na niedzielę
nie wyglądasz najmodniej
ale w powszedni dzień
w tobie iść najwygodniej
włóczymy się już tyle lat
ja — dziurawy człowiek
i ty — dziurawy but — mój brat
wierny statek pijany
w drodze do nieba
w drodze do piekła
cały rozkołysany

Oda do nie przeczytanych książek

stoją i patrzą z wyrzutem
zakurzone i starzejące się
chociaż być może nieśmiertelne
kupione za przedostatni grosz
spod lady
wystane w kolejce
z myślą że kiedyś przyjdzie taki
głód
który je przeczyta
teraz milczą
coraz głośniej ,coraz pogardliwiej
zdziwione
że można iść
mijając je obojętnie
czarne litery
białe kruki
machają skrzydłami okładek
wciąż spadając z najwyższych półek
na głowę chcąc
przypomnieć o swym istnieniu
gasnącym
oczom

Oda do stołu

Stole drewniany
Gładko heblowany
Nie bądź skąpy
Nie żałuj wina i chleba

Skocz na jednej nodze
Do spiżarni — przynieś co trzeba
Niech będzie święto
Chociaż nie niedziela

Ojciec z synem
Matka z córką
Niech siądą przy tobie
Zgodnie jak w rodzinie

Niech starcza ci grosza
na to co potrzebne
Nie mów że coś jest niestety
nie na twoją kieszeń
(masz aż dwie szuflady!)

Stole drewniany
Gładko heblowany
Niech żadne korniki
Próchnice i ognie
Nie dadzą ci rady

Podkuj swe cztery nogi
podkową na szczęście
Kiedy zniknę — ty bądź
Nakarm tych co po mnie
przejdą życia przęsłem

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wybory prezydenckie i hipermagnetyzm

Obok takich elementów kultury masowej, jak dżinsy czy Coca-Cola, także literatura science-fiction trafiła do naszego kraju z niejakim opóźnieniem, co zresztą w pewnym sensie wyszło jej na dobre. „Wranglery" jakoś straciły ostatnio na popularności, a tymczasem fantastyka naukowa od kilku lat znajduje się w okresie niebywałego wręcz rozkwitu, jej miłośnicy mają własne pismo, zakładają kluby dyskusyjne, są członkami międzynarodowych stowarzyszeń, organizują mniej lub bardziej potrzebne zjazdy i konferencje. Autorzy z zapałem piszą raz lepsze, raz gorsze książki, rozchodzące się w wielotysięcznych nakładach, otrzymują za nie czasem zasłużone, a czasem niezasłużone, nagrody i wyróżnienia i rozsławiają imię polskiej fantastyki, jeżeli nie w świecie, to przynajmniej w Europie (ostatnio np. kilka cennych nagród na sesji w Belgradzie). Są to stwierdzenia dalekie od jakiegokolwiek cynizmu — polska fantastyka naukowa naprawdę trzyma się mocno. Rzecz jednak w tym, że w trakcie pośpiesznego odrabiania zaległości wciąż jeszcze zdarzają się naszym pisarzom literackie wpadki, a wszechobecny na rynku czytelniczym głód książki ułatwia rozpowszechnianie nie tylko pozycji niezaprzeczalnie wartościowych, lecz również fantastycznej tandety. Na szczęście sytuacja ta wydaje się ulegać zmianie. Złożyło się na to kilka przyczyn, wśród których warto wymienić interesującą działalność przekładową, prowadzoną konsekwentnie przez nasze oficyny wydawnicze, większe oczytanie masowego odbiorcy (przynajmniej w tej dziedzinie), który nie daje się już bezkarnie nabierać na byle prymitywną, naiwną konfabulację, i wreszcie większą dojrzałość i wyższe umiejętności warsztatowe rodzimych autorów, którzy w większości wyciągnęli właściwe wnioski z konfrontacji własnej twórczości z klasykami i arcydziełami gatunku.

Jacek Sawaszkiewicz jest jednym z najlepiej znanych polskich pisarzy science-fiction młodszej generacji, pisarzem utalentowanym i cenionym wśród czytelników. Recepta na sukces w wydaniu Sawaszkiewicza jest prosta, i co najważniejsze, skuteczna — w swych książkach opiera się on na tradycyjnych, wielokrotnie sprawdzonych formułach literackich („sprawdzonych" nie znaczy „przebrzmiałych"), popartych sprawną, niebanalnie prowadzoną narracją, fachowo skonstruowaną, zajmującą fabułą oraz błyskotliwymi dialogami, których największa zaletą jest swoboda i czarny, jakby chandlerowski humor, momentami może nieco nadużywany, lecz nierzadko zaskakujący celnością skojarzeń. W rezultacie otrzymujemy literaturę pozbawioną jakichś wyolbrzymionych ambicji intelektualnych (bo nie taka ma być jej rola), acz atrakcyjną i wciągającą na tyle, iż nie trzeba być bynajmniej zagorzałym zwolennikiem science-fiction, by czasu przeznaczonego na jej lekturę nie uważać za stracony. Wszystkie wymienione tutaj walory niewątpliwie posiada także najnowsza książka Jacka Sawaszkiewicza „Powtórka z Apokalipsy", będąca czwartą częścią cyklu powieściowego „Kronika Akaszy" — „Powtórkę z Apokalipsy" można wszakże traktować jako pozycję samodzielną, nie wymagającą koniecznie znajomości poprzednich tomów. Bohaterką książki jest zapadająca w transe hipnotyczne młoda kobieta, która w swym urojonym świecie przeżywa i obserwuje wydarzenia, mające zupełnie inny przebieg w rzeczywistości. Granica wytyczona pomiędzy światem realnym i fantastycznym stopniowo zaciera się, prawda i iluzja przenikają się wzajemnie i współgrają ze sobą, działanie wyobraźni okazuje się tak silne, iż jest w stanie wytworzyć zupełnie nowe jakości i formy, równie prawdopodobne „materialne" jak te, które spotykamy w sferze tzw. bytów rzeczywistych. Zastosowana przez autora „komiksowa", czy raczej „filmowa" struktura powieści umożliwia gwałtowne zmiany planów, zbliżenia i cięcia, pozwalające czytelnikowi na spojrzenie na te same sprawy z różnych punktów widzenia, a przy tym podkreśla jeszcze wyraźniej umowność opisywanych zdarzeń, ich ironiczną arbitralność. Ten chwyt ma również swoje wewnętrzne uzasadnienie, bowiem jedna z postaci powieści, najpierw kandydat, a później już prezydent-elekt, człowiek myślący trzeźwo i mocno stojący na ziemi, dokonując zręcznej i misternej manipulacji faktami kreuje na swój użytek własną wersję historii, o której wszyscy wiedzą, że jest fałszywa, lecz którą, paradoksalnie, niełatwo jest podważyć.

Najsłabszą stroną tej powieści jest chyba zbyt uproszczony sposób, w jaki autor pokazuje metody sprawowania władzy w tak ogromnym i skomplikowanym politycznie kraju, jakim są Stany Zjednoczone. Motywy działania niektórych bohaterów są chwilami niejasne, naszkicowane nader ogólnie i jednostronnie. Wydarzenia rozgrywające się na arenie politycznej stanowią co prawda tylko tło opowieści, poruszane są w nich jednak problemy na tyle ważne, że warto byłoby poświęcić im nieco więcej uwagi. Dość ryzykowny wydaje się także z początku obecny w „Powtórce z Apokalipsy" wątek erotyczny — ubarwianie powieści fantastyczno-naukowych seksem jest zawsze zabiegiem, powiedzmy delikatnie, podejrzanym — jednak pisarzowi z wdziękiem udaje się wybrnąć z kłopotu, subtelnie i z przymrużeniem oka traktując nawet tę znikomą porcję erotyzmu jaka znalazła się w książce.

Nowa powieść Jacka Sawaszkiewicza ma jeszcze jedną, nieocenioną wprost zaletę — otóż nie jest to książka nudna. Czyta się ją z niesłabnącym zainteresowaniem od pierwszej do ostatniej strony, a autor umiejętnie dozuje intrygujące pomysły, wzmagając napięcie i zmuszając czytelnika do bezwiednego przewracania kolejnych stronic. Cokolwiek złego dałoby się o tej pozycji powiedzieć, to jeśli tylko inni nasi autorzy nie zejdą poniżej poziomu „Powtórki z Apokalipsy", możemy być spokojni, że w dziedzinie S.F. przypadnie nam jeszcze niejedna poważna międzynarodowa nagroda.

MAREK ŚWIERKOCKI

Jacek Sawaszkiewicz — „Powtórka z Apokalipsy", Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1986, wyd. I, nakład 30.000 egz.

Czas reportażu

Obserwowane nie od dziś znużenie czytelników powieściową fikcją z jednej strony, i niedostatki literatury współczesnej, która jakby nie potrafiła tej współczesności opisać — z drugiej, sprawiły, że właśnie reportaż staje się gatunkiem w piśmiennictwie dominującym, żywotnym i chętnie czytanym. Decydują o tym i aktualność (reportaż jest natychmiastowym zapisem rzeczywistości), i — by tak określić — strukturalna pojemność tego gatunku (niemal nieograniczony wybór ujęć dziennikarsko-literackich). Można zatem bez żadnej przesady mówić o prawdziwej karierze reportażu nie tylko w skali naszego kraju. Przykłady są tak oczywiste, iż nie ma potrzeby ich tu przywoływać.

Częściej też niż kiedyś reportaż jest obecny w obiegu czytelniczym w wydaniach książkowych, zbiorach i antologiach. Mam oto przed sobą jeden z takich zbiorów, który zawiera wybór prac nadesłanych na konkurs z okazji 40-lecia Polski Ludowej (konkurs organizowało Biuro Prasowe Rządu i Zarząd Główny SDPRL). Wprawdzie nie jestem całkowicie przekonany co do wartości takich okazjonalnych i uroczystych inicjatyw (zawsze istnieje ryzyko konkursowego „popisu" i „wypracowania na temat"), ale przyznaję, iż nierzadko z tego rodzaju pomysłów rodziły się teksty ciekawe, niebanalne i po prostu dobre.

Recenzowany zbiór pt.: „Czas przeszły, czas przyszły" zawiera prace ułożone według chronologii przedstawionych w nich wydarzeń, od tych z początków powojennej rzeczywistości po lata ostatnie. Bohaterami są ludzie, ci znani z pierwszych stron gazet i ci nieznani, którzy swoją aktywnością i rzeczywistym zaangażowaniem w to co robią, zasługują na uwagę. Bohaterem tych reportaży jest także czas i — by tak rzec — codzienna historia powojennej Polski. Historia wielka i historia zwyczajna, która nie znajdzie miejsca w podręcznikach.

Zbiór ów jest także świadectwem stanu i możliwości reportażu współczesnego. Pośród tekstów jawnie perswazyjnych i publicystycznych czytelnik znajdzie jakby formy ambitniejsze, napisane z pomysłem i z dbałością o literacki szlif. Pośród tekstów po dziennikarsku zobiektywizowanych są i takie, w których czuje się emocje piszącego, subiektywne zaangażowanie w opisywane wydarzenia.

Autorami tych reportaży są zarówno dziennikarze profesjonaliści o znanych już nazwiskach (m.in. Edmund Żurek, Romuald Karyś, Zygmunt Szeliga, Eugeniusz Iwanicki, Tadeusz Wiącek, Bożena Krzywobłocka) jak i debiutanci-amatorzy. Ci pierwsi niejako z obowiązku, ci drudzy z potrzeby nieobojętnej refleksji poszukują związków między tym co społeczne, kolektywne i wspólne a tym co indywidualne, osobiste i swoje. Wyłania się z tego obraz polskiego czterdziestolecia, choć z całą pewnością niepełny i fragmentaryczny, ale za to ważny poprzez szczegół, godny zapamiętania epizod i jednostkową biografię.

Piszą we wstępie wydawcy: „Jest to zapis przeżyć wynikający z przysługującej ludziom dociekliwości i ponownego rozpatrywania prawd oczywistych po to, by słowa, pojęcia, których się używa, zachowały swoją autentyczną treść". Niechaj zdanie to posłuży za jeszcze jeden argument rekomendujący czytelnikom omawiany zbiór reportaży.

GRZEGORZ GAZDA

Czas przeszły, czas przyszły, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1986, s. 218.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

RODOWÓD PEWNEJ ANEGDOTY

Książę prymas Korony Polskiej Krzysztof Szembek, razu jednego zakazał sekretarzowi nadwornemu siadać do stołu swojego z przyczyny jakowegoś przewinienia. Taka to była słusznych ludzi u dworów polskich kara. Atoli pomnąc na jego zasługi i wyborne talenta, posłał mu w dzień postny głowę szczupaka cum magno oculo, jak mówią, domagając się, aby za tę grzeczność wiersz jaki napisał. Dopełniając on rozkazu pańskiego te natychmiast rymy ułożył:

Rybę na półmisku
Mam od arcybisku—

Zaniesiony ten wiersz, gdy księcia prymasa i całą kompanię dziwnie zabawił i rozweselił, posłano znowu do niego, ażeby tak nie uzupełnionego dokończył. Co pewno żadnemu do głowy nie przyszło, on drugim dołożonym wierszem:

„Pa" wtenczas nakryślę,
Jak mi wina przyśle,

dał do zrozumienia, czego mu do tej łaskawej uczty i przychylności pana nie dostawało. Jakoż przez ten żarcik łaskę pańską odzyskał.

Dowcipną tę anegdotę ogłosił „Kurier Warszawski" (1827 nr 64), ale w 21 lat później w tej samej gazecie (1848 nr 100) została opublikowana ponownie, tyle że autorstwo wiersza przypisano w niej poecie czasów stanisławowskich Tomaszowi Kajetanowi Węgierskiemu:

— Mosanie Węgierski — wołał książę prymas Ignacy Krasicki, posyłając znanemu poecie na drugi koniec stołu przepyszne dzwono szczupaka — chciej, proszę, skosztować tej rybki, ale zarazem przez wdzięczność odpowiedz wierszem.

— Zaraz, zaraz — odrzekł Węgierski, przełykając niby z trudnością i przecierając usta serwetą.

Sługa rybkę trzyma
Z łaski księdza pryma—

Kompania w śmiech, zabrakło rymu poecie...

— Cierpliwości — dodał z flegmą Węgierski:

„sa" wtenczas dokreślę,
Gdy mi wina prześle.

Powyższą anegdotę ogłosił Roman Kaleta w „Anegdotach i sensacjach obyczajowych wieku oświecenia w Polsce" (Warszawa 1958). W jakimś druku osiemnastowiecznym znalazłem informację, że autorstwo konceptu przypisywano wówczas Tomaszowi Morusowi a i u nasz poeta Wespazjan Kochowski, żyjący w XVII w., nadał facecji kształt wierszowanej recepty lekarskiej:

Przy rybach pijaj wino,
kanon w medycynie,
Żywe w wodzie pływać chcą,
a nieżywe w winie.

ANEGDOTY TEATRALNE

Na oryginalnym i uwieńczonym sukcesem dramacie pana L. pan X chrapał w najlepsze. Sąsiad jego niecierpliwie wstrząsa nim za ramię.

— Na miłość Boską, obudź-że się pan!

— Od jakiegoż to czasu nie wolno spać na sztukach pana L.? — spytał X przecierając oczy.

— Pan chrapiesz za głośno.

— I może panu przeszkadzam słuchać sztuki?

— Nie, panie, tylko chrapiąc głośno, przeszkadzasz mnie pan spać, a zmuszasz tym sposobem do słuchania sztuki, na co się wcale nie spodziewałem być narażonym.

2.

Rzecz dzieje się na scenie prowincjonalnej. Aktor, grający rolę ojca, mierzy z pistoletu:

— Giń, nędzny synu, umieraj!

Pistolet spalił na panewce, czym nie zrażony syn zachwiał się, upadł i drgając, mówił głosem konającego:

— Twój pistolet, ojcze, nie wypalił, jednak umieram z synowskiego posłuszeństwa

3

Kiedyś przedstawiono Henrykowi Sienkiewiczowi niemłodą już aktorkę, która zaczęła się do znakomitego pisarza umizgiwać.

— Jakie uczucia wzbudzam w panu, drogi mistrzu — spytała po pewnym czasie.

— O pani! Jedno z najwznioślejszych uczuć: wstręt do grzechu.

4.

W Królestwie pozwalano czasem rosyjskim żołnierzom statystować. W jednym z mniejszych teatrów grano „Zbójców" Schillera. Statystujący żołnierze leżą pokotem na scenie udając śpiących zbójców. Wtem na salę wchodzi rosyjski generał, który się spóźnił na przedstawienie. Żołnierze, zobaczywszy swego generała, zrywają się nagle ze swych miejsc i z okrzykiem „Zdorowia żełajem, wasze wieliczestwo!" wyciągają się frontem przed budką suflera, salutując dowódcę. Tragedia już dalej grana była wesoło.

Pierwsza anegdota pochodzi ze zbioru „Półtony humorystyczne" zebrane przez Złotego Lola i Oskara Młota (Warszawa 1874), druga z „Encyklopedii humoru" (Warszawa 1914), trzecia z „Wesołego kramiku" (Katowice 1960), czwarta oparta na pamiętniku Romana Żelazowskiego „Pięćdziesiąt lat teatru polskiego" (Lwów 1921).

ROZSĄDEK NARODOWY

Młode serce siwej głowy,
To rozsądek narodowy.

(Kazimierz B[illegible]ski)

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

PAWEŁ JASZCZUK

(1)

Szklany Ararat

To wszystko było i jest jeszcze na tej małej, zapomnianej stacyjce tak samo obcej — pomyślał Ralph — jak zdziwaczała i rozkapryszona, w domowym zaciszu przy Long Street, Laura. Przerwał myśl, nad pasemkami srebrzystych szyn tańczyła para bielinków. Wkrótce okazało się, że jest ich więcej: fruwały przy gęstej ścianie świerkowego żywopłotu, niby unoszone przez wiatr kawałeczki papieru. W dodatku tuż obok stopy Ralpha dreptała mała, zapracowana mrówka. A więc ten obcy, niezrozumiały świat nie opuści go. W ciągu tych kilku nic nie znaczących sekund widać było jego świadectwa — urzekające w swej prostocie przecinki, oddzielające tchnienie przyrody od tego, co swym wysiłkiem stworzył człowiek.

Otoczenie, które przyciągało jego uwagę świeżą oblepiającą wszystko nowością, przywodziło mu na myśl zagubioną gdzieś w głębi Afryki kolejową stacyjkę. Brakowało tylko smrodliwych much, tubylców i hałaśliwych, zwłaszcza nocą, cykad. Za plecami Ralpha poniżej zastanawiającej nazwy „GREATDOGSHILL" wisiał mizerny rozkład jazdy. Zaledwie trzy pozycje: 5.10, 15.25, 19.08 nie licząc ekspresu, który ani myślał się tu zatrzymać i z ogłuszającym łoskotem przetaczał się przez stację o 21.17, ale Ralph, oczywiście, nie mógł tego wiedzieć.

Jakby nie dość wrażeń w odległości około sto jardów jak oszalałe zwierzę uwijała się hydrauliczna ładowarka. Powietrze wypełniał ten jednostajny szum silnika, odbierający chęć do głębszej refleksji.

Minął kwadrans. Operator wysiadł z kabiny, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Cisza. Oczekiwana chwila oddechu, luksus także dla Ralpha. Operator jak na niemym filmie nachyla się nad skrzynką z pepsi. Plama błękitnego kombinezonu marszczy się i na sekundę nieruchomieje. Nagły błysk szkła butelki, jakby flesz aparatu, zmienia ujęcie. Film biegnie dalej, lecz brak pointy szybko nudzi Ralpha, odwraca więc wzrok.

Trzy godziny wcześniej Ralph Bennet, dziennikarz lokalnej gazety „Daily Rainbow" nie przypuszczał nawet, że znajdzie się w tak podłym miejscu. Wiedziony jakimś instynktem kupił w automacie bilet i wskoczył do pierwszego lepszego pociągu. Reszta była już tylko konsekwencją tamtej przypadkowej decyzji. Zobojętniały jechał dalekobieżnym pociągiem, nie bardzo wiedząc gdzie ani po co. Kiedy konduktor krzyknął przeciągle: „Greatdooogshiiil", zabrzmiało to tak, jakby setki razy wysiadał na tej stacji. Otworzył więc drzwi i bez zastanowienia wysiadł.

Taniec motyli i krzątanina mrówki wszystko to jeszcze trwało, gdy Bennet wiedziony jakimś nowym podszeptem chwycił elegancką, podarowaną przez Samuela Mankiewicza teczkę i ruszył przed siebie.

Ralph doskonale pamiętał to popołudnie, gdy wraz z Samuelem siedzieli w zacisznym barze bistro tuż obok ceglanych zabudowań „Miller School".

— Nie, nie odszedł — powiedział wtedy Samuel. — Zmusili go do tego. Ciągłe nieporozumienia i wyssane z palca zarzuty zmieniły się w oskarżenie o korupcję. A przecież, wierz mi Ralph, znałem go dobrze. Może lepiej niż ty. Tak samo, pamiętam, ubierał się i przyjeżdżał do pracy starym dwudrzwiowym fiatem.

— Chcesz mu pomóc? — zapytał Ralph, wypluwając na dłoń pestkę po zjedzonej renklodzie.

Samuel zmarszczył czoło. Zamyślony śledził sunący po ścianie cień pochylonego nad kierownicą motocyklisty.

— Nie jestem samarytaninem, Ralph, a zresztą... Nie po to ściągałem cię tu, by gadać o Sommerze. — Przesunął nogą czarną, stojącą pod stołem teczkę. — Mam coś dla ciebie, coś czego szukałeś! Ty zawsze czegoś bezskutecznie szukasz, prawda Ralph? — spojrzał na niego drwiąco. Straciłeś przyjacielu węch, jak przywiązany do łańcucha pies. Zostały ci same ochłapy, którymi musisz się zadowolić, gdy inni już odeszli.

— Chcesz mnie wkurwić? — Bennet odstawił na bok szklankę z wypitym do połowy kompotem.

— Uchowaj Boże, Ralph! Przecież to ty wciskasz mi, że od początku życia masz pecha. Nie moja wina, że kiedy bierzesz się za jakiś temat, ktoś zrobił to już przed tobą lepiej! Oczywiście nie byłbyś sobą: wściekasz się, odgryzasz, że jeszcze nie czas, odkładasz te rachunki na potem. Trzymasz się uparcie swej kulturalnej działki: felietoniki, letnie wywiady, czasem recenzje. Mam rację, czy nie?

— O co ci chodzi, Sam? Zaprosiłeś mnie na drinka, więc...

— Powoli chłoptasiu — przerwał mu — będzie i drink, tylko nie teraz, spieszę się.

Przez kilka sekund Samuel bawił się leżącym na blacie widelcem, a potem niespodziewanie wycelował nim w głowę Ralpha.

— Grasz w ciemno, czy nie!? — zapytał i szybko cofnął rękę.

— Gram, ma się rozumieć Sam, ale...

— Nic nie mów Ralph, jesteś kupiony! Powiedziałeś „gram", nie ma żadnego „ale". Pod stołem, spójrz, masz materiały. To nie jest lipa, to są, bracie, najprawdziwsze fakty. Zabierz to wszystko do domu, spokojnie obejrzyj, zastanów się. Bez pośpiechu Ralph! Nikt cię nie goni. Znasz zasadę naczelnego. „Nie będę za was nastawiał łba" — truje to na każdym kolegium. I ma rację. „Rainbow" liczy dokładnie tyle lat, ile my razem.

— Co to jest? Chcesz bym sam ciągnął pierwszy lepszy temat?

Sam pokręcił głową:

— O nie, bracie, nie pierwszy lepszy! Masz szansę, powinieneś wreszcie zabłysnąć. Zresztą Laura nigdy by ci tego nie wybaczyła. No, nie?

Samuel wstał od stołu i mrużąc przebiegle swe zielonkawe kocie oczy, bez słowa skierował się ku wyjściu.

Ralph został sam. Coś niewiadomego (wykwit ambicji, którą podrażnił Mankiewicz) uwierało go teraz, jak wystający w bucie gwóźdź. Zaciekawiony do granic wytrzymałości postanowił, że za chwilę z podarowaną przez Samuela teczką wsiądzie do metra, by po trzech kwadransach znaleźć się w dwupiętrowej kamienicy, w swym gabinecie przy Long Street. Nie domyślał się nawet, że Samuel postawił przed nim nieliche zadanie.

Samuel Mankiewicz. Któż to jest do licha ten Samuel Mankiewicz? — zastanawiał się, jadąc metrem. — Polonus, którego przodków przygnało dwa wieki temu w poszukiwaniu chleba, to jasne. Lecz kto jeszcze? Niemłody już, uzdolniony człowiek. Po trosze rzeźbiarz, po trosze dziennikarz, który trwoni swoje zdolności, nie mając ochoty ani potrzeby ich pogłębiać. Jednakowo łatwo posługuje się — myślał o nim Ralph — długopisem jak dłutem.

Ralph poznał Sama dzięki Laurze. Któregoś dnia, tak dawno, że nie pamiętał kiedy, Laura kupiła na pchlim targu w okolicy Garden Squera „cudownie delikatną" — jak się wyraziła — drewnianą płaskorzeźbę: głowę dziewczyny o słowiańskiej urodzie z rozwianymi włosami. Interesujące cacko, które zaciekawiło takiego dyletanta jak Ralph. Oczywiście, Laura powiesiła je zaraz na honorowym miejscu. Tych miejsc w ciągu kilkunastu lat znajomości z Samuelem było wiele. Na odwrocie płaskorzeźby odbity był niebieską pieczątką adres pracowni: Downstreet 11 i telefon: 33-22 i jeszcze cztery cyfry, które dawno wyleciały Ralphowi z głowy. Przy jakiejś okazji, pisząc do „Rainbow" felieton o amatorskim ruchu artystycznym, przypomniał sobie o telefonie i zadzwonił do Mankiewicza. Przypadek sprawił, że bardzo szybko znaleźli ze sobą wspólny język. Laura na ich pierwsze spotkanie przygotowała wymyślne drożdżowe ciasto z nadzieniem. Niestety farsz z kalmarów przypalił się i musieli się obejść kupionymi w pobliskim markecie słonymi paluszkami.

Otwartość Samuela zjednała mu nowych przyjaciół: Laurę i Ralpha. Choć tak naprawdę Ralph po wielekroć zastanawiał się, czy w ten przypadkowy sposób można poznać prawdziwego przyjaciela. Nie lubił zresztą tego napuszonego słowa „przyjaźń". Znajomość, koleżeństwo — te określenia bardziej do niego trafiały.

Samuel jak każdy stary kawaler miał swoje dziwactwa. Za jedno z nich Ralph uważał przywiązanie od lat do tego samego niemodnego citroena, w którym oryginalne zostały jedynie drzwi i kierownica. Rzecz jasna ten gruchot bardzo często mu się psuł, i to w najbardziej nieodpowiednich miejscach: na zatłoczonym rondzie albo też, dla przykładu, gdy Samuel przejeżdżał tunelem pod Ice River. Zarabiał nieźle. Stać było go na porządny wóz. Samuel jednak nie miał aspiracji rajdowego kierowcy i robił wszystko, by nie przekroczyć przeciętnego, wyznaczonego mu przez naturę miejsca. Nie było to więc zwykłe zrządzenie losu, lecz świadomy wybór i przyzwyczajenie. Mieć głowę na karku wcale nie oznacza jeszcze — chcieć z niej korzystać.

Na domiar tego Samuel, stary kawaler uparcie twierdził, że nie potrafi żyć w stadzie. Ile razy spotkał się na osobności z Ralphem, zadawał mu od niechcenia jedno ze swoich pytań: „To musi być nudne, Ralph, przez całe życie robić to z jedną kobietą, co?". Zadowolony z siebie Samuel żył bez pośpiechu. Pisał, czasem rzeźbił znajdując między tymi zajęciami czas na spotkania z Ralphem i Laurą, aż tu któregoś dnia afera szklanego Araratu dotknęła go jedną ze swych wystających macek. Wyobraźnia artysty podsunęła Samuelowi niebanalne rozwiązanie zagadki, gdy część, a może całość dokumentów trafiła przez pomyłkę do jego skrzynki poste restante na dworcu West II.

Tego dnia Samuel spiesząc się na kolegium redakcyjne, w którym miał uczestniczyć, nie znalazł, jak był się spodziewał codziennej porcji korespondencji, lecz elegancką, wykonaną ze świńskiej skóry, czarną teczkę. Zdumienie i ciekawość przerodziły się wkrótce w obawę. Samuel nie poszedł tego dnia do redakcji. W domu wyrzucając zawartość teczki na stół, przekonał się, że jego ciekawość może mu zaszkodzić.

Jak w kryminalnym filmie podszedł na palcach do drzwi i przekręcił klucz. Przez długą chwilę nasłuchiwał, z biciem serca spoglądając przez judasz. Na szczęście na schodach nie było nikogo. Ten jego niepokój stał się dwa dni później udziałem Ralpha. Samuel długo się zastanawiał, choć byli przyjaciółmi, czy podzielić się z nim wiadomością. W końcu przełamał się i Ralph w piątek po południu stał się właścicielem znaleziska.

Minęła godzina odkąd wysiadł na stacji. Trzy tysiące sześćset, przerywanych niespokojnym biciem serca sekund. Cienie drzew wydłużyły się, nie na tyle jednak, by mógł bez zmrużenia powiek spoglądać wstecz, w kierunku wijącej się za nim pośród kukurydzianego pola drogi.

W teczce, którą niósł w lewej ręce, w plastykowych pudełkach spoczywały dwie videokasety z zapisem spotkania. Pięć godzin wcześniej (zanim wsiadł do pociągu) Ralph kolejny raz z rzędu przeglądał je. Jak małpa kręcił się wokół telewizora, przybliżając się i oddalając na klęczkach. Zamarły nagle przystawał. Tak jakby był świadkiem tajemnego widowiska: łowił słowa, gesty zebranych w wysokiej kolumnowej sali. Raz nawet, gdy poeta zacytował wiersz, cofnął taśmę. „Opowiedz mi łabędziu swoją starą opowieść. Z jakiego kraju przybywasz, łabędziu, nad jakie lecisz brzegi?..." Wtedy niespodziewanie głos poety umilkł (z pewnością playbeck) i poeta-aktor musiał dokończyć już bez pomocy aparatury: „O tym kraju, w którym „nie rządził" smutek ani zwątpienie...".

Po jego słowach nie było oklasków. Każdy zbyt dobrze znał wyreżyserowaną uroczystość. Tak, z pewnością znał. Zbyt dobrze, by poddać się zaciekawieniu, nastrojowi chwili. Ralph pomyślał, że od samego początku to zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach spotkanie (obrady) kryło w sobie zapowiedź fatalnego końca, jak długie, usypiające czujność otoczenia milczenie wulkanu.

Przełożył teczkę do prawej ręki sięgając do kieszeni marynarki po papierosa. Nim go zapalił, skonstatował, że kasety równie dobrze mogły być nagrane gdzieś w atelier. Od początku do końca wielkie kłamstwo, które niby tysiące małych, zjednoczonych kłamstewek, podłości, było ukartowane. Przeglądając na monitorze zapis przebiegu spotkania, Ralph widział podniosłą chwilę, gdy połyskującymi „parkerami" podpisywano najważniejszy dokument. Dwanaście (jaka symboliczna, o ironio, liczba) nieczytelnych podpisów.

Sekretarz z zastygłym uśmiechem cal po calu badał wzrokiem dokument, jakby chcąc go jeszcze wygładzić, wycyzelować Ralph nie mógł wtedy zrozumieć, dlaczego kamera magnetowidu nie pokazała najważniejszej rzeczy: nie ujęła z bliska w powiększeniu makiety samego Araratu, szklanej tajemnicy.

Potem rozegrał się niespodziewany finał, który Ralph kilkakrotnie obejrzał. Sekunda, setna jej część i: ogłuszający jazgot, huk walących się stołów, świst odłamków ze stojących na stole butelek, betonu, odpryski stłuczonych szyb. Później czyjeś wołanie o pomoc, przekleństwa, zdaje się, że Alfreda Borundi, lecz Ralph nie dałby za to głowy. Po paru minutach głos umilkł. W obiektywie kamery (jej szkło było pęknięte i pokryte kurzem) nie było nic godnego uwagi. Statyczny obraz: zrujnowana sala, czyjeś nogi i pył, wzniesiony eksplozją, który spływał na soczystą zieleń dywanu. Kamera rejestrowała wyłącznie podłogę. Ralph śledził obraz do końca. Konwulsje ciał ustały. Cisza, lecz niezupełna. Na blat przewróconego do góry nogami stołu coś kapało. Woda, najwidoczniej była to woda z uszkodzonego na piętrze przewodu. Natrętne kapanie, które potrafi doprowadzić do obłędu, gdy leży się w łóżku. To kapanie przypomniało Ralphowi zabawną scenę z dzieciństwa. Ralph miał wtedy sześć, a może siedem lat. Rodzice wybrali się do kina na jakiś film z Brucem Lee. Eve, jego siostra, była z całej trójki najstarsza. To ona, żeby maluchy nie płakały, przyniosła z pokoju pluszowego misia i posadziła go na kuchennym stole.

— Chcecie, to beczcie, ja tam wiem, że mama i tata zaraz przyjdą. No? — popatrzyła z groźną miną na małego Ralpha i Richarda.

Chłopcy niepewnie uśmiechnęli się.

— Miś mi powiedział. — podzieliła się najnowszą nowiną Eve, która we wrześniu miała już iść do trzeciej klasy.

— Ten miś wcale nie mówi — powiedział najmłodszy z całej trójki Ralph, który nie chciał się tak łatwo przekonać i spojrzał na Richarda.

— Mówi, mówi! Powiedział jeszcze, żeby wydostać chleb z szafki i zrobić kolację.

— Ja też słyszałem — powiedział Richard. — Mówił bardzo cicho. Ralph przemyj sobie uszy, misie nie muszą specjalnie dla ciebie głośno mówić.

Eve ucieszona, że udało jej się przerwać na chwilę płacz braci — wyciągnęła z szafki nad zmywarką bochenek razowego chleba, a potem podsunęła stołek i zdjęła wiszący na haczyku ząbkowany nóż. Ralph, dorosły Ralph Bennet, widział siebie, jak stoi z taką samą jak Richard pajdką przy kranie.

— Jeden, dwa, trzy... — liczy Eve. — Teraz Ralph podstawia swoją pajdkę: kap, kap, kap... i podchodzi za Richardem do stołu. Bierze palcami cukier z cukierniczki i tak samo jak Richard (obaj spoglądają na siebie z zadowoleniem) posypuje swoją kromkę. Eve udaje, że karmi swoją kromką misia.

Ralph doskonale pamięta plastykowe, brązowe oczy zabawki i smak razowego chleba z cukrem, który zjadł wspólnie z misiem. Na darmo jednak Ralph starał się sobie przypomnieć twarze rodziców. Przyszli z seansu bardzo późno, gdy Eve, Richard i on dawno już spali.

Tak, pomyślał w duchu Ralph, za daleko odbiegłem myślami, kłębią się w mojej głowie, niby początek jakiegoś snu.

Gdy tak szedł pomiędzy wysokimi rzędami ciągnącej się na przestrzeni kilku mil kukurydzy, poczuł się zmęczony. Cisza i samotność potęgowały jego zmęczenie. Przeszedł jeszcze około sto jardów, akurat do miejsca, gdzie pole kukurydzy kończyło się i znalazłszy suche miejsce na trawie, przysiadł.

Gdzieś wysoko nad jego głową przelatywał samolot. Dźwięk odrzutowych silników zmieniał się z pogodnego buczenia w złowrogi pomruk. Ralph położył teczkę pod głowę i przymknął powieki. Pod jego głową spoczywała teczka, którą dostał od Samuela. Wewnątrz, w plastykowych przezroczystych pudełkach, spoczywały dwie kasety video i kilkanaście kolorowych, wykonanych na papierze Kodaka zdjęć i jakiś szkic flamastrem na kawałku czystej kartki. Kłębowisko niezrozumiałych linii.

Jeżeli do dzisiejszego dnia, pomyślał Ralph, nie ukazała się w prasie ani jedna wzmianka o tym spotkaniu i jeżeli, myślał, w dziesiątkach telewizyjnych i radiowych dzienników nie padło ani jedno na ten temat słowo, to musi istnieć jedno logiczne rozwiązanie tej zagadki. Terrorystyczny zamach. Dlaczegóż bowiem, myślał Ralph, z taką starannością wykonano zbliżenia martwych twarzy. Dwanaście zdjęć, dokładnie tyle ile zarejestrowanych przez kamerę na końcowym dokumencie podpisów. Zatrważająca, jakimkolwiek by ją określić przymiotnikiem, zbrodnia.

Ralph przeglądając te zdjęcia w domu, dostał torsji. Pierwszy raz widział coś podobnego. Nigdy, nawet w kinie, nie oglądał tak jątrzącego obrazu. Nikt nie wymagał od niego, by zawieszał wzrok na rozbryzganym (niby zrzucona z talerza galareta) mózgu.

Najbardziej poszkodowany był Soczev, Ralph domyślił się, że to może być on: zwłoki przyozdabiał czarny wąski krawat, zaciśnięty wokół szyi niczym pętla.

Blisko kwadrans przesiedział Ralph w łazience na skraju wanny. Jego własny oddech napawał go obrzydzeniem. Długo, starannie mył szczoteczką zęby. Czuł dokładnie to samo, co po przeczytaniu prasowej informacji o śmierci szkolnego kolegi, Maksa. Wreszcie przemógł się. Opłukał twarz zimną wodą i wrócił do pokoju. Jego wzrok padł teraz na pojedynczą dołączoną do kaset video i zdjęć kartkę. Pokrywało ją kłębowisko niezrozumiałych linii. Niejeden raz kreślił takie na zebraniach kolegium „Rairbow". Bezmyślne znaki, z których wybiegało na zewnątrz jedno zdecydowane pociągnięcie. Ralph obracał kartkę, jakby miała być na niej wypisana tajemnica życia. Konceptualny zapis, podobny do tego, jaki z Samuelem widzieli na wystawie sztuki nieprofesjonalnej w Oldroad. Przez wszystkie kartki książki — eksponatu biegła jedna nieprzerwana linia. Słabnąca, niknąca gdzieś na skraju i pojawiająca się niespodziewanie po drugiej stronie, niby prowadząca gdzieś za horyzont droga. Tak — ale to była tylko jego myśl, myśl Ralpha Benneta kurczowo uczepiona bezwartościowego dowodu.

Ralph wściekły zmiął ten błahy dowód i (zanim opuścił mieszkanie, kierując się w stronę dworca West II) cisnął go do kosza. Następnie włożył klucz do zamka, lecz to samo coś, co kazało mu uprzednio zniszczyć bezmyślny zapis, cofnęło go za próg. Sięgnął do kosza po zmięty dowód i na powrót schował go do teczki.

Teraz, w odległości około półtorej mili od dworca Greatdogshill, Ralph przypomniał sobie, że w kolumnowej sali obecny był również generał Pink. On jeden z wojskowych pozwolił sobie wziąć udział w zebraniu cywili. Wysoki, czarujący, nienaganną postawą, elegancki, nieco postarzały, ta patyną zawodowych oficerów wyższego szczebla, która nadaje ich twarzy wyraz zdrowego, dobrze odkarmionego prosiaczka.

Gdy mówił, jego usta układały się w wąski lejek, przez który sączyły się do mikrofonu mądrości (a do niedawna jeszcze rozkazy). Mimo nieskalanej prezencji, ach ten charmé, pomyślał Ralph — starszych posiwiałych na skroniach panów, kamera tylko dwa razy pokazała zbliżenie jego twarzy.

Z prawej strony generała Pinka zajmował miejsce podobny do nastroszonego ptaka, minister kultury Alfred Borundi, zaś z lewej odpowiedzialny za ochronę środowiska, prezes klubu „Zielona Oaza", minister Nicholas Soczev. Gdybyż można było, pomyślał Ralph, zajrzeć w głąb dusz tych trzech leciwych panów. O ile łatwiej byłoby wtedy odnaleźć koniec nitki, prowadzącej do pomysłodawcy projektu, który w ferworze propagandowego przemówienia Soczeva przybrał dobrze znany schemat „Woli Ludu".

Zwalniając obroty taśmy Ralph przyjrzał się dokładnie wystąpieniu Pinka. Zaciekawiło go spojrzenie emerytowanego generała. Pink wodził wzrokiem po sali, jakby czegoś szukał. Z pewnością kogoś lub czegoś szukał. Było to spojrzenie kogoś, kto pierwszy raz znalazł się w wielkim nieznanym mieście. Kto przed sekundą wyjechał ruchomymi schodami z podziemnej stacji metra. Ostre światło zmusza do obrony, każe mrużyć oczy, marszczyć mięśnie u nasady nosa. Tak właśnie patrzył na salę Pink.

Bennet żując zerwane źdźbło trawy, poprawił pod głową teczkę. Cała jej zawartość z pewnością starczyłaby na dziesiątki artykułów i wywiadów. Ktoś (ale kto, tego Ralph nie wiedział) mógł z niej zrobić użytek: wytoczyć tym, których obmacywała kamera proces albo przeciwnie, ukazać ich w pełni zasług, glorii, jak narodowych bohaterów. Otóż to! — skwitował Bennet rzuconymi w pustkę otaczającego go terenu słowami.

„To nie rząd — perorował Pink — to my dyktujemy warunki. Dwanaście naszych podpisów wyrwie choćby z gardła tego żarłocznego molocha siedem miliardów dolarów. Tyle według obliczeń specjalistów kosztować będzie całe przedsięwzięcie. Żadna kwota nie jest wygórowana. Jako wojskowy stawiam sprawę jasno, gdyż jasnych sformułowań oczekują ci, których tu reprezentuję. Idea, którą chcemy podnieść do niespotykanych w całej ludzkości wymiarów, ma służyć wszystkim, nie będzie więc propagandowym wybiegiem.

Kontrolę nad realizacją przedsięwzięcia sprawować będzie dwunastoosobowe kierownictwo. Z chwilą zgromadzenia niezbędnych środków, uderzymy ze wszystkich stron jednocześnie. Zmasowany atak przepuszczą stacje radiowe i telewizyjne.

Rzecz jasna nie obejdzie się bez kłopotów i błędów. Ale kłopoty są po to, by je usuwać, a błędy, by na nich się uczyć. Będą nam rzucać pod nogi kłody, hamować marsz, pisać, głosić, wreszcie pytać tych naiwnych maluczkich: „Jak doszło do tego absurdalnego i rozległego przedsięwzięcia?" — musimy to przewidzieć. Najmocniejszym wsparciem naszej kampanii będą, rzecz jasna, Zieloni. Oni bowiem dysponują dwudziestoma sześcioma głosami w parlamencie. (..)

Panie sekretarzu, panowie. Dziękuję za zaufanie, i że zechcieliście mnie z taką uwagą wysłuchać".

Chwila przerwy. Potem odgłos zbliżających się do kamery (zamocowanej na statywie) kroków. Na ekranie pojawił się Nicholas Soczev: niski, gruby, łysy. Poprawił resztki włosów na skroniach i rozejrzał się po sali.

„Niech nam się nie zdaje, panie sekretarzu, panowie, że językami zbudujemy Ararat. Tak jest — przed sekundą nazwałem ten projekt „Araratem", lecz jeśli ktoś z obecnych zaproponuje inną, bardziej stosowną nazwę, nie będę się sprzeczał. Nie idzie bowiem o słowa" — Tu Soczev odkaszlnął i przełknął głośno ślinę.

C.D.N.

Polemiki • Listy • Opinie

Ankieta CBOS: „Prasa – Telewizja – Plotka"

CO KTO CZYTA?

Trudno uwierzyć, ale fakty są takie, że w Polsce ukazuje się 56 dzienników i aż 2766 czasopism. Z tej monstrualnej liczby tytułów każdy chyba może wybrać sobie coś odpowiedniego, ale nikt nie jest w stanie przeczytać wszystkiego. O istnieniu wielu gazet przeciętny obywatel nie ma nawet pojęcia.

Jak wygląda czytelnictwo prasy w naszym kraju? Odpowiedź na to pytanie dają badania prowadzone przez różne ośrodki socjologiczne. Z niektórymi interesującymi rezultatami pragnę zapoznać czytelników „Odgłosów".

W lipcu 1985 roku **Główny Urząd Statystyczny** badał udział społeczeństwa w życiu kulturalnym. Wylosowano w tym celu reprezentację liczącą ponad **11600 osób w wieku 15 i więcej lat.** Z uzyskanych materiałów wynika, że **zaledwie 7 proc. respondentów w ogóle nie czyta prasy codziennej.** Natomiast tygodników ilustrowanych nie czyta wcale 21 proc., a tygodników społeczno-kulturalnych aż 57 proc. ankietowanych. Regularnie czyta gazety codzienne przeszło jedna trzecia, tygodniki ilustrowane 35 proc., zaś tygodniki społeczno-kulturalne **tylko 10 proc. badanych.** Należy jednak podkreślić, że najwięcej stałych czytelników tygodników społeczno-kulturalnych jest wśród osób z wyższym wykształceniem (43 proc.), a najmniej w grupie ludności z wykształceniem podstawowym (5 proc.).

Badania GUS potwierdziły to, na co wskazuje potoczna obserwacja, że najbardziej masowym środkiem uczestnictwa w kulturze jest telewizja. Codziennie ogląda ją 70 proc. rodaków. Zaledwie 1,6 proc. deklaruje, że w ogóle nie ogląda programu telewizyjnego. Nieźle wypadło też radio, którego codziennie słucha 40 proc. respondentów.

Fatalnie natomiast przedstawia się czytelnictwo książek oraz uczęszczanie do kina, teatru, filharmonii. **W ogóle nie czytuje książek 40 proc., a tylko 14 proc. czyta co najmniej jedną książkę w miesiącu.** Ponad połowa ankietowanych wcale nie chodzi do kina, a tylko nieliczni wybierają się do teatrów i na koncerty. Największą aktywność kulturalną przejawiają ludzie młodzi w wieku do 25 roku życia, a później uczestnictwo kulturalne systematycznie maleje i gwałtownie spada w wieku poprodukcyjnym.

Pod koniec lipca bieżącego roku część ciekawych wyników ujawniło **Centrum Badania Opinii Społecznej.** Z raportu wstępnego dowiadujemy się, że w dniach 3—19 marca 1986 r. metodą wywiadu kwestionariuszowego przebadano 1577 osób. Jest to próba reprezentatywna dorosłej ludności kraju powiększona o 79-osobową nadreprezentację inteligencji. Zebrany materiał ma umożliwić m. in. ocenę sytuacji na rynku czytelniczym dzienników i tygodników o zasięgu ogólnopolskim. Do tej ostatniej kategorii zaliczono również — wśród 61 czasopism — tygodnik „Odgłosy".

Każdy periodyk respondenci CBOS oceniali na specjalnej pięciopunktowej skali. Mieli mianowicie wskazać następujące typy tygodników: po pierwsze, **które należy za wszelką cenę zachować i chronić przed obniżeniem nakładów;** po drugie **przy których należy poważnie zastanowić się nad decyzją o zmniejszeniu nakładów;** po trzecie, **których ukazywanie się jest obojętne dla respondenta,** gdyż tylko przelotnie się z nimi zetknął; po czwarte, **których nigdy nie widział ani nie słyszał o nich;** po piąte, **które** zdaniem respondenta należałoby **zlikwidować lub ograniczyć znacznie ich nakład.** Tygodnik społeczno-kulturalny **„Odgłosy"** znalazł się na trzecim miejscu w kategorii nieznanych i na dziesiątej pozycji w grupie zbędnych.

Okazuje się, że 58,5 proc. badanych nie widziało w kioskach „Odgłosów", ani też o nich nie słyszało. I trudno się temu dziwić, skoro tylko ok. 5 proc. całości nakładu rozchodzi się poza okręgiem łódzkim (województwa: łódzkie, piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie). Oczywiste jest również, że o piśmie „nieobecnym" na rynku pewna część respondentów (zaledwie 9,3 proc.) niefrasobliwie wypowiedziała się, iż można je zlikwidować bądź zmniejszyć nakład. Nieznacznie mniejszy zresztą odsetek był za likwidacją lub ograniczeniem nakładu **„Tak i Nie"** (8,8), **„Spraw i Ludzi"** (8,2), **„Radaru"** (7,9) i kilku innych czasopism.

Autorzy raportu postanowili stworzyć jakiś miernik siły oddziaływania poszczególnych pism na czytelników. I obliczyli go w postaci tzw. współczynnika **„renomy"** oraz współczynnika **„odium".** Pierwszy stanowi **„stosunek odsetka respondentów uznających tygodnik za potrzebny i poszukiwany do wielkości jego nakładu".** Drugi zaś oznacza **„stosunek odsetka wrogów lub przeciwników pisma do wielkości jego nakładu".** Mój znajomy socjolog czytał z uwagą ten fragment elaboratu trzykrotnie i w końcu stanowczo orzekł, że mamy do czynienia z wierutną bzdurą. Tłumaczył mi dlaczego, lecz jako niespecjalista wolę wstrzymać się od głosu.

Na podstawie owego współczynnika **„renomy"** podzielono tygodniki na sześć grup. Najlepiej wypadły i znalazły się w pierwszej grupie: **„Przegląd Katolicki", „Wiadomości Sportowe"** (2) i **„Rodzina".** Tygodnik **„Odgłosy"** jest w piątej klasie — razem z tak popularnymi periodykami jak **„Przegląd Tygodniowy", „Kobieta i Życie", „Przekrój", „Razem"** i kilkoma innymi. Myślałem, że renomowana niewątpliwie **„Polityka"** trafi co najmniej do drugiej klasy, lecz wyraźnie widnieje dopiero w czwartej. Podejrzewam więc, że coś tu jest nie tak. Autorzy badań przyjęli chyba bałamutny wskaźnik.

Z kolei pod względem wielkości współczynnika **„odium"** tygodnik społeczno-kulturalny **„Odgłosy"** zajął ósme miejsce. Przed nim jednak, rzecz dziwna, znalazł się najbardziej renomowany **„Przegląd Katolicki".**

W podsumowaniu raportu czytamy, że wśród tygodników poruszających sprawy ogólnokrajowe czołową pozycję zajmują **„Polityka", „Przegląd Katolicki" i „Przegląd Techniczny".** Mają one największe możliwości wpływu na czytelników i kształtowanie ich obrazu rzeczywistości. Gotów jestem w to uwierzyć, ale nijak nie mogę zrozumieć, na jakiej podstawie sformułowano ten wniosek. Być może zasygnalizowane wątpliwości biorą się stąd, iż opracowanie CBOS ma charakter wstępny.

Omówione wyżej badania ogólnopolskie pozwalają mimo wszystko lepiej poznać zainteresowania i preferencje czytelnicze dorosłej ludności kraju. **Myślę, że redakcja „Odgłosów" nie powinna ich lekceważyć.** Ale dla regionalnego tygodnika większe znaczenie miałby sondaż zrealizowany w okręgu łódzkim, gdzie, jak już wspomniano, rozchodzi się zdecydowana większość nakładu. Nie wiem jednak, czy w ostatnich latach ktoś prowadził tutaj reprezentatywne badania nad czytelnictwem tygodników. Znane mi są jedynie materiały pochodzące z sondaży przeprowadzonych przez **Zakład Socjologii Ogólnej UŁ** wśród młodzieży szkolnej i studenckiej Łodzi, w których znalazło się nieco danych na temat czytelnictwa prasy. Wyniki te, choć bardzo skąpe, mają z pewnością wartość orientacyjną, dlatego można je zaprezentować.

W styczniu 1986 r. badaniami objęto 300 studentów z czterech wydziałów i siedmiu kierunków (historia, pedagogika, socjologia, ekonomia, matematyka, fizyka, biologia) Uniwersytetu Łódzkiego. Struktura próby według wieku, płci i pochodzenia społecznego nie odbiegała od reprezentatywnej. W populacji było 73 proc. kobiet. Z rodzin inteligenckich wywodziło się 54 proc. ankietowanych, z robotniczych — 34 proc., chłopskich — 5 proc. i drobnomieszczańskich — 4 procent. Reszta nie potrafiła jednoznacznie zakwalifikować klasowo swych rodziców.

Jedno z pytań obszernej ankiety dotyczącej postaw światopoglądowych i politycznych brzmiało: **„Który z podanych tygodników czytasz w miarę regularnie?".** Uzyskane rezultaty — z uwzględnieniem zróżnicowania według płci respondentów — zawiera zamieszczona niżej tabela. Wszystkie dane wyrażone są w procentach, lecz nie sumują się do 100, ponieważ można było podkreślić więcej niż jeden tygodnik.

Tytuł	Ogółem:	Mężczyźni	Kobiety
Polityka	23,3	27,2	21,9
Tygodnik Powszechny	4,6	6,2	4,1
Kultura	5,3	3,7	5,9
Razem	26,0	18,5	28,7
Odgłosy	14,0	16,0	13,2
Przegląd Katolicki	5,0	4,9	5,0
Przegląd Tygodniowy	3,3	2,4	3,6
Veto	5,0	3,7	5,5
Forum	12,3	20,9	9,1
Przekrój	31,6	24,7	34,2
ITD	9,0	9,9	8,7
Politechnik	0,6	—	0,9
żaden z podanych	21,3	34,6	16,4

Przyglądając się tej tabeli należy pamiętać, że pytanie miało charakter zamknięty. To znaczy, że indagowani studenci UŁ mogli podać jedynie tytuły wymienione w ankiecie. Nie jest więc wykluczone, że w badanym środowisku są popularne jakieś inne czasopisma, które jednak nie interesowały socjologów.

Z tabeli wynika, że zdecydowanie najbardziej popularny wśród studentów jest **„Przekrój"**, który — jak to określono w ankiecie — **„w miarę regularnie"** czytuje co trzecia kobieta oraz co czwarty mężczyzna. Dobrze wypadły również tygodniki **„Razem"** i **„Polityka"**, które zdobyły ok. jednej czwartej stałych czytelników. Natomiast **„Odgłosy"** zajęły czwartą pozycję. Czyta je systematycznie 16,0 proc. mężczyzn i 13,2 proc. kobiet.

Ale zadziwiające i niepokojące jest to, że aż co trzeci student oraz 16,4 proc. studentek nie czyta regularnie żadnego z wymienionych tu tygodników. W dodatku znaczna część spośród tych respondentów nie sięga systematycznie również do prasy codziennej.

W omawianym sondażu testowano poczytność pięciu dzienników. Pytanie ankietowe sformułowano następująco: **„Który z podanych dzienników czytasz w miarę regularnie?".**

Oto uzyskane wyniki w procentach:

Tytuł	Ogółem:	Mężczyźni	Kobiety
Dziennik Łódzki	24,6	22,2	25,6
Głos Robotniczy	23,3	29,6	21,0
Express Ilustrowany	28,3	18,5	31,9
Trybuna Ludu	3,6	2,5	4,1
Słowo Powszechne	2,0	3,7	1,4
żaden z podanych	39,6	44,4	37,9

Jak widać, najwięcej ma czytelników **„Express Ilustrowany"**, który w miarę regularnie czytany jest przez prawie co trzecią kobietę i co piątego mężczyznę. Najbardziej uderzający w tej tabeli jest jednak fakt, że aż 44,4 proc. studentów oraz 37,9 proc studentek w ogóle obywa się bez gazet codziennych. (W badaniach CBOS stwierdzono, że 10,5 proc. respondentów nie czyta żadnych dzienników, a 18,7 proc. zamiast tytułów dzienników wymieniło różne czasopisma).

W lutym i marcu 1984 r. Zespół Oświaty przy KŁ PZPR i Zakład Socjologii Ogólnej UŁ przeprowadziły badania wśród uczniów ostatnich klas maturalnych w liceach i technikach oraz ostatnich klas w zasadniczych szkołach zawodowych. W sumie badaniami objęto 373 osoby. Reprezentacje poszczególnych typów szkół były mniej więcej równe. Na pytanie o t w a r t e — **„Wymień jakie czasopismo najchętniej czytasz?"** — uzyskano następujące dane (w procentach i według liczby wyborów):

Tytuł	Ogółem:	Licea	Technika	ZSZ
Razem	45,4	36,4	49,1	50,9
Jestem	19,3	23,7	27,1	6,9
Przyjaciółka	15,9	11,0	22,9	13,8
Kobieta i Życie	13,3	20,3	11,0	8,6
Przekrój	8,2	16,9	7,6	—
Zarzewie	8,2	2,5	1,7	20,7
Film	8,2	4,2	10,2	10,3
Fantastyka	7,7	10,2	6,8	6,0
Filipinka	7,1	15,2	3,4	2,6
Na Przełaj	6,8	3,4	9,3	7,7
Magazyn Muzyczny	5,7	3,4	5,9	7,7
Odgłosy	5,1	3,4	9,3	2,6
Uroda	5,1	6,8	7,6	0,9
Non Stop	5,1	4,2	5,9	5,2
Polityka	4,8	10,2	3,4	0,9
Młody Technik	4,8	3,4	2,5	8,6
Panorama	4,8	2,5	7,6	4,3
Literatura	4,5	11,9	1,7	—
Ekran	3,4	0,8	4,2	5,2

Żadnych czasopism nie czyta tylko 4,5 proc. respondentów — podobny odsetek we wszystkich trzech typach szkół. Natomiast żadnych dzienników nie lubi czytać aż co piąty uczeń. Najwięcej uczniów sięga po **„Express Ilustrowany"** (50 proc.), następnie **„Dziennik Łódzki"** — 44 proc. i **„Głos Robotniczy"** — 20 proc. „Express" ma najwięcej sympatyków wśród uczniów techników (68 proc.), a najmniej w zbiorze licealistów (33 proc.), **„Trybunę Ludu"**, którą w skali kraju czyta aż 19,4 proc. respondentów CBOS (tj. najwięcej z wszystkich dzienników), czyta zaledwie 0,5 proc. uczniów ostatnich klas szkół ponadpodstawowych.

W tabeli obrazującej czytelnictwo czasopism zwraca uwagę fakt, że uczniowie czytają głównie magazyny ilustrowane. Sięgają więc po lekturę łatwiejszą. Ogromną popularnością cieszy się **„Razem"** — czytany przez co drugą osobę w technikach i zasadniczych szkołach zawodowych oraz co trzecią w liceach ogólnokształcących. Dużo zwolenników mają również tygodniki **„Jestem", „Przyjaciółka" i „Kobieta i Życie".**

Prawie nieobecne są zaś tygodniki społeczno-kulturalne, i to nawet w grupie licealistów. Co dziesiąty uczeń liceum czyta **„Literaturę"** i **„Politykę"**. Natomiast **„Odgłosy"** najwięcej mają sympatyków wśród uczniów techników (9,3 proc.), a najmniej w zasadniczych szkołach zawodowych (2,6 proc.).

Jak można podsumować zaprezentowane wyniki różnych badań socjologicznych nad czytelnictwem prasy? Nasuwają się dwa wnioski. **Po pierwsze** — nie dzieje się najlepiej w tej dziedzinie życia kulturalnego. **I po drugie** — istnieją bardzo duże różnice między rozmaitymi środowiskami, dlatego wszelkie ogólne przeciętne mają małą wartość informacyjną. Obok tzw. marginesów z badań — jak poinformował mnie znajomy socjolog — konieczne są „krzyżówki" uwzględniające płeć, wykształcenie, zawód, miejsce zamieszkania (miasto — wieś) i inne. Wtedy dopiero otrzymamy wiarygodny pejzaż socjologiczny.

MARIAN PODLASZEWSKI

CZY DAJE SIĘ PORÓWNAĆ NIEPORÓWNYWALNE?

Chciałbym na samym wstępie, aby uniknąć ewentualnych nieporozumień, zadeklarować i wyjaśnić, że nie jestem przeciw badaniom naukowym, a w tym socjologicznym. Doceniam ich znaczenie i uważam, że badań dotyczących działalności prasy, a przede wszystkim tygodników i periodyków, jest mało, że są potrzebne i powinny być pomocne w redagowaniu pism różnych typów i przeznaczenia. Ale jeśli miałyby spełniać tę rolę, to powinny wystrzegać się problematyki wszechuogólniającej i nie mogą porównywać nieporównywalnego. Na przykładach wyjaśnię o co mi chodzi.

Można było dowiedzieć się, że omówienia ankiety Centrum Badania Opinii Społecznej dotyczącej informacji w prasie, telewizji i radiu dokonane przez Jacka Mojkowskiego w „Polityce" i przez dziennikarza Polskiej Agencji Prasowej jest powierzchowne i fragmentaryczne. Lektura pełnego tekstu „raportu" potwierdziła ten domysł. Autorzy „raportu" zastrzegają się na przykład już na samym wstępie że **„nie można na podstawie odpowiedzi na pytania tej akurat ankiety wnioskować na przykład o rzeczywistym czasie oglądania telewizji czy poczytności konkretnego tygodnika".** Uzyskane opinie — zastrzegają dalej autorzy — są **„raczej obrazem sławy, jaką się cieszą programy i tygodniki, lub wyrazem rezerwy, z jaką są przez widzów i czytelników traktowane, niż realną statystyką zachowań odbiorców".** Jest więc to rezultat badań jakby wstępnych, orientacyjnych, podczas gdy obaj omawiający potraktowali je jako autorytatywne. A taki stosunek do wyników ankiety może prowadzić do bardzo błędnych wniosków.

Jak wynika z przedstawionych wyników badań prasa stanowi 19,1 procent najbardziej aktualnych informacji uczestników ankiety, 14,1 proc. informacji najbardziej interesujących i 25,8 proc. informacji najbardziej pełnych i wyczerpujących. Jednocześnie 10,5 procent odpowiadających na pytania ankiety przyznało się, że w ogóle nie czyta gazet, 18,7 proc. wymieniło tygodniki zamiast gazet i 4,5 proc. nie udzieliło żadnych informacji. Jeśli by zsumować te wyniki, to wychodzi, że jedna trzecia ankietowanych w ogóle nie interesuje się prasą codzienną. Natomiast 18,2 proc. badanych czyta tylko jeden dziennik, reszta dwa i więcej. Ale ta reszta to dość liczna grupa, bo razem wynosi 66,8 procenta. Wnioski z tego można wyciągnąć różne.

Pojęcie „prasa" jest pojemne i mało precyzyjne. Na ogół rozumiemy pod tym pojęciem dzienniki. Jednak autorzy „raportu" w rozdziale „prasa" omawiają również wyniki badań nad poczytnością tygodników. A zatem pojęcie to rozszerzają, co może prowadzić do bardzo różnych i mylących wniosków. Z reguły bowiem bieżącej informacji szuka się w dziennikach, a zupełnie czego innego w tygodnikach. Wrzucenie wszystkiego do jednego worka daje obraz bardzo mglisty i mało prawdziwy.

Autorzy ankiety do jednego worka wrzucili również wszystkie dzienniki i stworzyli absolutnie fałszywy obraz. Nie można przecież **na jednej płaszczyźnie stawiać wszystkich dzienników wychodzących w Polsce, gdyż mają one różny zasięg terytorialny.** Poza tym w różnych rejonach wychodzą ich różne ilości. Na przykład w Katowicach, Krakowie, Łodzi, Poznaniu wychodzą po trzy dzienniki, a w Białymstoku, Olsztynie — po dwa, w Opolu, Rzeszowie, Toruniu, Zielonej Górze — po jednym. Trudno więc porównywać poczytność tych gazet traktując je jednakowo. A już w żadnym wypadku **nie można porównywać poczytności gazet lokalnych z ogólnopolskimi,** jeśli nie prowadzi się specjalnych w tym celu badań. Czytelnik w Łodzi nie ma przecież żadnej możliwości kupienia w kiosku „Trybuny Robotniczej" ukazującej się na Śląsku, „Głosu Szczecińskiego", „Głosu Wybrzeża" wychodzącego w Gdańsku, czy „Nowości" ukazujących się w Toruniu. Czytelnik miałby spore kłopoty ze zlokalizowaniem poszczególnych tytułów dzienników ukazujących się w Polsce. Sam, choć z zawodu interesuję się prasą, miałem kłopoty z ustaleniem miejsca wychodzenia „Dziennika Pojezierza" (Olsztyn), „Dziennika Wieczornego" (Bydgoszcz), „Echa Dnia" (Kielce) i „Kuriera Podlaskiego" (Białystok).

Sądzę, że sens badań socjologicznych nad poczytnością prasy sprowadza się **do pomocy tym, którzy zajmują się jej redagowaniem.** Taką pomoc otrzymają jednak wówczas, gdy wyniki ankiety można będzie odnieść do wielkości nakładu i liczby dorosłych, potencjalnych czytelników. A zatem badania poczytności trzeba robić regionami, a nie w skali całej Polski, bo to daje fałszywy obraz. W skali Polski można badać te dzienniki, które ukazują się we wszystkich kioskach całego kraju. W omawianej ankiecie były to (w nawiasie odsetek uczestników ankiety czytających te pisma): „Dziennik Ludowy" (3,7), „Express Wieczorny" (9,9), „Gazeta Młodych" (0,5), „Gromada — Rolnik Polski" (2,0), „Kurier Polski" (5,4), „Przegląd Sportowy" (1,3), „Rynki Zagraniczne" (0), „Rzeczpospolita" (5,2), „Słowo Powszechne" (1,0), „Sport" (1,0), „Świat Młodych" (1,8), „Trybuna Ludu" (19,4), „Zielony Sztandar" (0,7), „Żołnierz Wolności" (2,0); „Życie Warszawy" (6,3).

I teraz możemy dokonywać porównań, chociaż dla pełnego obrazu potrzeba jeszcze informacji, kto kupuje gazetę ogólnopolską w kiosku, a kto otrzymuje ją przez zakładową prenumeratę, jak też kto ogranicza się tylko do gazety ogólnopolskiej, a kto jej lekturę uzupełnia lekturą dziennika lokalnego. A poza tym nie rozumiem, dlaczego zabrakło wśród tytułów ogólnopolskich „Sztandaru Młodych" skoro znalazł się „Świat Młodych"?

Podobnie wygląda sprawa z tygodnikami. Również **spróbowano porównywać rzeczy nieporównywalne.** Autorzy piszą, że **przedstawili „respondentom listę tygodników o zasięgu ogólnokrajowym"** i tak też zrobili. Ale przecież różne tygodniki mają różny zasięg ogólnokrajowy. Dla wielu z nich ów zasięg ogólnokrajowy jest jakby dodatkiem, uzupełnieniem, próbą wejścia również i na ten rynek, a nie obecnością już tam, bo podstawowa baza czytelnicza znajduje się w rejonie wydawania. Dla „Faktów" jest to Bydgoszcz i pobliskie województwa, dla „Tak i Nie" — Śląsk, dla „Spraw i Ludzi" — Dolny Śląsk, dla „Wprost" — Poznańskie, ale już dla „Ładu" i „Odrodzenia" — cała Polska.

Nie mam danych odnoszących się do wielkości nakładu, jaki sprzedawany jest w kraju, a jaki w rejonie wydawania. Takie dane są dziś niechętnie udostępniane. Dysponuję natomiast danymi odnoszącymi się do „Odgłosów". Autorzy ankiety i jej opracowania zastrzegają się, że posługiwali się wielkościami nakładu z 1985 roku. Średni nakład „Odgłosów" wyniósł w 1985 roku 30 tysięcy, w tym było 2.700 egzemplarzy prenumeraty, zwroty kształtowały się na poziomie 1,4 procenta, a na kraj szło od 4,5 do 5 procent nakładu. Tak zresztą jest i nadal.

Polemiki • Listy • Opinie

Najwyższy nakład „Odgłosów" w 1985 roku zanotowano w grudniu. Wyniósł on 43 692 egzemplarze, z tego na kraj poszło 2007 egzemplarzy, co stanowi **4,5 proc.** Dla pełnej informacji podam, że zwroty w grudniu 1985 roku zamknęły się w granicach 4,46 procenta. W 1986 roku najwyższy nakład osiągnęliśmy — jak do tej pory — w marcu. Wyniósł on 45 898 egzemplarzy. W prenumeracie sprzedajemy 3 549 egzemplarzy, na kraj poszło w marcu 2 124 egzemplarzy, co stanowi **4,6 proc.** całego nakładu. Mam prawo podejrzewać, że podobnie sytuacja wygląda w innych pismach wychodzących poza Warszawą, z wyjątkiem „Życia Literackiego", którego zresztą nie objęto badaniami. A szkoda! Jak więc można porównywać takie pisma jak: „Ekran", „Film", „Kobieta i Życie", „Odrodzenie", „Polityka", „Perspektywy" i tak dalej, których cały nakład idzie na cały kraj z pismami, których tylko mała część, nawet nie jedna trzecia idzie na kraj? Oczywiście, że wówczas stwierdzi się ich nieobecność na rynku krajowym. Ale gdzieś są one przecież sprzedawane, jeśli mają minimalne zwroty. Gdzie? Na to pytanie autorzy ankiety nie dają odpowiedzi fałszując tym obraz rynku prasowego jako całości, gdyż składa się on — podobnie jak w przypadku dzienników — z różnej jakości rynków lokalnych.

I wreszcie najbardziej sporna i myląca **sprawa „renomy" i „odium".** Ze swojej dziennikarskiej praktyki wiem, że najlepszą reklamą pisma jest mówienie o nim. Jeśli w biurze, w tramwaju, w kolejce mówią, że gdzieś tam coś napisali, to ludzie biegną, aby kupić to pismo, w którym coś niebywałego napisali. A jeśli mówią, że „oni ciągle tak piszą", to już można być spokojnym o nakład. Ale też wiem, że jak się jakiemuś pismu zaszarga opinię, to na jej odkręcenie i odszarganie potrzeba lat ciężkiej pracy. Często różni moi znajomi i przygodni poznani, jeśli dowiedzą się, gdzie pracuję, mówią: — Co wy tam w tych „Odgłosach" wypisujecie!!

— A konkretnie o co chodzi? — pytam wtedy.

— Konkretnie, to ja nie wiem, bo nie czytałem, ale słyszałem jak mówili, że jakąś pornografię uprawiacie, czy coś w tym rodzaju.

Wtajemniczonym wiadomo, że najwyższy nakład w PRL osiągnęła i osiąga „Przyjaciółka", ale w tabeli „renomy" w badaniach CBOS osiągnęła wskaźnik 2.44 a w skali „odium" — 0.16. „Przegląd Tygodniowy", który jest pismem, jakie zdobyło rynek w błyskawicznym tempie i osiągnęło nakład 170 tysięcy egzemplarzy (przypomnę, że sukces ten powtórzyło katowickie „Tak i Nie" osiągając 140 tysięcy egzemplarzy, ale jest to pismo śląskie i w kraju „nieobecne"), i ten tygodnik ma w skali „renoma" wskaźnik 7.40 a w skali „odium" — 3.48. Natomiast „Przegląd Katolicki", który — jak piszą autorzy ankiety — ma „niespełna dwudziestotysięczny" nakład, staje na liście „renomy", chociaż 55.6 procent uczestników ankiety albo „zetknęło się, ale niewiele z nich czytało" i „ich ukazywanie jest dla nich obojętne" (36,1), albo „nigdy nie widzieli w kioskach ani o nich nie słyszeli" (19.5). Skąd więc ta „renoma"? Podobnie zresztą jest z „Wiadomościami Sportowymi" — pismem przeznaczonym dla wąskiego kręgu odbiorców, które być może uczestnicy ankiety pomylili z innymi, gdyż 51 procent z nich albo zetknęli się i niewiele czytali, albo nie słyszeli i nie widzieli w kiosku, bo to pismo przeznaczone dla odbiorcy ze wsi. Nie potrafię powiedzieć, jaki cel miało ustalenie wskaźnika „renomy" i „odium". Jak do tej pory posłużył jedynie do sensacyjnych uogólnień, robiąc sporo niepotrzebnego zamieszania.

Dla wyciągnięcia właściwych wniosków z ankiety CBOS potrzeba wielu dodatkowych informacji, jak na przykład wielkości nakładów, rejonów sprzedaży, liczby mieszkańców dorosłych w tych rejonach, wielkości nakładów przeznaczonych na kraj i tak dalej. Bez tych danych **jest to tylko porównywanie nieporównywalnego, co może — i prowadzi — do fałszywych wniosków.** Mimo tych zastrzeżeń uważam — po zapoznaniu się z całością materiału — że badania takie są potrzebne. Dobrze stało się, że je zapoczątkowano, choć w niezbyt fortunny sposób, ale początki zawsze bywają trudne. Zachęcałbym zatem do dalszych, ale już szczerzejszych i — jeśli można wyrazić cichą prośbę — to w konsultacji z fachowcami nie tylko od prasy, ale i jej kolportażu. Bo — tak Bogiem a prawdą — to część wyników tej ankiety trzeba [illegible] na konto: albo to ich zasługa, albo ich wina. W przypadku niektórych pism „nieobecnych" raczej wina. Ale to już zupełnie inny temat, może ktoś i takie badania podjąłby?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zamek w Darłowie

STANOWISKO WYDZIAŁU KULTURY I SZTUKI UW W KOSZALINIE

W numerze „ODGŁOSÓW" z 12 lipca 1986 r. ukazał się artykuł Jacka Głębskiego pt. „Ponure fatum nad zamkiem w Darłowie". Fakt przedłużającego się remontu zamku w Darłowie uznaję za bezsporny. Pragnę jednak nieco złagodzić niezwykle krytyczny a nawet wręcz napastliwy ton tego artykułu, z którego wynika, iż nie może być dobrze z zabytkami w Darłowie, jeśli dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie nie ma orientacji w omawianej problematyce.

Istotnie, rozmowa moja z J. Głębskim miała miejsce i to pod nieobecność Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, który z pewnością udzieliłby spieszącemu się dziennikarzowi o wiele bogatszych informacji. W tej sytuacji starałem się wykazać maksimum dobrej woli okazując pomoc w uzyskaniu przez Jacka Głębskiego odpowiednich materiałów oraz możliwości dotarcia do instytucji bądź osób, które dostarczyłyby mu wszechstronnej wiedzy w interesującym go temacie.

Okazało się jednak, że moja daleko idąca życzliwość wobec dziennikarza została przez niego wykorzystana do nie ujawnionych w naszej rozmowie celów. Ponadto moje wypowiedzi zostały przez Jacka Głębskiego zniekształcone i podporządkowane, jak wynika z artykułu, do przyjętej uprzednio koncepcji. Nie moją jest rolą oceniać takie postępowanie dziennikarza, który winien przestrzegać norm zawartych w prawie prasowym. Lekturę tego artykułu odebrałem bowiem jednoznacznie jako próbę ośmieszenia mojej osoby i Urzędu jaki reprezentuję. Oświadczam więc, że rozmowa moja z Jackiem Głębskim dotyczyła zabytków w Darłowie, ale jej przebieg był całkiem odmienny aniżeli ten prezentowany na łamach „Odgłosów". Przyznaję, iż działając w dobrej wierze nie poprosiłem o autoryzację swoich wypowiedzi. Oceniam to jako błąd. Nie zamierzam się tłumaczyć lub prostować użytych przez J. Głębskiego rzekomo moich słów. Pozostawiam to jego dziennikarskiemu sumieniu. Pragnę natomiast odnieść się do meritum sprawy.

Przy pomocy służby konserwatorskiej bardzo szybko i wyczerpująco poinformowałem Jacka Głębskiego o stanie zabytków miasta Darłowa. Mam bowiem świadomość wielkiego zainteresowania opinii społecznej stanem zabudowy tego miasta i jego poszczególnych zabytków. Publikacje na ten temat ukazują się zresztą nie od dziś na łamach czasopism. Pragnę w tym miejscu wykazać troskę władz centralnych, wojewódzkich i miasta Darłowa, o stan tych obiektów. Najdobitniejszym tego przejawem jest kierowanie najwyższych w obecnych trudnych warunkach nakładów finansowych na ochronę i rewaloryzację darłowskich zabytków architektury, a także dbałość o ich prawidłowe i celowe wykorzystanie.

Z danych Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wynika, że miasto jako zespół urbanistyczny wpisane jest do rejestru zabytków w ramach zespołu miejskiego, a niektóre obiekty zabytkowe posiadają indywidualne decyzje. Przedmiotem szczególnego zainteresowania jest zespół Zamkowy, Brama Miejska i Kaplica Św. Gertrudy. Tylko Brama Miejska nie posiada do chwili obecnej ostatecznej koncepcji zagospodarowania. Natomiast Kaplica Św. Gertrudy (własność miasta a nie parafii rzymskokatolickiej) zlokalizowana na cmentarzu komunalnym pełni funkcję domu przedpogrzebowego, co jest zgodne z jej pierwotnym, jeszcze średniowiecznym przeznaczeniem. Troska o jej stan jest przedmiotem zainteresowania służby konserwatorskiej, a nade wszystko Urzędu Miasta i Gminy w Darłowie oraz służb komunalnych, które prowadzą tam w zależności od potrzeb określone remonty pod nadzorem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Uznając jej wielką wartość historyczną WKZ w latach siedemdziesiątych prowadził tam odkrywkowe badania historyczne, które doprowadziły do ujawnienia fragmentów fresków średniowiecznych zabezpieczonych przez Pracownię Konserwacji Zabytków w Toruniu. Jakkolwiek byśmy obiekt ten nazwali, czy to wulgarnie „trupiarnią" czy to w sposób obecnie przyjęty „domem przedpogrzebowym", Kaplica Św. Gertrudy w Darłowie długo jeszcze będzie pełniła dotychczasową rolę ze względu na swoją lokalizację w centrum czynnego cmentarza komunalnego.

Jacek Głębski poruszył też sprawę niedogodnych pór zwiedzania tego obiektu. Funkcje obiektów kultu religijnego są przecież w pełni szanowane przez turystów zwiedzających np. zabytkowe kościoły i to tylko wtedy, gdy nie odbywają się tam nabożeństwa. Stąd przestrzeganie podobnych zasad w odniesieniu do zabytkowego domu przedpogrzebowego wydaje się naturalne a nawet wskazane.

Denerwująco długi okres remontu Zamku w Darłowie nie jest odkryciem nowym, bowiem stan prac remontowych jest ustawicznie śledzony i kontrolowany przez Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Skomplikowane badania historyczne mające na celu ujawnienie faz przebudowy tego obiektu, oczywiste braki finansowe, a także być może od początku błędny system projektowo-wykonawczy miały niewątpliwy wpływ na aktualny stan zaawansowania robót. Przyjęty ostatnio przez głównego wykonawcę, jakim są Pracownie Konserwacji Zabytków Oddział w Szczecinie, harmonogram pozwala mieć nadzieję, że będzie on systematycznie realizowany a terminy dotrzymywane (w załączeniu). Przy tym wyjaśniam, że nie obawiam się „wycofania pieniędzy PKZ" na tenże remont, gdyż rewaloryzacja Darłowskiego Zamku finansowana jest nie przez PKZ Oddział Szczecin, a Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Koszalinie.

Przedstawione powyżej informacje zwalniają mnie od podejmowania polemiki z wysoce nieżyczliwą dla kultury wypowiedzią Jacka Głębskiego, który jak sądzę uważał, iż jak „przyłoży" to tym samym uzdrowi omawiane w artykule sprawy i problemy. Rozumowanie takie jest błędne. Cała ta sprawa ma bowiem o wiele szersze podłoże. Wielka szkoda, że Jacek Głębski nie mógł z braku czasu przeanalizować, a następnie przekazać czytelnikom rzeczywistych powodów, dla których remont Darłowskiego Zamku nie mógł być do tej pory zakończony. Może taka właśnie publikacja pomogłaby nam chociażby w uzyskaniu tak prozaicznych materiałów budowlanych jak wapno i cement. Interesująca byłaby z pewnością także prezentacja już wykonanych przez PKZ prac oraz stanu zaawansowania robót, które mimo kłopotów zbliżają moment oddania obiektu społeczeństwu do upragnionego i przez władze wojewódzkie finału. Niestety, jak sądzę, nie to było przedmiotem największego zainteresowania autora artykułu.

Ze swej strony pragnę zapewnić, że losy zabytków miasta Darłowa są traktowane przez władze województwa koszalińskiego jako pierwszoplanowe i nie będziemy nadal szczędzić trudu, a także posiadanych środków na ich rewaloryzację.

Koszalin, 1986-07-28.

Pozostaję z wyrazami szacunku i poważania

mgr JAN BASTRZYK
Dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki

Załącznik 1.
Do wiadomości:
1) Minister Kultury i Sztuki
2 Wojewoda Koszaliński

STANOWISKO MINISTERSTWA KULTURY I SZTUKI

Obecnie wieloletnia budowa znajduje się w fazie końcowej. Remont zamku w Darłowie ma być zakończony w roku 1988. Wielobranżowe, specjalistyczne prace budowlano-konserwatorskie prowadzone były z wielu przyczyn etapami.

Na zlecenie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków zespół architektów z Politechniki Warszawskiej podjął opracowanie projektu modernizacji zamku z utrzymaniem w obiekcie funkcji muzeum. Całość projektu technicznego była ukończona w roku 1970. W oparciu o projekt Politechniki, oddział w Szczecinie Pracowni Konserwacji Zabytków podjął w roku 1971 prace budowlane. Wykonano wtedy wymianę stropów skrzydła południowego, kotłownię, restaurację prawie wszystkich piwnic, wymianę pokryć dachowych, reperacje elewacji itd. Po kilku latach prace te przerwano z powodu braku wykonawcy instalacji centralnego ogrzewania i wodno-kanalizacyjnych.

W roku 1978 podjęto decyzję wznowienia prac w oparciu o nowy program użytkowy rozbudowany o bibliotekę miejską. Podejmując na nowo projekt, główny projektant uważał za konieczne przeprowadzenie kompleksowych badań architektonicznych i archeologicznych oraz opracowanie szczegółowego programu. Zespół Politechniki Warszawskiej wykonał projekt architektoniczny, Pracownie Konserwacji Zabytków wykonały projekty branżowe, badania i ekspertyzy techniczne. W czasie trwania prac projektowych i badań przystąpiono do robót budowlanych. Ponownie wystąpiły trudności ze znalezieniem wykonawcy instalacji, które zrealizowano dopiero w roku 1985. Obecnie po ukończeniu projektu architektonicznego w roku 1983, projekt wnętrz przygotowany w ramach Pracowni Sztuk Plastycznych jest również na ukończeniu. Podstawowe prace budowlane zostały w bieżącym roku zamknięte w skrzydle południowym. W trzech innych skrzydłach wiele prac jest jeszcze do wykonania.

W roku 1986 na prace budowlano-konserwatorskie przyznano 18,5 mln złotych z Funduszu Rozwoju Kultury, z którego jest przewidziane dotowanie dalszych prac w zamku.

Od początku 1986 r. inwestorem zastępczym budowy jest Wojewódzka Dyrekcja Inwestycji w Koszalinie dysponująca wyspecjalizowanymi służbami nadzoru.

Są wszelkie podstawy do tego, aby sądzić, że po zakończeniu prac w roku 1988 Muzeum i towarzyszące mu instytucje kulturalne rozpoczną działalność w Zamku Książąt Pomorskich w Darłowie.

Na podstawie art. 31 Prawa Prasowego uprzejmie prosimy o opublikowanie naszej odpowiedzi na powyższy artykuł ob. J. Głębskiego.

doc. dr ANDRZEJ GRUSZECKI
Dyrektor Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków
Generalny Konserwator Zabytków

Do wiadomości:
Zespół ds. Prasowych Gabinetu Ministra Kultury i Sztuki.

ZDANIEM AUTORA

Dziękując ministerstwu za wyjaśnienia, pozostawiam pismo bez komentarza. Chciałbym jednak ustosunkować się do treści listu dyrektora Jana Bastrzyka z WKiS UW w Koszalinie. Otóż nadawca zarzuca mi — delikatnie mówiąc — nieznajomość prawa prasowego. Widocznie dyrektor nie był łaskaw zajrzeć do art. 2 pkt. 14 Ustawy o Prawie Prasowym. A więc najpoważniejszy zarzut jest nieprawdziwy. Piszę „najpoważniejszy", albowiem pozostałe zarzuty pod moim adresem są dość typowe i spotykają się z nimi autorzy wielu krytycznych publikacji: otóż rozmówcy, wobec ujawnienia niewygodnych dla nich faktów, usiłują wmówić, iż dziennikarz ma bujną wyobraźnię, że rozmowa przebiegała inaczej niż to zostało opisane itd. itp. Doskonale rozumiem trudną sytuację dyrektora, toteż nie będę polemizował z inwektywami. Co prawda dyrektor straszy mnie wyrzutami sumienia, ale jeśli ktoś z nas nie będzie mógł spokojnie sypiać, to na pewno nie ja. Co jeszcze? Dyrektor rzeczywiście był miły i uczynny, ale.. dość słabo orientował się w kwestiach poruszonych w artykule. W każdym razie cieszy mnie fakt odpowiedzi, nawet takiej. Zresztą dyrektor obecnie dość jasno przedstawia w liście teraźniejszość i przyszłość zamku i kaplicy w Darłowie. Szkoda tylko, że — jak wynika z listu — dzięki temu artykułowi nic nie ma się zmienić w Darłowie. Ale to już twierdzi sam dyrektor.

JACEK GŁĘBSKI

SCALANIE WARTOŚCI

Po raz pierwszy redakcja tygodnika suwalsko-mazurskiego „Krajobrazy", Krajowa Agencja Wydawnicza oraz Stowarzyszenie Wisła-Odra — Oddział w Suwałkach, Wydział Kultury i Sztuki UW w Suwałkach, RW PRON i Suwalskie Towarzystwo Kultury ogłaszają konkurs otwarty na reportaż o nagrodę i medal im. Wojciecha Kętrzyńskiego pod hasłem „Scalanie wartości".

Założeniem Konkursu, któremu patronuje postać znanego orędownika polskości i rewindykatora Mazur — Wojciecha Kętrzyńskiego, jest ukazanie złożonych dziejów Polski północno-wschodniej, ze szczególnym uwzględnieniem ziem, które jedenaście lat temu utworzyły kształt nowego województwa suwalskiego. Zamiarem jest wydobycie na światło dnia najwartościowszych ludzi zamieszkujących ten region, ich wewnętrznych rozdarć i konfliktów, a także osiągnięć i sukcesów.

Organizatorzy zakładają, iż konkurs przyczyni się do przybliżenia świadomości Polaków awansu, jaki dokonał się na ziemiach Mazur i Suwalszczyzny. Za najlepsze prace zostaną przyznane nagrody: 1) Medal im. Wojciecha Kętrzyńskiego i nagroda główna — 60.000 zł, 2) nagroda II — 40.000 zł, 3) dwie trzecie po 30.000 zł, 4) trzy wyróżnienia po 20.000 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród, z tym, że suma na nie przeznaczona nie może ulec zmniejszeniu.

Nigdzie dotąd nie publikowane reportaże (objętość do 15 stron maszynopisu) w 4 egzemplarzach należy nadsyłać do 30 listopada 1986 r. pod adresem: **Redakcja „Krajobrazów", ul. Kościuszki 32, 16-400 Suwałki.** Prace powinny być opatrzone godłem.

Skład jury zostanie podany w terminie późniejszym. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w styczniu 1987 r. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwokupu nadesłanych prac w „Krajobrazach" oraz przewidują wydanie najwartościowszych reportaży w formie książkowej przez Oddział KAW w Białymstoku.

CZY JEST TYLKO JEDNA ŁÓDŹ?

Mówiąc o Łodzi mamy na myśli nasze rodzinne miasto z łódką w herbie. Ale czy czytelnicy wiedzą o tym, że miasto nasze posiada kilka „sobowtórów" o tej samej nazwie? W „spisie miejscowości PRL" możemy przeczytać, że w kraju istnieją jeszcze dwie osady o nazwie Łódź. Pierwsza z nich znajduje się koło Gostynina, druga zaś koło Międzychodu. Jest także wieś o nazwie Łódź koło Poznania, zaś kolonia Łódź położona jest w dawnej gromadzie Zgłowiączka koło Włocławka.

Nazwę Aleksandrów nosi nie tylko Aleksandrów Łódzki, lecz także miasto Aleksandrów Kujawski oraz 46 wsi w całym kraju, 11 kolonii, a także 9 osiedli.

Nazwę Konstantynów nosi 6 osiedli miejskich, 13 wsi i 6 kolonii rozrzuconych po całej Polsce. Tę nazwę posiada także miasto koło Białej Podlaskiej.

Zgierz to także wieś koło Słupska. Tylko Ozorków, Stryków i Głowno nie mają swoich „sobowtórów".

Oprócz miasta Pabianic identyczną nazwę posiadają dwie kolonie, jedno osiedle i jedna wieś.

MIECZYSŁAW KOZAK

KŁOPOTY Z PODATKIEM ZA PSA

Ludzie moi kochani, co ja się namęczę, co ja się nagłówkuję ostatnio przez ten psi podatek, to wy sobie nie wyobrażacie! Po nocach spać nie mogę, tylko myślę, ile to ja mam teraz tego podatku za moje psy zapłacić. Wydrukowali w gazecie przepisy, a i tak nikt z nas zrozumieć tego nie może... Mój zięć nawet liczył na komputerze.

Podatek od pierwszego psa wynosi 600 zł, od drugiego 1000 zł, od każdego następnego 2000 zł (bo widzicie, rozgraniczyli teraz podatek od opłaty sanitarno-weterynaryjnej i każda z tych opłat ma całkowicie odrębne prawa, żeby było trudniej zrozumieć). Zwolnione z podatku są psy pilnujące budynków mieszkalnych na peryferiach miasta, a także psy pilnujące obiektów niemieszkalnych. Niech mi ktoś poradzi, moi kochani, ile ja mam zapłacić? Mam trzy psy: dwa boksery i pekińczyka. Dom jest wolno stojący na peryferiach miasta. Przy domu mieści się warsztat rzemieślniczy. Można więc przypuszczać, że jeden bokser (bo to obrończe) będzie zwolniony z podatku. To ile płacić za tamte dwa? Płacić podatek za pierwszego i drugiego 1600 zł, czy za drugiego i trzeciego 3000 zł?

A może by się dało i drugiego psa zwolnić z podatku, no, bo że niby pilnuje warsztatu? Czy warsztat można uważać za obiekt niemieszkalny? A jeżeli tak, to czy za tego trzeciego psa płacić jako za trzeciego 2000 zł, czy jako za pierwszego 600 zł? Bo jeżeli jako za trzeciego, to w takim razie tego trzeciego psa trzeba przepisać na kogoś, żeby płacić za niego jako za pierwszego psa 600 zł.

No i teraz jest jeszcze druga część do zapłacenia — opłata sanitarno-weterynaryjna. Proszę posłuchać: opłata sanitarno-weterynaryjna wynosi 300 zł od pierwszego psa, 400 zł od drugiego, 1000 zł od każdego następnego. Od opłaty zwolnieni są posiadacze domów jednorodzinnych na peryferiach miasta, jeżeli mają tylko jednego psa. To znaczy, że jeżeli są trzy psy, to trzeba zapłacić za wszystkie trzy. To mi się wydaje jasne.

Ale gdybym miała płacić za dwa psy: to znaczy ile? Za pierwszego i drugiego 700 zł, czy za drugiego i trzeciego 1400 zł? Uff...

Co mam robić? Już wiem, co zrobię! Kupię sobie czwartego psa!

BARBARA K.
(Adres znany redakcji)

ze str. 1

Kasia, 19/171/87/67/94.

Nauczeni doświadczeniami z lat minionych, uparci wywiadowcy domagają się ujawnienia klasyfikacji końcowej jeszcze przed finałem.

— Po co się szarpać, skoro wszystko dawno jest ustalone — padają przekonywające argumenty.

Lecz jurorzy płci obojga milczą solidarnie, co może oznaczać zmowę albo brak zdania. Mimo to, niektóre panny zaczynają pakować się:

Iwona, 19/170/87/63/92.

Są dwa wejścia do Opery Leśnej: brama górna jest dla elity, dolna dla ludu pieszczotliwie nazywanego stonką. Stonka usiłuje szturmować bramę górną, bo też chce być elitą, ale trafia w żywy mur bramkarzy i spada gdzie jej miejsce.

Elita ma specjalne przepustki imienne i przechodzi skrupulatną odprawę graniczną, żeby jakiś obcy typ nie dostał się do miodu. Stonka zaś pilnie baczy, kto czym zajeżdża pod bramę i cmoka z zachwytu

Lobby warszawskie wywiera nieprzepisowy nacisk psychiczny, chóralnie skandując jedno imię:

Monika, 20/169/84/61/91.

Miss Świata jeździ odkrytym fordem z obstawą, Miss Polonia białym mikrobusem w asyście, artysta estradowy Drozda Tadeusz, który obwołał się pierwszym erotomanem PRL, jeździ wyłącznie nowiutkim mercedesem z dowodami rzeczowymi swej odpowiedzialnej roli, panny finalistki na razie woża się autokarem, milicja radiowozem, tylko redaktor Świerczyński chodzi piechotą dźwigając na plecach służbowy garnitur w pokrowcu

Kaszanka z miodem

Dorota, 21/174/86/65/93.

Dumą organizatorów jest prawdziwy komputer zamontowany w miejscu strzeżonym lepiej niż garderoba finalistek. Głównym zadaniem sprytnej maszyny jest liczenie głosów trzynastu jurorów, co jest zajęciem o tyle skomplikowanym, że przewodniczący jury ma tylko dziesięć palców u rąk.

Sprowadzony z zagranicy magik od obsługi wspaniałej maszynki, raz jeden z nudów kazał jej nakreślić wizerunek statystycznej Miss Polonia '86. Wyszło tak: Dziewczyna ma dziesięć lat, jest blondynką o imieniu Joanna, urodziła się pod znakiem Lwa, posiada wymiary 171 86 65 92, grzecznie uczęszcza do liceum ogólnokształcącego, ale pragnie studiować w Łodzi, kocha kwiaty, dzieci i piękno w ogóle.

Joanna, 20/171/86/64/92.

Podstawowym ekwipunkiem osobnika płci męskiej udającego się na babskie igrzyska do Opery Leśnej jest rzecz jasna myśliwska lornetka.

Małgosia, 19/169/87/61/92.

Płot okalający miejsce wydarzeń zaciekle szturmują cztery dywizje nieletnich wspierane przez batalion podtatusiałych bez gotówki. Załoga opery broni się dzielnie raz za razem odpierając ataki rozjuszonych. Hasła wiodące do boju nie są nazbyt trudne:

Dorota, 21/175/84/63/91.

Marynarzy na widownię ściągnęło tylu, że wygląda jakby nasza flota wysadziła desant. Żołnierze są zdecydowanie najlepszymi klientami stoisk upłynniających katalogi z barwnymi fotkami startujących panienek. Biorą wszystko jak leci, co przypomina nieco ożywczy klimat festiwalu kołobrzeskiego.

Joaśka, 20/175/92/64/92.

Goryle są bezwzględni. Jeden goryl publicznie przeciągnął po gołym betonie zbyt nachalnego fotoreportera. Drugi dał w zęby artyście Rosiewiczowi, bo ten ostatni uśmiechał się do panienki.

KONIEC

Huk petard niepotrzebnie przerywa zdrowy sen publiki spoczywającej w wysokich rzędach opery. Konferansjer Świerczyński składa samokrytykę, gęsto tłumacząc się, że pomylił kogoś z kimś, chyba panienkę czwartą z drugą, wobec czego jedna pojedzie na Florydę, a druga do Rabki, albo odwrotnie

Decyzją jurorów w roku przyszłym do matury w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych nie przystąpi miss:

Renata, 19/178/81/68/93.

ROMAN KUBIAK

MISS POLONIA '86

FOTO: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

(1)

Nie pomoże puder, szminka...

Była afera

Tak się składa od wielu lat, że w antraktach „między Opolami" rozrywka ma się dobrze: powstaje wiele udanych, ciekawych i przebojowych utworów śpiewanych, by w czasie kolejnych festiwali miast wysokiej formy zaprezentować zadyszkę z czkawką kończącą się głęboką zapaścią. Permanencja tego zjawiska jest wysoce zadziwiająca, by nie rzec: zagadkowa.

Mimo zmian założeń, pomysłów, formuł, mimo zmieniających się ludzi i ekip „robiących" tę imprezę, utrzymywał się średnio-kiepski poziom i nie chciał ani drgnąć. I nie wzruszają nikogo opowieści o trudach, przeszkodach, o zaangażowaniu i oddaniu sprawie, o ciężkiej pracy wielu ludzi.

BRAKORÓBSTWO OKUPIONE KRWAWYM POTEM

nic nie jest warte. Szkoda ludzi i ich wysiłku. Odwołując się do porównania z futbolem: tłumaczenie, że *„dali z siebie wszystko"* i przegrali np. cztery do kółka jest kompromitująco debilne i oznacza, że ich *„wszystko"* to bardzo niewiele, czyli że mało potrafią.

Tak było i w tym roku. A więc: nowa ekipa. Choć niezupełnie, bo większość nazwisk to ludzie, którzy z Festiwalem Polskiej Piosenki związani są od lat. Np. Krzysztof Materna, dyrektor programowy, czyli artystyczny opisywanej imprezy występował w Opolu jako zapowiadacz, reżyser i juror. Jak sam powiada, obecna funkcja jest jedyną, której tu jeszcze nie pełnił. *Nie przypominam sobie, co prawda, by był scenografem, budował dekoracje czy podawał kawę bądź mikrofony,* ale mniejsza. On też skompletował sobie ekipę realizatorów, ludzi, z którymi występuje w różnych uniach personalnych, znanych z radia, telewizji, czy skądś tam jeszcze. Andrzej Jaroszewski, prowadzący wraz z dyr. Krzysztofem Materną koncert finałowy (reżyserowany przez tego ostatniego) powiedział publicznie (cytuję z pamięci):

— Dwadzieścia lat temu ja zaprosiłem do udziału w festiwalu Krzysia Maternę, teraz on odwzajemnił mi się tym samym.

Słowem: sami swoi. Wcale nie musi to być czymś złym, gdyby były efekty. Dobre efekty, oczywiście.

Inny przykład. Barbara Borys-Damięcka zapytana jak doszło do jej reżyserskiego debiutu w Opolu, mówi na łamach „Biletynu Festiwalowego":

— To dzieło przypadku. Będąc członkiem komisji oceniającej i kwalifikującej piosenki zgłoszone na konkursy napomknęłam w jakiejś rozmowie, że nigdy jeszcze nie robiłam takich rzeczy, jak festiwal, i nie byłam w Opolu. No i stało się. Kompletując ekipę realizatorską, Krzysztof Materna zaproponował mi reżyserię Premier.

Następnie, na pytanie o debiut w roli prezenterki, odpowiada:

— Mój pomysł wyjścia na estradę wziął się z zestawu reżyserów robiących ten festiwal. Andrzej Strzelecki i Krzysztof Zaleski — zanim zaczęli reżyserować — byli aktorami. Krzysztof Materna i Wojciech Mann wielokrotnie występowali w programach telewizyjnych i estradowych. Każdy z tej czwórki mógł poprowadzić swój koncert. Postanowiłam więc, że i ja — jedyna kobieta w tym gronie — stanę oko w oko z publicznością. Nie jako profesjonalna prezenterka, lecz reżyser przedstawiający swój program. Był to z mojej strony akt wielkiej odwagi...

Święta prawda. Okoliczność łagodzącą stanowi rozbrajająca szczerość Barbary Borys-Damięckiej. Z kronikarskiego obowiązku dodać należy, że Krzysztof Materna poprowadził (oprócz „swojego" finałowego) koncert piosenek Adama Kreczmara.

Jeżeli zważyć jednak, że wymienieni panowie a także mówiąca o tym, są również autorami scenariuszy koncertów, i, niektórzy tekstów konferansjerki, a na każde z tych działań (reżyseria, scenariusz i prowadzenie plus własne teksty) opiewa osobna niemała stawka honoracyjna, to różnie można myśleć o *„przedewszystkości"* efektu artystycznego: Lepiej robić jedną rzecz dobrze, niż trzy czy więcej, kiepsko. Największą satysfakcję dać powinien sukces, a nie honorarium.

Zastanowić, z innego powodu, muszą natomiast wypowiedzi Andrzeja Strzeleckiego, reżysera koncertu piosenki aktorskiej i kabaretowej:

— Przyjeżdżam do Opola rzadko nie bez przyczyny. Ja się do tak konstruowanej imprezy nie specjalnie nadaję. Jest tu zbyt wiele elementów, na które reżyser nie ma wpływu (...) Repertuar i występujący z nim artyści — to elementy spektaklotwórcze. Nie decydowałem ani o jednym, ani o drugim w stopniu zadowalającym.

To znaczy, że reżyser bierze na siebie niemałą odpowiedzialność bez przekonania i zapału, z góry zakładając niepowodzenie (lub niepełne powodzenie) przedsięwzięcia. Ciekawe, czy w swoim teatrze zdecydowałby się na podobną kaskaderkę? To, co mówi Andrzej Strzelecki, nie usprawiedliwia niczego. Przecież nie był zmuszany do tej roboty (tak sądzę) pod groźbą użycia broni palnej czy innego środka eleganckiej perswazji. Mógł odmówić, lub, teraz, po fakcie, nie szukać winy u sił nadprzyrodzonych.

Podobnie Wojciech Mann. Na pytanie: czy wyrażając zgodę na reżyserowanie koncertu w Opolu (pt. Rock Non-Stop, przyp. MK) liczył, że wniesie on jakieś trwałe wartości do muzyki rockowej, odpowiada zdecydowanie:

— Nie wierzę w to. Już wcześniejsze próby — nawet wówczas gdy muzyka rockowa wygrywała w Opolu — wskazywały, że tak naprawdę nie jest to miejsce dla niej.

I dalej:

— Trudno oczekiwać tu sukcesu rocka, mając świadomość, że za kilka dni zacznie się Jarocin, że wiele imprez już się odbyło, a publiczność jest zmęczona.

No to, po jakie licho, proszę świadomości, ta cała szopka?!!!

Wreszcie mówi rzecz zdumiewającą:

— Symptomatyczny jest fakt, że ludzie odpowiedzialni za rozpropagowanie koncertów festiwalowych w Opolu są zainteresowani w tym, by nie reklamować koncertu rockowego. Widać to również w tym, że nie przewidują transmisji telewizyjnej.

Z tego wynika, że

ORGANIZATORZY FESTIWALU DZIAŁAJĄ PRZECIW SOBIE,

walczą wręcz o to, by ich impreza ściągnęła jak najmniej publiki, by przyniosła straty finansowe i nie pokazywano jej w TV. Jeśli to prawda, i w nią bym uwierzył. W Polsce już mało co może zdumieć. Tyle, że w Opolu żaden koncert nie był rozreklamowany. Miasto zaklejono plakatami grupy „Bolter", Krzysztofa Krawczyka i Krystyny Giżowskiej. Wyłącznie. Gdyby dodać do nich Tercet Egzotyczny, Jana Wojdaka i Sławomira Kowalewskiego — byłby komplet. No, może jeszcze Kazimierza Kowalskiego. A co do koncertów, to nie transmitowano solidarnie debiutów, piosenki aktorskiej i kabaretowej oraz piosenek Adama Kreczmara.

Na te wszystkie biadolenia i skargi mam skromne pytanie: jeżeli ludzie, od których zależy wszystko na Festiwalu — po pierwsze — są tu przypadkowo, — po drugie — nie nadają się, — po trzecie — nie wierzą w to, co robią, bądź wierzą, ale ich to nie „rajcuje", a nade wszystko: nie mają na nic wpływu — no to jaki może być efekt? Odpowiem sam sobie: właśnie taki jaki jest.

Nim od słów przejdziemy do zaprezentowania czynów, oddajmy jeszcze głos Krzysztofowi Maternie, który w dziesiątkach wywiadów (im bliżej festiwalu, tym publikowanych gęściej) zapowiadał z właściwą sobie skromnością, zupełnie nową formułę imprezy i szereg innowacji w poszczególnych koncertach i w zasadach ich organizacji. Na czym te innowacje miały polegać? Otóż: *„wracamy, po wielu zabiegach, do bezpośredniej transmisji telewizyjnej z trzech głównych koncertów"* Zabiegów pewnikiem było za mało, gdyż telewidzowie obejrzeli tylko dwa koncerty bezpośrednio. A może nie doszło do porozumienia, który to jest ten *„trzeci główny"*? Wszystkie jednak zostały zarejestrowane i prawdopodobnie pokazane zostaną za karę telewidowni po niezbędnej ingerencji *„nożyc"* („po usunięciu śmieci" — jak wyraził się jeden z fachowców z branży). Co dalej? *„Wracamy na przykład do tego, co kiedyś wspaniale kwitło w Opolu, mianowicie — koncertu piosenki aktorskiej i kabaretowej"* Fantastyczne. Tu już śmiałość innowacyjna graniczy wręcz z brawurą. Nie koniec na tym. Teraz dopiero będzie sensacja:

— Wymyśliłem — powiada szef artystyczny — koncert finałowy w formie konkursu o Grand Prix Opola. Mój pomysł polega na rozstrzygnięciu na oczach publiczności, bez udziału jury, wszystkich plebiscytów, jakie istnieją w Polsce.

Genialne. Jak to wyglądało — widzieliśmy. Gdyby nie nędza techniczna opolskiej tabeli wyników i kłopoty z dodawaniem punktów, festiwal Eurowizji od lat kilkunastu stosujący tę formę typowania Grand Prix, mógłby się czuć zapędzony przez Krzysztofa Maternę w narożnik i znokautowany.

Udzielając wywiadów niedługo przed rozpoczęciem *„święta polskiej piosenki"*, jego szef wiedział już, że osiągnie 49 proc. tego, co zamierzał. Kolosalny sukces, zważywszy na gigantyczność zamierzeń. Czegóż jednak potrzeba, by osiągnąć pełnię szczęścia? Bagatelka:

— ...zaufania środowiska i przekonania, że zdrowa konkurencja jest podstawą działania w tej branży, a nie narażeniem na utratę tego, co do tej pory zdobyło. Potrzebna jest współpraca między wszystkimi instytucjami, zajmującymi się rozrywką i jej promocją. Powinna tu zadziałać zasada naczyń połączonych, które pracują na wspólny efekt pt. polska piosenka. Wiele instytucji natomiast przyjmuje postawę: nie ma się co spieszyć, zobaczymy co będzie i ewentualnie się do tego podłączymy. No i (...) odwieczny problem festiwalowy: wykonawcy, którzy mają pewien status »gwiazdorski« nie chcą śpiewać w konkursie premier, bo uważają za niegodny siebie wyścig.

A ledwie parę wierszy wcześniej jest zdanie, że *„rozrywką i piosenką, nawet traktując ją bardzo profesjonalnie, należy się bawić"*. Płakać się chce, taka to fantastyczna zabawa.

Dyrektor festiwalu — Krzysztof Materna — uzasadnia również zaproszenie grupy „Bolter" (usprawiedliwiając się jakby — a dlaczego z tej jednej tylko propozycji?) tymi słowy: *„...nie może ona nie być zauważona, chociażby jako zjawisko socjologiczne, skoro jest puszczana co 3 minuty w Polskim Radio"*. To coś zupełnie nowego: gust prezentera radiowego zjawiskiem socjologicznym?!

Ale nawet gdyby tak było, to funkcja i jej nazwa (dyrektor artystyczny) zobowiązuje do niedopuszczania tandety i złego smaku, do prezentowania wykonawców o najwyższym poziomie artystycznym, do *„prostowania"* złego gustu słuchaczy, nawet wbrew ich woli. Jeśli tego zapewnić nie może, to po co całe to udawanie, gadanie, bicie piany? Lepiej iść na panienki.

Krzysztof Materna zna sposób na poprawę sytuacji: *— Stan polskiej piosenki to nie tylko wypadkowa formy autorów i wykonawców, lecz całego systemu organizacji, w której się to wszystko kitwasi. Jako fachowiec widzę tyle problemów w tej branży, że tylko zmiana modelu działania jest w stanie odświeżyć polską rozrywkę.*

Święte słowa. Dodałbym tylko, że od podstaw. Oderwać się od tych samych od lat nazwisk po jednej i po drugiej stronie estrady (na samej estradzie również).

WPUŚCIĆ MŁODYCH, ZDOLNYCH, PRAWDZIWYCH

albo starych, niezdolnych, sztucznych — wszystko jedno — byle wreszcie zorganizowali nam widowisko nie nudne, bez gadomanii w tekstach i muzyce, bez haseł, deklaracji, pompy, pychy, nadęcia, za to na dobrym profesjonalnym poziomie. Organizacyjnym i wykonawczym. Marzenia Krzysztofa Materny też biegną jakby w tym kierunku choć to, czego chciałby dożyć, nie gwarantuje niczego. Chciałby, mianowicie, dożyć osobiście *„takiego momentu, w którym wykonawca miałby zaufanie do reżysera a reżyser nie miałby naczelnego problemu z wykonawcą: który pierwszy, a który drugi zaśpiewa i dlaczego? Jest to obecnie podstawowy problem reżysera koncertu estradowego"*.

Z moich obserwacji prób tegorocznych koncertów festiwalowych wynika, że jedyny. Ustalanie kolejności pojawiania się na estradzie tak wyczerpało reżyserów, że na nic więcej nie mieli ochoty. Nie dotyczy to konkursu debiutantów — oczywista — których ustawiono bez targów, a oni zrobiliby znacznie więcej by zaistnieć w kapryśnej pamięci decydentów. A kąpiel w reżyserskiej łazience proponowana wykonawczyniom publicznie (w czasie próby) w formie żartu, naturalnie, należałaby do stosunkowo przyjemnej formy zadzierzgnięcia dalszych kontaktów. Tak naprawdę nagrodą dla najlepszych debiutantów mają być nagrania radiowe i telewizyjne, stypendia, opieka itp., a nie tylko 50 tys. zł jak przed rokiem. Ano, zobaczymy.

Skoro jesteśmy przy debiutantach: nagrodę im. Anny Jantar w wysokości 100 000 zł i statuetkę „Karolinki" przyznano zespołowi TRANS FOO-FOO. Nie podejmuję się oceny tego zespołu, zrobi to lepiej 33 dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu (absolutny rekord frekwencji) i wielu innych oglądających koncerty w TV. Zrobił to zresztą muzyk z „Budki Suflera", gdy w czasie próby zespół ten zajmował miejsce przy instrumentach bezpośrednio po nagrodzonej grupie młodych debiutantów. Powiedział do mikrofonu z wściekłą ironią:

— Nie czuję się godny zajmować miejsca po tak znakomitej kapeli. No, jak taki zespół jak Foo-Foo wygrywa debiuty, to coś się nareszcie ruszy w tej naszej muzyce młodzieżowej.

Został natychmiast zgromiony przez reżysera koncertu Krzysztofa Maternę, również przez mikrofon drżącym gniewnym głosem dyrektora:

— Pan został zgodzony tu do śpiewania, a nie do wygłaszania opinii na temat poziomu zespołów.

Oczywiście, jak najsłuszniej, co taki muzyk, zawodowiec, zna się na muzyce.

Ta wymiana zdań wprowadziła nieco ożywienia wśród oczekujących na swą kolejkę wykonawców i innych osób upoważnionych do przebywania w amfiteatrze w czasie prób.

A oczekiwania trwały ponad przeciętną cierpliwość. Bałagan (by nie posłużyć się synonimem domu publicznego) i spleen organizacyjny korespondował ściśle z poziomem pomysłów, sposobem prowadzenia prób i ogólnym stanem rzeczy. Ludzie *„zgodzeni"* do śpiewania i ściągnięci na kilka godzin przed swoim próbnym występem pogrążali się na twardych ławkach amfiteatru w apatii i bezruchu. Ci młodsi tylko poruszali się żwawiej, też jednak do czasu, snuli się potem ze zmęczonymi twarzami czekając litościwego końca katorgi jak storturowany opryszek szafotu

Jeden tylko człowiek, długowłosy fotograf w średniostarszym wieku, przejawiał wyjątkową aktywność pętając się po estradzie i przeszkadzając i tak już umęczonym wykonawcom. Pogonił go Jan Pietrzak:

— Ty, wujek, idź stąd. Fotografuj lepiej dziewczyny, dam ci parę adresów.

Wujek wyraźnie poczuł się wyróżniony (że nic nie zrozumiał, to pewne), bo odwrócił swą dziwną twarz do widowni i uśmiechnął się głupkowatym uśmiechem szczęśliwego masochisty. Wyjął wystający z tylnej kieszeni spodni grzebień i przeczesał bujne uwłosienie. Scenka ta rozbawiła najbliżej siedzących, ale tylko na chwilę.

Jeśli tak wyglądają kulisy radosnego święta piosenki polskiej, to nic dziwnego, że i jej oblicze blodozielone, liszajowate i ma łupież. To tak, jakby starą pomarszczoną twarz pokryć grubą warstwą byle jakiego pudru, a ludziom wmawiać, że jest piękna i młoda.

Najlepiej na widowni (nie gorzej, niż na estradzie) prezentowała się Edyta Geppert — skromna, naturalna, sympatyczna — bez tego nadęcia, które szczególnie widocznie rozpychało się w „lożach" reżyserskich. Także Florek Ciborowski, skrzypek z zespołu Maryli Rodowicz, bawił najbliżej siedzących swym specyficznym a wybornym dowcipem. Wystąpił w drugiej śpiewanej przez swoją „szefową" piosence w otoczeniu dwóch sobowtórów (Marka — solisty zespołu TSA i jego brata) jako grupa „Wesołe nutki". Podobieństwo między nimi jest rzeczywiście uderzające. Podobno jakaś gazeta ma zamieścić ich zdjęcie — zagadkę z nagrodami pt. *„Kto jest kto"*. Czego to ludzie nie wymyślą.

Spore ożywienie wywołał Jan Pietrzak swoimi balladami, które na próbie wykonał bodaj jeszcze lepiej, niż w czasie koncertu (a przecież był znakomity). Tu śpiewał bardziej prywatnie, luźniej, choć o sprawach gorzkich i trudnych.

Maryla Rodowicz siedziała kilka godzin nie ruszając się z miejsca — zmęczona, blada, jakby zgaszona. Zupełnie nie ta, z ekranu telewizyjnego. Zbigniew Wodecki zaszył się gdzieś z boku i z nikim nie rozmawiał. Krzysztof Krawczyk przeparadował przed rzędami, ale nie zachęcony przez nikogo by usiadł, zniknął z pola widzenia. Ewa Bem w otoczeniu asysty znalazła sobie miejsce na koronie amfiteatru, z dala od reszty. Małgorzata Ostrowska z zespołu „Lombard" pokazała się wdzięcznie tu i ówdzie (wyglądała imponująco) i też gdzieś się zapodziała. Muzycy zespołu „Kombi" snuli się osobno, nie gadając ani ze sobą, ani z nikim. A potem zagrali, powodując po raz pierwszy i jedyny na tej próbie, że zmęczona i rozkapryszona widownia zaśpiewała z nimi *„Nasze rendez-vous"*.

Na próbie (i na koncercie również — jak się okazało) zabrakło wielu nagrodzonych i wyróżnionych. Jest to bardzo oryginalne novum w tegorocznej formule, przemyślanej precyzyjnie w ciągu roku:

NIE ZAPRASZAĆ LAUREATÓW NA KONCERT LAUREATÓW.

Jest to zapewne jeden ze składników akcji promocyjnej dla młodych debiutantów, o której tyle „nawijał" reżyser finału, dyrektor artystyczny Krzysztof Materna. Przy okazji: jest on wicedyrektorem Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych, czyli że w jego rękach „spoczywa" wiele spraw związanych z rozrywką przez okrągły rok. Należy więc życzyć nieugiętości i konsekwencji: tak trzymać!

Jedną z wielu przyczyn bałaganiarstwa, przeciągania czasu, nerwowych pyskówek czy też apatii wykonawców był fatalny stan techniczny aparatury nagłaśniającej i skomplikowane manewry mikrofonami, odsłuchami i innymi sprawami związanymi z dźwiękiem. Bez przerwy coś nawalało, coś było nie tam, gdzie trzeba, plątały się makarony (kable), kogoś nie było słychać, innego znów za bardzo, itd. Co chwilę odbywały się konsylia trzech grup akustyków: zabezpieczających tzw odsłuchy dla wykonawców na estradzie, ekipy nagłaśniającej amfiteatr i ekipy dźwiękowców z telewizji. Efekty były takie, że instrumenty zagłuszały solistów, słów piosenek nie można było zrozumieć, tworzył się bałagan foniczny. Podobno w telewizji wypadło wszystko lepiej niż w amfiteatrze. Dokładnie odwrotnie niż w roku ubiegłym. Jest sprawiedliwość na świecie.

Właściciele sprzętu gdzieś poznikali (widocznie dobrze wiedzieli, że będą kłopoty), dramatyczne apele reżyserów nie przywabiły nikogo z nich. Sprzęt nagłaśniający jest własnością prywatną, wypożyczoną oczywiście odpłatnie festiwalowi. Musiano więc kombinować, coś lutować, rozłączać, złączać, szukać właściwych wejść, wyjść — ryzykować. Szczególnie dopiekło to wykonawcom w czasie próby koncertu „Rock Non-Stop". Zespół gotowy do gry czekał w nieskończoność na zakończenie zabiegów technicznych. Wtedy budził się z letargu Wojciech Mann i zmęczonym a matowym głosem — szydził jednak:

— Przypominam zespołowi „Daab", że próbuje już od piętnastu minut.

— Wtedy zdenerwował się solista — wątłego ciała, ale mocnego ducha młodzieniec — podbiegł do reżysera i precyzyjnie wyliczył czego organizatorzy nie dopatrzyli i dlaczego nie mogą grać choć gotowi są od dłuższego czasu. Swe nerwowe lecz słuszne wystąpienie zakończył słowami: *„jest afera"*. Miał rację. Afera trwała cały czas. A Wojciech Mann i tak skrócił im próbę. Jego ostre i kąśliwe docinki i połajanki (to też pewnie jeden z elementów reżyserii) odczuli wyłącznie muzycy najmłodszej generacji. Do starszych, znanych i uznanych nie ośmielił się (a może nie chciał) przemawiać w ten sposób. A mimo to Zbigniew Hołdys, niezadowolony z jakości dźwięku, powiedział do mikrofonu:

— Sprzęt jest zły i tyle. Mam bździać w ołtarz z koleżkami dla satysfakcji publiczności? Najpierw ja muszę mieć satysfakcję z gry, to i publiczność będzie miała.

MAREK KOPROWSKI

Esej na kanikułę

Erotyki Jana Andrzeja Morsztyna

URSZULA KOŁAKOWSKA

Twórczość jednego z najwybitniejszych poetów polskiego baroku, Jana Andrzeja Morsztyna (tłumacza Tassa i Corneille'a, Marina i Apulejusza, naśladowcy poetów klasycznych i współczesnych sobie liryków francuskich i włoskich) — częściowo stawiała opór koncepcjom interpretacyjnym. Mimo to jednak historycy literatury zdołali ją skutecznie odgrodzić od realistycznych osiągnięć literatury polskiego Odrodzenia. Trzeba bowiem podkreślić, że niecała twórczość J. A. Morsztyna (także niecała literatura XVII wieku porzucała realizm na rzecz udziwnionych malarsko-nastrojowych opisów, czy też na rzecz igraszek słownych operujących finezją porównań, zestawień i kontrastów. Niecała ponieważ, w liryce erotycznej pozbawionej właśnie subtelności i finezji jest poeta bliski zasadzie renesansowej: Homo sum, humani nihil a me alienum puto, i dokonuje w niej „odkrycia" gleby miłosnych przeżyć.

Nie zamierzam podejmować charakterystyki i oceny twórczości J. A. Morsztyna. Nie chcę też dokonywać przydługich konfrontacji sugestii zawartych we własnych ustaleniach z wynikami, jakie przynoszą liczne prace. Pragnę jedynie ukazać poetę od nieco innej strony, niż to czynią opracowania historyczno-literackie, i przybliżyć czytelnikom najbardziej kłopotliwe utwory J. A. Morsztyna, a więc fraszki-erotyki. Przypuszczam, że dla wielu badaczy są one najbardziej kłopotliwe, większość bowiem historyków literatury pomija je w swoich opracowaniach. A co dziwniejsze, niektórzy po prostu konstatują lakonicznie — J. A. Morsztyn był poetą niemoralnym. Czyżby? Chciałoby się tu rzec — o tempora! o mores! Czy pisanie rubasznych, frywolnych fraszek może w ogóle mieć związek z moralnością? Mam co do tego poważne wątpliwości. Więcej, gdyby tak było, to również o Mikołaju Reju i Janie Kochanowskim należałoby powiedzieć, że byli poetami niemoralnymi, ponieważ poezji ich także nie była obca często rubaszna erotyka.

Ale sam J. A. Morsztyn wyjaśnił we fraszce „Do Piotra o swoich księgach" dlaczego jego erotyki są właśnie takie frywolne. Oddaję mu więc głos:

Ledwieś na karty rzucił okiem piersze,
A już się marszczysz, już szacujesz wiersze,
Że nazbyt tłuste i niezawstydane
I że w nich słowa nie obwijane.
Jak dobrym żonom bez jajec mężowie,
Tak się wiersz nie zda, co przebiera w słowie;
Nic nie są fraszki z wymytą paszczęką
I które, Pietrze co chcą, nie wyrzeką;
I te się rymy podobać nie mogą,
Które bezpieczną nie stąpają nogą,
Przeto mię nie chciej i spowiedzią straszyć
Ani mi fraszek rozkazuj wałaszyć:
Niech one śmiele, choćbym miał być w winie,
Rżą jak dyryganci, niech kwiczą jak świnie!

Ta deklaracja Morsztyna została w jego erotykach w całej rozciągłości urzeczywistniona. Pobieżna choćby znajomość fraszek erotycznych dowodzi, że poeta miał dość osobliwy stosunek do miłosnych przeżyć. Miłość jaką „odkrywa" jest po prostu zmysłowa, zgodna z zasadą: humana non sunt turpia. Nieobca poecie też pornografia, i to często ordynarna, jak w poniższej fraszce:

NAGROBEK KUSIOWI

Jaka strata na świecie! On kuś umarł, który,
Cokolwiek ziemię depce i powietrze pióry
Albo wodę skrzelami porze i samego
Pierwszy po Bogu stworzył człeka rozumnego;
On ociec wszytkorodny, co przez sztychy swoje
Wszytkim otwierał ludziom do życia podwoje;
On dwie różne osoby w jedno ciało łączy,
Gdy go tak ciasno wepchną, że się z niego sączy,
Albo tym gwoździem obie tak sklamrują rzyci,
Że by szwabskiej między nie nie podewlekł nici;
Rycerz to znamienity, a kędy wymierzy,
Sztychem koło, czasem też płazem uderzy,
A jak mu wrodzona chęć zatrąbi do koni,
Harce zwodzi i z grotem do paiże goni,
I lubo podeń wbity nieprzyjaciel krzyczy,
Nic miłosierdzia nie ma, wełna drży na piczy,
Ale niech się świat śmieje i osierocony
Słyszy, żeś między gwiazdy, kusiu policzony.
Nie mógł znieść krzyku Jowisz i myśląc, jako by
Umniejszyć krajom ziemskim gwałtownej żałoby,
Przeniósł cię na firmament, skąd na świat szeroki
Miłosny dajesz aspekt, jebliwe wyroki,
Gdzieś za dyszel osadzon u wozu Boota,
Boś nie najgorzej świadom, jak wjeżdżać we wrota;
A stąd cię posadzono wysoko przy Smoku,
Żebyś się nie piął Pannie niebieskiej do kroku,
Inaczej, jeślibyście siedli blisko siebie,
Wnet by była i kurwa, i bękarci w niebie.
I tak już będzie Polus tym wszytkim łaskawy,
Co po brzuchu bezpiecznie odprawują pławy,
A za nadgrobek wierszyk odniesiesz maluśki:
Zębata Picza słabej dokończyła Kuśki.

Pozornemu rozwichrzeniu formy nadaje J. A. Morsztyn jednocześnie dyscyplinę i rygor. W niespodziewanej i zaskakującej poincie, poprzez błysk paradoksu, znajduje się rozwiązanie przynoszące zaszczyt uczonej przecież erudycji autora, a satysfakcję czytelnikowi. Technika ta pozwoliła poecie w nowy sposób podawać prawdy dawno przez literaturę wyeksploatowane. Jej trudny mechanizm był po części uczoną i wytworną zabawą, popartą hucznym śmiechem rozbrzmiewającym i w poniższych erotykach:

NA JEDNEGO

Jak ci się grosz dostanie, choć ci głód dojmuje,
Ty zaraz z nim do kurwy, a kuchnia wakuje;
Gęba, jeśli co z wąsa spadnie komu, czeka,
Kumka zawżdy je mięso, a głodny brzuch szczeka.

NA PAWŁA

Ty masz nos bardzo długi, kuśkę tak niesłabą,
Mógłbyś nos kumką zatkać jako komin babą.

NADGROBEK KURWIE — dialog

P. Czyj to grób? K. Dopychajże! P. Czyja to mogiła?
K. Wleźże dalej, a dzierż się, bym cię nie zrzuciła!
P. Cóż? Czy tam szkapę jaką na cmentarz wrzucono?
K. Nie wiem-ci, bo i na mnie dość długo jeżdżono.
P. A czemu to tak blisko leżysz przy kościele?
K. Ja bym ci tam wolała, gdzie kat łóżka ściele.
P. Ale jakoż cię zowią? K. Kurwa, kurwa, bracie.
P. Tyś to! Więc cię opuszczam. K. Ba, lepiej by gacie.
P. Chyba cię osrać. K. Mam i ja tę dziurę.
Ale wolisz tej zażyć, co nią leżę wzgórę.
P. Niech cię tam robak wierci! K. Cóż, kiedy bez kuśki.
P. Więc się tam wąż nadzieje! K. I ten — bo maluśki.
P. Niechże cię diabli łupią, już słowa nie rzekę!

METAMORPHOSIS

Jowisz przed żoną tając się z zaloty
Różnie się mienił: to raz w deszczyk złoty,
To zasię w byka i w kształcie oboim
Dogodził pannom i afektom swoim.
Widzę, że ten bóg przewidział był sztuki,
Co do zalotnej należą nauki,
Bo u białogłów i dziś ten przewiedzie,
Co ma deszcz złoty a bycze narzędzie;
I choćby ona była święta z nieba,
Choć i dewotka, przecię do niej trzeba
Czuć się, na portkach pociągać rzemyka,
Mieć złoto w mieszku, korzeń jak u byka.

ODPRAWA KURWOM

Kurwy, precz z domu Mój kuś poświęcony
Powinien własnej już pilnować żony.
Możecie teraz za mym pozwoleniem
Szukać inszego pobytu z brzemieniem.
Albo objeżdżać targi i jarmarki,
Albo do księży przystać za kucharki.

Jak widać, w ostatniej fraszce poeta podrwiwa z księży i ich kucharek, co w wieku XVI i XVII było u pisarzy czymś pospolitym. W rezultacie mamy tu znakomity obrazek obyczajowy; a tym samym przykład Morsztynowskiej umiejętności dobierania sytuacji i dzięki ich realistycznemu ujęciu niektóre przyjmowały się, i to nie tylko chwilowo, lecz jak dowodzą teksty ludowe — na całe stulecia.

Nie znaczy to wcale, że J. A. Morsztyn był prostakiem czy reprezentantem kultury ludowej. Przeciwnie, był człowiekiem „dwornym", a więc wytwornym, produktem i reprezentantem kultury magnackiej. Jednakże jego erotyki bardziej pasują do winiarni aniżeli do przedpokoju królewskiego. Ale z pewnością na dworze było wielu miłośników fraszek wulgarnych, prostackich i jeszcze pospolitszych, bo cuchnących nawet ekskrementami, którymi zabawiał ich poeta. Zależało bowiem J. A. Morsztynowi na jowialnym, głośnym śmiechu. Takim właśnie śmiechem zanosi się poeta i wówczas, gdy pisze:

(APOFTEGMA) INSZE

Po starym mężu pojął młodą wdowę
Młody gach, a gdy łożniczną rozmowę
Zaczynać mieli, pyta, (z) jakiej miary
Mógł jej wygodzić on przeszły trup stary.
Odpowie pani, że nie inszą bronią,
Tylko po brzuchu poklepując dłonią
Szeptał jej: „Ryby! Ryby! Sam do wierszy!".
Dopiero młodzik wyciął jej kunszt pierwszy.
Pani, postrzegłszy w robocie różnicę
I chcąc rozumieć lepiej tajemnicę,
Pyta: „Cóżeś mi to czynił mój młody?"
„Przeszły-ć — rzekł — dawał ryby prosto z wody,
A jam ci do nich przylał i polewki.
Ona kontenta z tak dobrej rozrywki:
„Prawdę — powiada — mówią bez pochyby,
Że lepsza bywa polewka niż ryby".

O JEDNYM

Towarzysz nasz ten fortel znalazł sobie, aby
Najmniej sobie niemiłej nie obłapiał baby:
France dostał, miawszy ją przedtem już dwa razy.
Baba bździ przed miłością, bojąc się zarazy.

Przybliżenie czytelnikom, z konieczności bardzo ogólnikowo, fraszek erotycznych J. A. Morsztyna wydaje mi się słuszne, i to z dwóch względów. Pierwszy to charakter fraszek, tworu ruchliwego, przenoszonego z kraju do kraju, z miasta na miasto, z osoby na osobę, który w ten sposób zyskuje dużą popularność. Powód drugi to swoiste metody pisarskie J. A. Morsztyna reprezentujące często sprawność i doskonałość techniczną — których trudny mechanizm nadawał polszczyźnie kondensację i krystaliczną dyscyplinę. Więcej, za zwodną konwencją gry stał bardzo poważny stosunek i do zadań artysty, i do uprawianej sztuki. Poeta był przeświadczony, że tylko „uczona sława nie boi się skazy" i wiersz swój oceniał jako równy największym, że

„...się czasu nie zlęknie i laty
Wiecznym będzie brzmiał między Sarmaty".

I nie pomylił się, do dzisiaj bowiem uchodzi J. A. Morsztyn za najwybitniejszego poetę polskiego baroku. Pisząc rubaszne, sprośne fraszki kierował się oczywiście własnym smakiem, ale musiał przecież liczyć się z upodobaniami swych odbiorców, a skoro tak, to przyjąć trzeba, iż tego typu lektura przypadła im do gustu i była przyjęta entuzjastycznie. Wprawdzie humor poety mimo przetarcia się przez dwór królewski, był bliski humorowi ludowemu, chłopskiemu, to jednak niewątpliwie zaspokajał potrzebę śmiechu także ówczesnych dworzan. Tym bardziej że niektóre erotyki były bardziej „dworskie" i pozbawione pornograficznych konceptów, jak na przykład fraszka:

NIEGŁUPIA

„Kiedy się lepiej zalecać — doktora
Pytała panna — z rana czy z wieczora?"
Doktor powiada: „Lepiej to osłodzi
Wieczór, lecz zdrowiu nie tak rano szkodzi".
„Uczynię — mówi — według twego zdania:
Wieczór dla smaku, dla zdrowia z zarania".

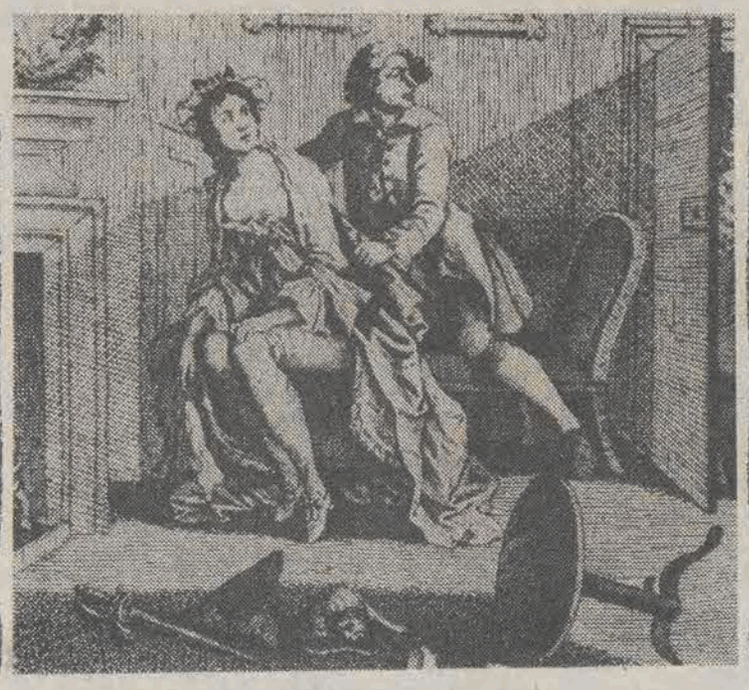

Gdzie bądź

Szanowny Panie Redaktorze Naczelny. Niniejszym proszę o wyrozumiałość i życzliwe potraktowanie mojego podania. Zechce pan łaskawie uwzględnić moją — absolutnie niczym nie usprawiedliwioną — absencję przy warsztacie pracy. Ja wiem, szefie, że mój urlop się już skończył i że niecierpliwie wygląda pan mojego powrotu, by natychmiast, z marszu, wysłać mnie w tzw. teren. Najlepiej w celu sprawdzenia, czy aby na pewno nie brakuje żniwiarzom sznurka do snopowiązałek, części zamiennych lub też napojów regenerujących. Tak się jednak składa, że chwilowo nie mogę dotrzeć na pierwszą linię frontu walki o umysły. A to za przyczyną komunikacji publicznej.

Niech mnie ręka boska broni, żebym miała panu zawracać głowę jeszcze jednym kawałkiem odsądzającym od czci i wiary naszą umiłowaną komunikację publiczną. Skądże znowu. Więcej, nawet powiem. Dzięki właśnie tejże komunikacji można dociec istoty bytu, proszę szanownego redaktora.

Bo weźmy taką sytuację. Stoi człowiek na przystanku. Zwykłym, miejskim przystanku tramwajowym. Dojechać chciałby do pracy, bo taki jest porządny, obowiązkowy obywatel. Zerwał się o czwartej czterdzieści pięć, wymaszerował na przystanek za kwadrans szósta. I stoi. Do celu dojechać może — cóż za złośliwość losu — wyłącznie jednym tramwajem. Powiedzmy — „szesnastką".

Autobusem też się nie da, na taksówkę nie stać, bo dopiero dwudziesty, a człowiekowi jakby trochę brakuje do pierwszego. Więc stoi. I cierpliwie czeka. O siódmej musi być w pracy, a tu dopiero za pięć szósta. Czasu jak mrówków. Mógłby człowiek trochę dłużej pospać, albo może zdążyłby zjeść śniadanie, albo nawet zdążyłby powiedzieć dobre słowo rodzonej magnifice. Ale człowiek jest już doświadczony. Wie, że jak nie zrobi godzinnego marginesu na dojazd do pracy, ani chybi straci premię, za notoryczne spóźnienia.

Na przystanku ruch, jak na poranny szczyt przystało. Z podjeżdżających tramwajów wysypują się gromady ludzi. Jedni od razu spieszą w swoją stronę, inni czekają tu na przesiadkę. Jeszcze inni zajmują strategiczne pozycje do startu na skos przez skrzyżowanie, gdzie, po drugiej stronie jest przystanek autobusowy.

Jest piękna pogoda, środek lata, zapowiada się upalny dzień. W taki dzień droga do pracy nie musi być katorgą. Społeczeństwo co prawda się nie uśmiecha, nie jest to u nas przyjęte, żeby się tak ni z tego ni z owego szczerzyć w miejscach publicznych, jednakże nie można powiedzieć, żeby dały się dostrzec zatroskane oblicza. Kryzys kryzysem, chleba nie dowieźli, ale przecież jest lato, świeci słoneczko i nawet spaliny wyglądają jak czarodziejska niebieska mgiełka. Żyć nie umierać. Społeczeństwo obżarte truskawkami, pierwszymi czereśniami i kalafiorami, częściowo już opalone skutkiem działalności rolniczej na działkach, ma w sobie ogromny rezerwuar cierpliwości, zrozumienia dla nielatwej i ofiarnej pracy miejskiej komunikacji.

Społeczeństwo rozumie, że wszystkiego naraz nie można mieć. Skoro udało się akurat nie zaspać, nie przypalić mleka i nie trafić na kontrolera biletów, to nie można żądać, żeby jeszcze pożądany tramwaj pojawił się po pięciu minutach.

Czy drogi szef zauważył kiedy, iż stan oczekiwania ma w sobie coś z filozofii bytu? Oczekiwanie zaś na przystanku na swój tramwaj mieści w sobie kwintesencję naszej, przypadkowej na tym padole, egzystencji. Zrazu czekamy spokojnie. Mamy spory zapas czasu. Jak młodość, pełna nadziei i oczekiwań na wspaniałe dary życia. Spokojną, pewna dalekiej perspektywy. Potem zaczynamy poganiać w myśli pana motorniczego prowadzącego przez miejski labirynt naszą ukochaną „szesnastkę". Trochę jakby mniej jest nam miło. Nie chcielibyśmy się przecież spóźnić do naszego chlebodawcy uspołecznionego jak najbardziej. Tymczasem na przystanek podjeżdża trzydziesta siódma „jedenastka" i dwie kopy „dwójek". Zdążyło już przemknąć obok nas z tuzin pospiesznych autobusów numeru „N" i tyleż „A". A „szesnastki" nie ma.

Ogarnia nas powoli szewska pasja. Wymyślamy straszliwe tortury dla motorniczego, konstruujemy (w myślach oczywiście) domowej roboty bombę do podłożenia pod dyrekcję MPK, złorzeczymy przodkom, którzy nie uczynili nas dziedzicami fortuny wystarczającej na zakup samochodu, oraz losowi, zawistnym rodakom i ustrojowi, którzy wszyscy do kupy nie pozwolili nam samodzielnie dorobić się wyżej wzmiankowanego artykułu trwałego użytku. Nagle przestają nam się podobać kobiety z opalonymi nogami, w ślicznych letnich sukienkach, nie zwracamy uwagi na przystojnych brunetów co i raz wsiadających lub wysiadających z zupełnie niepotrzebnie przyjeżdżających całkiem nie tych tramwajów.

Oczyma duszy oglądamy żyłę na szyi szefa czekającego na nas w bramie jednostki gospodarczej. Zupełnie jak w dojrzałych latach dorosłości. Ciągle nam coś umyka, jakaś szansa, jakieś niesłychane możliwości. Próbujemy dogonić życie, co jest zajęciem stresogennym i niepotrzebnym gdyż życie mknie przyzwoitym autem, a my gonimy go tramwajem, na który w dodatku nie możemy się doczekać. Żal nam pięknych lat, czujemy, że moglibyśmy deby rwać i ruszać z posad brylę, a tu głupia „szesnastka" nam to uniemożliwia.

Po półtorej godziny czekania, ogarnia nas tępa apatia. Już się nie denerwujemy. Spóźnieni jesteśmy skandalicznie, premię szlag trafił, więc możemy znowu spokojnie przyglądać się ludności. A ludność w międzyczasie się zmienia. Wprzódy byli to dzielni robotnicy i urzędnicy spieszący do roboty na siódmą. Bardziej zaspani, trochę gorzej ubrani, milkliwi. Potem poszła fala do pracy na ósmą. Damy staranniej umalowane, w odprasowanych kreacjach, panowie z wytworniejszymi teczkami. Potem jeszcze przepłynęła falanga handlarzy, przekupniów i gospodyń domowych zdążających na pobliski bazar. Wreszcie zostali emeryci, którym się nigdzie nie spieszyło. No i rosnący tłumek oczekujących nie wiedzieć po co na mityczną „szesnastkę".

Nastrój, w którym aktualnie się znajdujemy można określić jako melancholijną zadumę. Zupełnie tak, jak na zasłużonej emeryturze. Nic nas nie [illegible] wyzwoliliśmy, możemy a nie musimy i w ogóle z dystansem przyglądamy się frajerom dokądś biegnącym w nadziei, że wciąż będą mieli dwadzieścia, no, trzydzieści lat.

Absolutnie bez żadnych wrogich uczuć przyglądamy się sześćset czterdziestej „ósemce", obojętnie mijamy wzrokiem tysiąc i trzecią „dwójkę" i zupełnie nie obchodzi nas osiemset pięćdziesiąta szósta „jedenastka". Jest nam tak cudownie, tak doskonale wszystko jedno, że właściwie moglibyśmy pojechać pierwszym lepszym tramwajem gdzie bądź. Nawet nie dlatego, że nam już nogi wrosły w przystanek. Wszystko jest nieważne.

Toteż bez cienia nikomu niepotrzebnego racjonalizmu obserwujemy zbliżające się do przystanku dwa kolejne tramwaje. Jednym z nich jest nasza, niegdyś gorąco upragniona „szesnastka". No to co z tego, że „szesnastka"? Tramwaj jak inne. Czerwony, zgrzytający na rozjazdach, trzęsący. Po co nam on?

Najspokojniej w świecie, kochany szefie, wsiadłam do tego drugiego tramwaju, bodajże „dwójki", ale całkowitej pewności nie mam. I pojechałam przed siebie. Gdzie bądź.

W tym gdzie bądź, proszę ja kogo, jest zupełnie przyjemnie. Wilga śpiewa na gałęzi kasztana, pod którym leżę. Skowronek drze się nad polem wyzłoconym pszenicą. A miasto jest tak niewyobrażalnie daleko, że właściwie przestało istnieć.

Nie wiem szefie, czy stąd w ogóle można się wydostać. Czy gdzie bądź jest odwracalne. Stąd nawet praca dla kraju, pisanie absolutnie nikomu niepotrzebnych kawałków do gazety, której nikt nie chce czytać, bo i po co, to wszystko jest takie nieważne. Jedno tylko narusza błogi komfort. Jakiś idiota powyjmował klamki z tutejszych drzwi. Ale za to spotkałam znajomka. Jest tu — właśnie łyczy się obok w trawie — niejaki Stefan Ż. Mówi, że pana zna szefie. I przesyła pozdrowienia. Niech pan wsiądzie w byle jaki tramwaj i dołączy do nas. Tu jest normalnie.

MALAGA

1 Spojrzenie znad szachownicy

Co dostała sekretarka?

Do mojej żony przyszedł list, zaś przekazała go mnie, rzekłbym — do załatwienia. Niby kobieta, a ma swój rozum, teraz ja muszę się martwić i ponosić całą odpowiedzialność.

List, z gatunku „łańcuszek szczęścia", zawiera modlitwę, a następnie te oto słowa:

„Tekst ten pochodzi z Holandii, krąży 19 lat. Szczęście przychodzi po kilku dniach od rozesłania. Nie wysyłaj pieniędzy. Nie przetrzymuj listu, list ma gościć w Twoim domu 60 godzin. Pewien dziennikarz przetrzymał list 5 tyg. i umarł. Oficer Retlin wygrał 76 tysięcy dolarów, a pewien generał stracił żonę po 6 tygodniach. Łańcuszek ten zapoczątkował pewien Misjonarz z Holandii. Prześlij 20 kopii tego listu, a zobaczysz co Cię spotka. (..). Po kilku dniach otrzymasz paczkę-niespodziankę. Jeśli jesteś przesądny, to weź pod uwagę min. X (Tu pada nazwisko, szeroko wprawdzie znane, ale człowiek ten nie jest ministrem, nie był też sekretarzem, pozwoliłem więc sobie nazwisko pominąć — przyp. mój. J. P.), *otrzymał on list w 1973 r. i jego sekretarka sporządziła 20 kopii tego listu. Ówczesny sekretarz otrzymał ogromną kwotę pieniędzy. Inny dygnitarz nie rozesłał listu i stracił posadę, a po rozesłaniu odzyskał ją.*

Pod żadnym pozorem nie przerywaj łańcuszka".

2.

Przeczytałem list wielokrotnie i wzbudził on moje wątpliwości. Nie mogę zgadnąć, skąd autor bądź autorzy wiedzą o przypadkach oficera Retlina, żony generała, ministra, który nie jest ministrem i tajemniczego dygnitarza. Z dziennikarzem sprawa prostsza — pewno, jak ja, wypaplał wszystko w druku. To po pierwsze.

Po drugie: kary i nagrody nie są rozdzielane sprawiedliwie. Na jednej szali kara główna bądź utrata stanowiska (nawiasem mówiąc: dlaczego dygnitarzowi daje się jeszcze szansę, a biedny żurnalista musi nieodwołalnie wyciągnąć kopyta?!), na drugiej — forsa, a obecnie już tylko paczka.

Są i niuanse „Paczka-niespodzianka" może stanowić pewną atrakcję w kraju nad Wisłą, mniej zabawne jest to jednak na zachodzie Europy, tam bowiem do podobnych paczek figlarze lubią wkładać bomby. Nie przypadkiem przesyłki adresowane do ważnych osobistości otwierają saperzy.

Rozmaicie można też odczytywać historię z żoną. Jeżeli traci się ją na zawsze, jest to oczywiście smutne, ale jeżeli tylko na trochę — bo na przykład odeszła z jakimś bęcwałem poznanym na wczasach — ma to swoje jasne strony.

3.

Najbardziej intryguje mnie jednak sprawa sekretarki. Jej pryncypał dostał list, a ona sporządziła 20 kopii. Mogła to zrobić na polecenie szefa, bądź z własnej inicjatywy, nawet nic a nic szefowi nie mówiąc. Ten, jak słyszymy, zakosił forsę, nasuwa się wszelako pytanie: CO DOSTAŁA SEKRETARKA?

Jeżeli przepisywała na polecenie — moim zdaniem należy się jej jakieś 10 czy 20 procent. Jeżeli z własnej inicjatywy — powinna dostać wszystko, a szefa (zakładając, że wiedział o liście i polecenia nie wydał) niechaj przynajmniej ząb rozboli.

W ogóle bolący ząb i uszczęśliwioną sekretarkę radziłbym wprowadzić do tekstu — takie ludzkie akcenty trafiają do przekonania.

4.

Jako nadprogramowe zadanie domowe. Znana jest historia o twórcy szachów, mądrym braminie, którego zachwycony nową grą hinduski władca postanowił szczodrze nagrodzić. Bramin poprosił, iżby na pierwsze pole szachownicy położyć 1 ziarno, na drugie — 2 ziarna, na trzecie znów podwójną liczbę, a więc 4 ziarna, no i tak dalej aż do ostatniego z 64 pól.

Podobno rachunek wykazuje (ja tego nie sprawdzałem i nie mam zamiaru sprawdzać!), że zebrało się 18 kwintylionów, 446 kwadrylionów i jeszcze trochę ziaren, o wiele za dużo, jak na moje wykształcenie i wyobraźnię.

Tak przygotowawszy czytelnika, formułuję pytanie. Zakładając, że tylko połowa adresatów przepisze podobne listy w 20 kopiach, a kopie te dotrą do kolejnych odbiorców po tygodniu, proszę wykalkulować, ile czasu upłynie zanim cała rozległa ludzkość zostanie zmuszona do przekwalifikowania się na doręczycieli pocztowych, czyli listonoszy?

Punkt wyjścia — 20 listów. Mija tydzień, połowa odbiorców przepisuje listy w 20 kopiach każdy — to 200 listów. Mija kolejny tydzień i mamy (100 sprawiedliwych razy 20 kopii) już 2000 listów. Po trzech tygodniach do skrzynek pocztowych wpadnie 20 tysięcy listów, po czterech — 200 tysięcy, po pięciu — 2 miliony.

Dalej nie liczę, bo nie mam cierpliwości. Nie wiem też, ile mniej więcej listów mieści się w torbie listonosza — proszę o to zapytać, albo rozstrzygnąć arbitralnie. Podobnie nie przewiduję nagród, matematyka kształci umysł, a jasny umysł więcej jest wart niż pieniądze.

JERZY P.

P.S. Zapomniałem dodać, że paczki też musi ktoś roznosić, do każdych 2 milionów listów trzeba tedy dołożyć 2 miliony paczek, ewentualnie przekazów pocztowych.

2 Zawsze jest wybór

Pewien pan, posiadający duże kwalifikacje w dziedzinie technicznej, rozstał się ze swą ciekawą, dobrze płatną i odpowiedzialną pracą. Po prostu przeszedł na emeryturę. Od wielu osób w tym samym wieku i sytuacji różnił się jednak doskonałym zdrowiem i niechęcią do bezczynności. Postarał się więc o działkę. Dzielnie walczył z perzem, sadził drzewka, osobiście i bez niczyjej pomocy budował chałupkę. W ten sposób minęły pełne zajęć wiosna i lato. Jesienią plony z działki zebrał, na dżemy i kompoty przerobił i ...zaczął się nudzić. Rozpoczął więc remont mieszkania, ale i to zajęcie wkrótce się skończyło. Pozostało jedno wyjście — znaleźć pracę. Poodwiedzał więc ów emeryt odpowiednie urzędy, z wpływowymi znajomymi porozmawiał i znalazł.

Został nocnym dozorcą w placówce oświatowo-wychowawczej. Każdego wieczora wychodzi z domu, zabierając kanapki i kocyk, przed budynkiem zamiecie, rano wniesie do środka pozostawione przed furtką skrzynki z mlekiem, a każdego pierwszego z zadowoleniem oddaje żonie dodatkowe parę tysięcy. Choć emerytura już z nowego portfela — te pieniążki w domu przydają się bardzo. Znajomym, którzy dziwią się, czemu też on, człowiek wykształcony, na stare lata stróżem został, odpowiada, że po pierwsze — taka praca też daje się lubić, po drugie — jak kto chce mieć pieniądze, to fałszywym honorem unosić się nie powinien, tylko pracować, a po trzecie — to przed nim funkcję tę sprawował pewien magister, który tu właśnie, w dozorcówce, uciekając z małego, pełnego żony i dzieci mieszkania, pracę doktorską napisał.

Mój znajomy, młody i od kilkunastu już lat świetnie zapowiadający się naukowiec dr J., któremu opowiedziałam tę historyjkę posmutniał wyraźnie. — Takiemu to dobrze — stwierdził. Ma za dozorcę (i to na pół etatu) prawie tyle co ja. Ty ciągle spotykasz jakichś ludzi, w zakładach różnych bywasz, nie załatwiłabyś czegoś takiego dla mnie? Wziąłbym się za habilitację...

Zdziwiłam się, dr J. posiada bowiem mieszkanie spore, dzieci w nim nie płaczą, warunki do pracy i nauki są doskonałe. — Nie o warunki tu chodzi — wyjaśnił — ale o pieniądze. Na życie ledwie starcza, nie mówiąc o książkach.

Nie wiedziałam o wolnym etacie dozorcy, zaproponowałam jednak roznoszenie mleka. Akurat w sklepie obok mnie szukają, 1,30 zł od litra, a jak dom bez windy, to nawet więcej. Propozycja została odrzucona — roznosiciel musi wstawać za wcześnie. — To niech ci żona odstąpi jeden ze swych licznych, dodatkowych półetatów — zasugerowałam. — Czy ty wiesz, co ona robi? — oburzył się znajomy. Ja bym tego nie robił za żadne pieniądze. Znajdź mi coś innego, bo z nauki naprawdę nie idzie wyżyć.

— Więc rzuć to i idź do prywaciarza, albo do ogrodnika, zarobisz co najmniej cztery razy tyle — podsunęłam kolejny pomysł. Okazał się też niedobry. — Po pierwsze — to w takiej robocie zgłupieję, a po drugie — u ogrodnika trzeba pracować od rana do nocy — wyjaśnił dr J. coraz bardziej rozgoryczony swą smutną dolą młodego naukowca.

W toku dalszej rozmowy okazało się, że tak naprawdę, to żadna dodatkowa praca potrzebna mu nie jest — potrzebne są tylko dodatkowe pieniądze. Najlepiej sporo pieniędzy — ale bez żadnego zwiększania, czy też zmiany obowiązków. Takie chęci posiada całkiem sporo ludzi — tylko niektórzy się do nich przyznają, inni — nie.

Pieniądze rzecz miła i pożyteczna, zarówno jako środek do nabywania rozmaitych dóbr i uprzyjemniania sobie życia, jak i same w sobie. Ileż bowiem wrażeń estetycznych dostarczyć może równiutko ułożona paczka „szopenów".

Można również bez trudu zrozumieć ludzi, którzy nie mają ochoty zbyt wiele czasu i sił poświęcać na pracę (bo w takich, którzy naprawdę nie chcieliby zupełnie pracować, tylko jeść, spać, biegać do kina i na wódkę, to nie wierzę), przekonani, że nadmiar obowiązków zawodowych zmarnowałby im życie i niekorzystnie wpłynął na rozwój osobowości.

Tak więc oba czynniki — chęć posiadania dużych dochodów i niechęć do „przepracowywania się" — wynikające z wypowiedzi mego znajomego, występując oddzielnie nie są zjawiskiem negatywnym. Ich połączenie można jednak chyba uznać za niepokojące. A jeśli do tego dojdzie skłonność do rozczulania się nad własnym złym losem, nieustannego porównywania z tymi, którym pozornie lepiej, obarczanie winą za ten stan rzeczy wszystkich wokół — sytuacja robi się nie do zniesienia. Nie dla otoczenia zresztą — które może być co najwyżej znudzone wiecznym utyskiwaniem — lecz dla biednego delikwenta, przekonanego iż życie, tak łaskawe dla innych, z nim obchodzi się brutalnie.

Skazanym na wieczne niezadowolenie doradzić można tylko jedno: aby raz spróbowali coś wybrać. Masz ciekawą pracę — nie narzekaj więc, że płacą ci za mało, nawet jeśli wynagrodzenie faktycznie jest niższe od średniej krajowej. Za mało pieniędzy — zmień zawód, lub w swoim pracuj więcej, ale nie płacz, że za ciężko i na życie czasu nie starcza. Zawsze są przecież różne możliwości, zawsze jest jakiś wybór.

— A ile ty zarabiasz — zapytał w końcu dr. J. Powiedziałam. Humor mu się poprawił, ale na krótko. Nie uwierzył.

AGATA

3 W podróży

Każdy ma taką podróż, na jaką sobie zasłużył. Jedni jeżdżą w dalekie kraje, a ja musiałem pojechać do... Kazimierza nad Nerem. Jedzie się tam tramwajem nr 43. Nie jechałem tam tramwajem chyba z 20 lat, a może i trochę więcej. Teraz nie mogłem poznać mijanej okolicy. Parokrotnie jechałem tędy samochodem, ale jedzie się szybko, mija się domy i ludzi nie patrząc na nich i na nie. Tramwajem zupełnie coś innego. Tramwaj jedzie wolno, zatrzymuje się często. Podróż trwa godzinę, jak nie więcej. Można — jeśli zdobędzie się wolne miejsce do siedzenia — rozglądać się na obie strony mijanej okolicy. Ner wije się i śmierdzi. W jakimś dole palą się i śmierdzą śmieci. Domy już nie te. Jakieś kolorowe, bogate, jakby odświętne. I ludzie nie ci. Znajomy sprzed lat nie poznał mnie i zdziwił się, że mu się ukłoniłem z radosnym błyskiem w oku.

Kazimierz nad Nerem też się zmienił. Na ulicach asfalt. Domy kolorowe. Czysto i ładnie. Bar „Zacisze" otwierają dopiero o 13,00. I słusznie, bo co robić w barze, kiedy nie można się niczego napić. Tłusty kotlet mielony nie popity piwem może zaszkodzić. Piwo w Sieradzkiem można wprawdzie pić wcześniej, bo Kazimierz nad Nerem leży teraz w województwie sieradzkim, ale widać w Kazimierzu słusznie uznali, że do 13.00 ludzie powinni przede wszystkim pracować. Choćby pracowali tylko na swoim. W sklepie natomiast można kupić różne ciekawe rzeczy. Na przykład węgierski szampan. I nie tylko.

Tu dygresja następuje, gdyż mój przyjaciel Mundek L. zasłużył sobie na lepszą podróż i był w ostatnią niedzielę w województwie bydgoskim. I tam — niedaleko Inowrocławia, a więc w małym miasteczku — po godzinie 20.00 w restauracji miał do wyboru dwa gatunki piwa: bydgoskie i poznańskie, bo trzeciego akurat zabrakło. A u nas jest tylko jeden gatunek — łódzkie i to najczęściej go brakuje. Cóż za dziwny kraj ta Polska. Na ogół mówi się, że „co kraj, to obyczaj", a u nas „co województwo, to inne zarządzenia i zwyczaje". A tych województw jest 49. Lata nie starczy, aby poznać, co i gdzie wymyślono.

W tramwaju nr 43 było najpierw nieporozumienie. Dawno tym tramwajem nie jeździłem i nie wiedziałem, ile teraz kosztuje bilet. Pytam więc chłopca.

— Ile kosztuje bilet do końca? — przecież Kazimierz to przedostatni przystanek, ostatni jest Lutomiersk.

— Chyba 12 złotych — odpowiada chłopiec — ale dokładnie nie wiem.

Rozglądam się bezradnie po pasażerach, a w ręku trzymam bilety po 6 złotych i nie wiem, ile ich mam skasować. Rozpoczyna się dyskusja, ktoś mówi, że 22 złote, ktoś, że 24 a ktoś, że 28 złotych. W końcu ustalamy komisyjnie, że 24 złote, bo tyle musi wynieść suma 4 biletów po 6 złotych. Na przystankach wsiadają kolejni pasażerowie i dyskusja rozpoczyna się od nowa. Wreszcie ktoś autorytatywnie stwierdza, że bilet kosztuje 22 złote.

W tramwaju nie ma informacji na ten temat. A powinna być. Jest natomiast informacja, ile płaci się kary, gdy kontrolerzy złapią pasażera bez biletu. MPK nie gra uczciwie z pasażerami. Powinno też informować, ile kosztuje przejazd w poszczególnej strefie biletowej. Po, to je zrobiono, więc pasażerowie muszą o tym wiedzieć. Zawsze i dokładnie. Kiedyś były takie informacje.

Ktoś w MPK już dość dawno postanowił zreformować informację dla pasażerów i robi to bardzo skutecznie, wywołując tym stały zamęt. Najpierw w tramwajach były czytelne tablice w bocznych oknach o trasie, którą jedzie tramwaj. Komuś chciało się zrobić racjonalizację i te usunął, zastępując je numerami linii. Teraz wracają — przyznam wcale udane — tablice z numerem linii i trasą. Również na przystankach pojawiły się czytelne, nawet dla dalekowidzów, informacje o trasach poszczególnych linii. Żeby tylko ich nasi chuligani nie pozrywali. Dla nich nawet blaszana obudowa wiaty na Zdrowiu jest pretekstem do pokazania swojej siły i ktoś powyrywał i powyginał blachę ze ścian tej wiaty. Czy w sprawie informacji dla pasażerów w MPK można liczyć na stały postęp? Że dotrze również do tramwaju na linii 43? Byłbym za tym i żeby już nie zmieniać nie wymyślać ciągle czegoś nowego, bo to co jest, jest akurat udane!

WITOLD BOROWY

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(13)

Najważniejsze jednak w Skamieniałym Lesie były widoki. Twarde niczym skała, opasłe pnie obalone przez wichry i ruchy tektoniczne skorupy ziemskiej, popękane na skutek upadku i erozyjnej działalności upływających wieków, leżące w ciszy pustynnego pejzażu i nasycone minerałami, z których rozpalone słońce wydobywa gamy pastelowych i żywych barw — zupełnie jakby się było na obcej planecie. I czyż miejsce to nie zostało stworzone specjalnie dla autorów książek z gatunku fikcji naukowej? Czyż nie stanowi pożywki dla ich nieokiełznanej wyobraźni?

— Myślę — powiedział Jeremy ostrożnie — że dobrze by nam zrobił dłuższy pobyt w tych okolicach.

— Gdzie? — spytała Doreen.

Była zajęta lekturą „Ewangeliarza". Zdrapując zębami lakier z paznokci i po raz ktoryś przewracając kartki, usiłowała na nowo przejąć się losem bohaterów tej książki. Ale dzisiaj niektórym z nich raczej zazdrościła. Weźmy dla przykładu taką Lucy — pięć salonów mody, dwa samochody i mnóstwo młodych, przystojnych mężczyzn na żądanie, z dostawą do domu, a ponadto żadnego zwierzchnika, nikogo, kto by jej powiedział: „Odwołaj wszystko, co zaplanowałaś na ten tydzień. Jutro pojedziesz do Griffin i opracujesz reportaż o Eliasie". Nikogo, kto by jej r o z k a z y w a ł. Może jechać tam, dokąd tylko zechce, troszcząc się jedynie o własną przyjemność i o nic więcej. „Pa, pa, Ronnie. Zostań zdrów ze swoją Connie". Pa, pa. Dan. Zostań zdrów ze swoją redakcją „Dutson Telegraph" i niech kto inny rozmienia dla ciebie talent na drobne. Bomba wodorowa? No cóż, to wysoka cena, bez wątpienia, ale warto ją zapłacić za kilkanaście lat swobody i niezależności.

— Gdzieś tutaj — odrzekł Jeremy. — Choćby w Gallup, skoro już o to pytasz.

— W Gallup? Dlaczego w Gallup?

— Po prostu dlatego, że będziemy tamtędy przejeżdżać. Och, nie przyglądaj mi się tak podejrzliwie. Myślę o tym opowiadaniu. Powinniśmy je napisać, dopóki mamy fabułę świeżo w pamięci.

Doreen zamknęła „Ewangeliarz". Spojrzała na Jeremy'ego spod rzęs i powiedziała wolno:

— Napiszemy je po przyjeździe do Albuquerque dziś wieczorem.

— Uhum — odpowiedział Jeremy spokojnie. Ale czuł, że traci nad sobą panowanie. Bo jeśli Doreen znowu postawi na swoim, to żegnajcie wy wszystkie pomniki przyrody, parki narodowe, muzea i rezerwaty. Żegnajcie, żegnajcie... Jedyna darmowa okazja obejrzenia tylu cudownych miejsc zostanie lekkomyślnie zaprzepaszczona.

— Podaj mi papierosa.

— Proszę — Doreen podała mu także ogień.

Jeremy zaciągnął się i zjeżdżając z środkowego pasa zmniejszył trochę gaz. Tablica, którą minęli, ostrzegła go, że są już niedaleko Gallup i że ma niewiele czasu na zmiękczenie koleżanki.

— Wieczorem będziemy zbyt zmordowani, żeby brać się do pisania.

— Czyżby — zapytała Doreen z powątpiewaniem. — No, w c z o r a j wieczorem także byliśmy zmordowani, n a p r a w d ę zmordowani po hulance w Las Vegas i potem całodziennej jeździe do Winslow. A jednak napisaliśmy tę relację z „Aukcji Ubiorów Znanych Gwiazd" w Oakland i zajęło nam to zaledwie godzinę.

I zaledwie dziesięć porannych minut zajęło dzisiaj Doreen podyktowanie stenogramu tej relacji przez telefon. Relacji wzbogaconej o jakże wzruszającą historię potajemnego romansu Cory Horsky i Artusa Torensa. Sprytna i obrotna Jackie na drugim końcu przewodu przyrzekła zadiustować tę relację i wybadać, ile facieci z działu reklamy Gaylorda gotowi są wybulić za wpiecenie do niej nazwy ich firmy. Na pewno mniej niż płacą telewizji za minutę czasu antenowego, ale liczy się każdy dolar.

— Ta relacja była gotowa — sprostował Jeremy — zanim przybyliśmy do Winslow. W trakcie jazdy nagrałem ją prawie w całości. — Żółtym od nikotyny palcem wskazał magnetofon kasetowy pod skalą radioodbiornika, rozdziawiający puste, czarne usta. — Wystarczyło ją przepisać.

— Wiem, Jerry. Ale dlaczego nie mielibyśmy postąpić tak samo teraz? Jeśli chcesz, zastąpię cię przy kierownicy?

— Dziękuję — odburknął Jeremy.

Diabła tam, pomyślał, pozwolę się zastąpić. Oddam jej kierownicę i wtedy pomkniemy do Albuquerque z prędkością rakiety balistycznej, mijając Gallup, skąd jest jeszcze d o s t a t e c z n i e blisko do tylu wspaniałych miejsc. Wielki Kanion mogliśmy sobie ewentualnie odpuścić, ale rezygnacja z obejrzenia t y c h w s z y s t k i c h cudów natury byłaby niewybaczalną zbrodnią. Przejechać teraz na wschodni brzeg Rio Grande to tyle, co ze wzgardą odwrócić się od bram raju.

Z cichym trzaśnięciem Doreen wsunęła kasetę do magnetofonu.

— W takim razie pozwól, że potrzymam ci mikrofon.

Jeremy zacisnął zęby, ponuro patrząc na szosę przed fiołkową maską Chevroleta Accord Leila. Wiedział, że Doreen się z nim droczy i nie miał zamiaru pozwolić, żeby go w to wciągnęła. Z nią nie sposób dyskutować, kiedy wpada w ten sarkastyczny ton mistrzyni świata w strojeniu żarcików. Wszelkie próby jej przekonania skazane są wówczas na niepowodzenie. Niejednokrotnie zdyskredytowała pomysł, który jej nie odpowiadał, drwiąc bezlitośnie z wyłuszczanych jej racji, bagatelizując je złośliwie, przeinaczając perfidnie ich sens. Trzeba odczekać, aż zmieni się jej nastrój. Tylko że właściwie nie ma już czasu na czekanie.

— Wiesz, co mi przyszło do głowy — zagadnął Jeremy odważnie i bez obwijania w bawełnę. Nie odrywał wzroku od autostrady, nawet papierosa zgasił w popielniczce po omacku, by Doreen nie zauważyła posępnej desperacji malującej się w jego oczach.

— Powiedziałabym, że raczej tak.

Jeremy puścił tę ironiczną uwagę mimo uszu.

— Wiesz, co mi przyszło do głowy w Skamieniałym Lesie? — kontynuował z uporem. — Kiedy tam siedziałem na jednym z tych powalonych pni, zdawało mi się, że wylądowaliśmy na obcej planecie. Na planecie, która odkryje przed nami wszystkie swoje fascynujące tajemnice, jeśli pozostaniemy na niej przez kilka dni. I potem będziemy mogli napisać na jej temat dzieło rewolucjonizujące cały gatunek speculative fiction.

Doreen roześmiała się cynicznie. Uroczy Jerry! To prawda, że ma fantazję bujną jak dziecko, ale jest przy tym prostoduszny jak dziecko.

Z zawziętym wyrazem twarzy Jeremy brnął dalej:

— I wtedy wpadłem na ten pomysł. Jakby podpowiedział mi go Skamieniały Las. Posłuchaj. Gdzieś w mrocznych otchłaniach wszechświata krąży Planeta Niemalżeboskich. Niemalżeboscy to istoty, które osiągnęły Najwyższy Szczebel Rozwoju. Rozmaite cywilizacje wysyłają do nich swoich przedstawicieli z odległych galaktyk. Chcą nawiązać z nimi kontakt, poznać ich obyczaje, kulturę, osiągnięcia naukowe i techniczne. Chcą wyciągnąć dla siebie jakieś korzyści, rozumiesz. No bo o wzajemnej wymianie doświadczeń nie może być mowy. Niemalżeboscy zgłębili wszystkie tajniki bytu od jego prapoczątków aż po eschatologiczny kres.

— Stąd ta ich nazwa — wtrąciła Doreen.

— Co?

— Niemalżeboscy. Wszechwiedzący i wszechmocni, prawie jak sam Bóg na wysokościach. Niezłe.

— Uhum — przytaknął Jeremy przez zaciśnięte zęby. — Chcesz jeszcze coś powiedzieć?

— Już nie. Mów ty, Jerry. To interesujące. Bardzo.

— Więc tak... mmm... Oczywiście na Planecie Niemalżeboskich ląduje także ekspedycja ziemska. No i oczywiście okazuje się, że jest to planeta cudów. Występują w niej wszystkie niezwykłe zjawiska z rekwizytorni fantastyki: teleportacje, materializacje, antycypacje, chronolokacje...

— Włączam magnetofon — wtrąciła Doreen znowu.

— ...itede. Materia tej planety daje się kształtować samą myślą, reaguje na pragnienia ludzi, niezwłocznie urzeczywistnia każde ich życzenie, i niebawem wokół członków załogi wyrasta prawdziwe ziemskie miasto; pojawiają się fragmenty ulic, domy z ogródkami, hotele, bary i restauracje, instytuty naukowe, place i pomniki, kina, łaźnie i salony masażu...

„O rany" — mówi nawigator Ellsberg, bo widzi, że zmysłowo wyciągając ramiona podbiega do niego rozngliżowana Christine, kobieta wamp, nieżyjąca już gwiazda tv. Jako dorastający chłopiec był w niej nieprzytomnie zakochany. — „To naprawdę ona, niech ja skonam"!

„Ojcze!" — woła poruszony drugi oficer, a wysoki mężczyzna o siwych skroniach, który wyszedł z bungalowu, przemierza żwirowaną ścieżkę, otwiera furtkę i śpieszy mu na spotkanie, pozdrawiając go radosnym uśmiechem...

— Trochę to jakby z Braudbury'ego — wtrąciła Doreen po raz trzeci. — I z Van Vogta.

— Co?

— Te ucieleśnione wspomnienia krewnych i znajomych.

— Tak, ale Planeta Niemalżeboskich ucieleśnia także każde wyobrażenie i każdą ideę. Pokładowy psycholog, na przykład, rozmawia z biblijnym Adamem i z Mesjaszem Łup-Sru-Łubudu-I-Już-Sprawiedliwości-Stało-Się-Zadość... to imię tego Mesjasza... na którego przyjście czekają mieszkańcy Układu... mmm, powiedzmy, Browna.

— Cóż za megalomania!

— A jeden z fizyków, patrząc na dowódcę, kapitana Shaunessy, w swojej wobraźni ustawia go na terminalu chronowahadła wymyślonego ad hoc dla zabawy. I kapitan zaczyna pulsować w czasoprzestrzeni. Znika i pojawia się w odstępach pięciosekundowych. Przez pięć sekund znajduje się na Planecie Niemalżeboskich i przez pięć sekund na Ziemi; to pośród załogi, to w swoim domu, przy łóżku, które jego żona i porucznik Dillinger zajmują w niecnych celach, testując je na wytrzymałość. Notabene porucznik Dillinger też bierze udział w tej ekspedycji.

„Hej, Tom" — mówi właśnie do kapitana — „to chyba Zgniłojajec" — i pokazuje na trzynogą postać zbliżającą się do nich w podskokach środkiem głównej ulicy.

Zgniłojajcy są istotami rozumnymi, którym do życia niezbędny jest siarkowodór zamiast tlenu. Zamieszkują układ planetarny zwany... no, Dooren, podzielimy się sławą... zwany Układem Thornhill.

— Jerry, bo cię kopnę.

— Kapitan Shaunessy z niedowierzaniem potrząsa głową.

„To niemożliwe" — odpowiada. — „On nie ma skafandra. W tej atmosferze nie przeżyłby ani minuty. To niemożliwe" — dodaje, ale jest już z powrotem w swojej sypialni, przy łóżku.

Jego żona wpatruje się w niego osłupiała.

„To niemożliwe" — powtarza za nim szeptem.

„Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko, Tom" — mówi niepewnie porucznik Dillinger. I zupełnie innym tonem, ponieważ kapitan znalazł się znów na Planecie Niemalżeboskich, ciągnie: — „Nasz zwiad to potwierdza, Tom. Dziesięć mil stąd na północ odkryto bazę wypadową Zgniłojajców. Oni wylądowali tutaj przed nami".

Kapitan nadal z niedowierzaniem potrząsa głową. Nie wie, co się z nim dzieje.

„Zgniłojajec" — mruczy do siebie i widzi skotłowaną pościel w swojej sypialni.

„Sądzę, Tom" — porucznik Dillinger wstaje z łóżka, wstydliwie zasłaniając się prześcieradłem — „że mimo wszystko nie powinieneś mnie obrażać".

„Cooo?" — Shaunessy kipi gniewem. Nie zauważa, że teraz stoi na ulicy eklektycznego miasta, pośród załogi. — „Ty goły sukinsynu!" — wykrzykuje prosto w twarz porucznika Dillingera.

Zamierza się na niego pięścią i przeniesiony na kolejnych pięć sekund do domu trafia w szczękę swojej żony, która tymczasem także wstało z łóżka. Ale siła ciosu sprawia, że kapitan Shaunessy traci równowagę. Szukając oparcia robi krok do przodu i szczęśliwie schodzi z płyty terminalu chronowahadła, a porucznik Dillinger, ten z ekspedycji, cofa się na bezpieczną odległość. Mijający ich właśnie Zgniłojajec otacza się chmurą cuchnącej substancji na znak protestu przeciwko stosowaniu wobec niego epitetu uznanego przez Konfederację Galaktyczną za obraźliwy, po czym skręca w boczną uliczkę.

„Co jest, do cholery?" — słychać tubalny głos egzobiologa. — „Przecież to Rybopławy".

Stworzenia, w które się wpatruje, szybują ławicą sześć-siedem stóp nad ziemią. Część z nich dźwiga sprzęt badawczy. Ich przewodnik na widok ludzi unosi płetwę ogonową, usztywniając ją w geście przyjaznej erekcji.

„Witamy" — nadaje telepatycznie — „przybyszy z Układu Słonecznego".

„Pojęcia nie miałem, że Rybopławy potrafią pływać w powietrzu" — denerwuje się egzobiolog.

Na co przewodnik ławicy oświadcza:

„Z niemałym, ale jakże lubym zaskoczeniem konstatuję, że istoty ludzkie mogą żyć w środowisku wodnym"..

Członkowie załogi wymieniają pytające spojrzenia.

„Czy to jakiś żart?" — odzywa się któryś z nich.

„Może" — odpowiada inny — „tutejsza atmosfera jest dla nich tym samym co oceaniczny akwen?"

„Wobec tego, czym ona jest dla nas, jeśli nie jest tym, czym jest?" — denerwuje się coraz bardziej egzobiolog...

— Mów dalej, Jerry — powiedziała Doreen zachęcająco. — To ciekawe.

— Wyłącz magnetofon.

— Dlaczego? Stało się coś?

Stało się to, że minęli tablicę, na której gościnne władze miasta barokową antykwą witały turystów wjeżdżających do Gallup. Rozległ się więc gong rozpoczynający ostatnią rundę i Jeremy musiał rzucić na deski ringu swoją koleżankę albo ręcznik.

— Nic się nie stało — odrzekł. — Zgubiłem wątek. W samochodzie nie ma warunków do pracy twórczej.

— Och, naprawdę? — odkładając mikrofon Doreen koniuszkiem języka oblizała górną wargę, zamyślona. — Ta koncepcja otwiera nieograniczone możliwości zawiązywania intryg. Wiesz już, jak zakończysz ten utwór?

— Chyba tak. Podaj mi papierosa, Doreen.

— Wygląda na to, że nie ma w tym przesady.

— W czym?

— Wygląda na to, że dzięki niemu odwaliłeś sam całą robotę.

— O kim ty mówisz?

— O Skamieniałym Lesie. O jego inspirującym wpływie na twoją wyobraźnię.

— Uhum.

Niedobrze — Jeremy wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła. Niedobrze. Doreen nie może odczuć, że Skamieniały Las stanowi dla niej konkurencję.

— Wcale nie odwaliłem całej roboty. Nie mam jeszcze puenty. No chodzi mi po głowie parę pomysłów, ale żaden nie jest dostatecznie dobry. Spodziewam się, że ty coś zaproponujesz.

Doreen splotła ręce na „Ewangeliarzu" i zjechała w głąb siedzenia.

— Niech się okaże, że to tylko atrapa.

— Co?

— Ta planeta.

— Atrapa?

— Ta planeta jest celem pielgrzymek już od tysiąca lat, czy tak? Ląduje na niej ekspedycja za ekspedycją. Wszystkie cywilizacje wysyłają swoich przedstawicieli, żeby ten raj spenetrowali dokładnie i wykradli z niego, co tylko się da. Tych ciągłych odwiedzin każdy miałby w końcu po dziurki w nosie, nawet istoty tak wyrozumiałe jak sam Bóg na wysokościach, więc Niemalżeboscy stworzyli identyczną planetę o identycznych warunkach i powiedzieli: „Macie, zabawcie się, a nam dajcie święty spokój". No i ludzie i inne rozumne stwory podziwiają wszystkie te cuda, zabawiają się nimi i próbują je badać, ale nijak nie mogą rozgryźć mechanizmu ich działania. Nie mogą też liczyć na jakąkolwiek pomoc, bo Niemalżeboscy swoją rodzimą planetę otoczyli polem fotoeksykatora i stali się niewidzialni dla całego wszechświata.

Jeremy położył dłoń na pięćdziesięcioczteroletnim udzie Doreen i ścisnął je lubieżnie. Gdyby ją teraz wzięła ochota, kazałaby zawinąć do najbliższego motelu, a później zgodziłaby się pojechać nawet do Meksyku.

— Dzięki, kotku. Jesteś niezastąpiona.

— Podziękuj Eliasowi. Jego książka wpływa na mnie tak, jak Skamieniały Las na ciebie — odparła Doreen obojętnie. — Wiesz, co mi przyszło na myśl, kiedy dzisiaj rano przeglądałam „Ewangeliarz"? Właśnie coś à propos raju. Taka przypowiastka filozoficzno-fantastyczna. Akcja toczy się w nieodległej przyszłości. Ziemianie odbywają pierwsze loty międzyplanetarne, no i w trakcie jednego z nich nawiązują kontakt z jakąś ultracywilizacją, z jakimiś Prawiecherubami. Są to istoty potężne, ale dobroduszne i naiwne, a ponadto opętane manią filantropii.

„Długo debatowaliśmy" — powiada Starszy Rady Prawiecherubów do Sekretarza Generalnego ONZ — „ w jaki sposób wam pomóc. Zapadła decyzja, żeby stworzyć dla was raj".

„Raj?" — dziwi się Sekretarz Generalny, bo nikt nie oczekiwał raju. Oczekiwano raczej, że Prawiecheruby zlikwidują bezrobocie, uśmierzą rozruchy na tle rasowym, zahamują inflację, poprawią bilans płatniczy, takie rzeczy.

„Chyba o to wam chodzi?" — mówi Starszy Rady. — „Przecież ubolewacie, że wypędzono was z raju, tęsknicie za nim i pocieszacie się myślą o powrocie do niego. Obiecujecie sobie zamienić Ziemię w raj. Myśmy postanowili was w tym wyręczyć i stworzyć go dla was. Na innej planecie, oczywiście. Wasza delegacja, wasi inspektorzy będą mogli dokonać jego przeglądu i odbioru technicznego, udając się tam grawitolotem, który jutro w samo południe wyląduje przed głównym wejściem do gmachu ONZ".

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji tuł autora „Stan zagrożenia"

Rys. Janusz Szymański-Glanc